

Rafael Sabatini

CZARNY ŁABĘDŹ

(The Black Swan)

Przełożył Stanisław Rembek

Major Sands, świadomy swoich niepospolitych zasług, skłonny był przyjmować – nie bez pobłażania – dary, zsyłane mu przez Fortunę. Widział już nieraz, jak ta ślepa bogini obsypywała swymi łaskami ludzi bez żadnych zasług, odmawiając zarazem słusznego wynagrodzenia takim, którzy byli tego godni. Czyż i jemu nie kazała czekać tak długo? Skoro wreszcie zwróciła nań uwagę, był daleki od uznania tego za jej kaprys. Pozostawał przekonany, że uległa mu jako temu, który potrafił ją przymusić.

O tym właśnie rozmyślał, wsparty o tapczan, ustawiony dla miss Priscilli Harradine pod daszkiem z żaglowego płótna na wysokiej rufie „Centaura”.

Żaglowiec zarzucił kotwicę w obszernej zatoce Fort Royal, swojej pierwszej przystani od Barbadosu. Odnawiano tu zapasy słodkiej wody, podczas gdy na dziobie kucharz okrętowy i szef załogi, wsparci na parapecie pokładu, targowali się z handlarzami, siedzącymi w całej flotylii piróg, o cenę owoców i warzyw.

Wątle łodzie tańczyły na falach, objając się o burty okrętu. Kierowali nimi biali, Metysi i Karaibowie wrzeszczący wniebogłosy w nadziei, że uda im się sprzedać ich zapasy.

Na szczycie okrętowej schodni sterczał kapitan Bransome, wystrojony w kaftan o sztywnych połach, z błękitnego sukna, ozdobionych złotymi galonami. Wymyślał krzykliwie jakiemś Żydowi, który właśnie przymocował swoją łódź do opuszczonego trapu i zachwalał swoje towary.

Pomiędzy okrętem a wybrzeżem na seledynowych wodach zatoki, poruszanych leniwie przez północno-wschodnią bryzę, która łagodziła przyjemnie podzwrotnikowy upał rozświetlonego dnia, kołysał się las masztów pod miastem Fort-Royal, uderzająco białym na tle ciemnych zboczy Martyniki, przytłoczonej na północy przez masyw wulkanu Mont-Pele, którego nagi szczyt rysował się na niebie barwy błękitnego kobaltu.

Kapitan rzucał kolejno okiem to na natrętnego Żyda, to na sporą łódź, oddaloną jeszcze jakie pół mili, a kierującą się w stronę „Centaura”. Zdjął swój skórzany kapelusz, odsłaniając wielką głowę, obwiązaną niebieskim szalem, który nosił zamiast peruki. Źle się czuł w oficjalnym mundurze angielskiego kapitana, którego okręt zawinął do portu, i leniwie ocierał zroszone potem czoło.

W rufowym kasztelu okrętu – pomimo bryzy i cienia, jaki dawał daszek – major Sands równie źle znosił upał. Był on człowiekiem słuszej postury, nawet otyłym, chociaż już od dłuższego czasu bawił pod Zwrotnikiem Raka. Przybył na Antyle przed pięciu laty, jeszcze za

życia króla Karola II. Wierzył wówczas, że w Nowym Świecie nareszcie napotka Fortunę, która tak uparcie unikała go w rodzinnych stronach. Rozrzutny i rozpustny ojciec roztrwonił majątek rodzinny i pozostawił mu spadek nader szczupły. Syn nie odziedziczył wad po swoim przodku. W przeciwieństwie do ojca odznaczał się tym wyrachowanym chłodem, który – połączony z inteligencją – może wydzwignąć człowieka bardzo wysoko. Ale, niestety, Sandsowi brakowało właśnie inteligencji, i – jak to zazwyczaj bywa w podobnych wypadkach – nie dostrzegał on w sobie owego niedostatku. Zresztą czyż i tak nie osiągnął celu, jaki sobie postawił? Przybywszy na Antyle, aby szukać tam szczęścia, znalazł je dzięki – jak sądził – osobistym zasługom.

Szczęście to znajdowało się obecnie na odległość jego ręki. Uosabiała je młoda dziewczyna, wyciągnięta leniwie na tapczanie z rzeźbionego drewna dębowego, Priscilla Harradine. Była średniego wzrostu, wysmukła, o małych dłoniach i wąskich stopach. Przejawiała ten rodzaj fizycznego wdzięku, który był tylko zewnętrznym odbłaskiem czaru duszy. Jej twarz wyglądała rozkosznie spod słomkowego kapelusza o szerokim rondzie. Delikatna cera harmonizowała doskonale z ciepłą barwą jasnych włosów, jak gdyby gorący klimat Antigui nie zdołał pozbawić jej świeżości.

Usta i podbródek miała wydatne, ale żywe oczy, barwy pośredniej pomiędzy głębokim błękitem nieba i jasną zielenią morskiej fali, wyrażały dobroć i słodycz. Nosila suknię jedwabną koloru kości słoniowej, o wysokim stanie, a ozdobione festonami baskiny stanika były obramowane złocistymi koronkami. Poruszała wolno wachlarzem z zielonych i czerwonych piór papuzich.

Sir John Harradine po śmierci żony postanowił wyemigrować z zamiarem odzyskania swej nadszarpniętej fortuny. Stanowisko gubernatora jednej z wysp zawdzięczał jednemu z dobrze widzianych u dworu przyjaciół. Była to sposobność nieoczekiwana. Człowiek obrotny nie mógł jej nie wykorzystać, żeby się nie wzbogacić w służbie królewskiej. Toteż sir John dobrze wyzyskał sześć lat swego gubernatorstwa. Kiedy zmarł powalony podzwrotnikową gorączką, pozostawił swej jedynej córce znaczny majątek oraz sporą posiadłość ziemską w hrabstwie Kentu. Dominium to nabył za pośrednictwem londyńskiego przyjaciela.

Sir John postanowił również, że po jego śmierci Priscilla opuści Antyle i powróci do Anglii, do swojej ciotki, która zastąpi jej matkę. Na łożu śmierci prosił córkę o przebaczenie, że kazał jej znosić ciężkie warunki klimatu Indii Zachodnich, po czym skonał.

Priscilla Harradine uwielbiała swego ojca. Po jego śmierci pozostawała straszliwie smutna

i samotna. Otoczyła ją jednakże tkliwa przyjaźń majora Sandsa.

Bartłomiej Sands był zastępcą sir Johna. Mieszkał wraz z nimi w pałacu gubernatorskim i miss Priscilla traktowała go niemal jak członka rodziny. Z tego też powodu przyjęła natychmiast opiekę oraz pocieszenia, których jej nie skąpił. Jego szansę następstwa na stanowisku gubernatora Antigui nie były wielkie. Major był oczywiście przekonany, że posiada wszelkie po temu kwalifikacje, ale łaska dworu miała o wiele większe znaczenie, niż zasługi osobiste, a otoczenie królewskie przyśle na pewno jakiegoś zrujnowanego szlachcica, aby na nowo pozłocił swoją tarczę herbową na Antylach.

Rozumowanie to skłoniło majora do wniosku, że najpierwszym jego obowiązkiem jest czuwanie nad miss Priscillą. Zaraz też ją o tym powiadomił. Panna poczuła się zmieszana jego wspaniałomyślnością, z jaką nie zawahał się poświęcić stanowiska gubernatora, aby otoczyć opieką sierotę. Uparł się, aby towarzyszyć jej w drodze do Anglii. Podróż ta miała być długa, być może nawet niebezpieczna. Priscilla nie mogła wyruszyć w nią samotnie, a poczucie obowiązku wobec niej skłoniło majora, by stał się rycerzem na usługach panienki. Tego z pewnością pragnąłby sir John.

Pozostawiwszy prowizoryczny zarząd nad wyspą kapitanowi Grayowi, Sands zaokrętował się na pokład „Centaura”. Czarna służąca miss Harradine, wycieńczona wskutek choroby morskiej, musiała zostać wysadzona na Barbadach i odtąd córka gubernatora pozostała sama wraz ze swym opiekunem.

Major wybrał „Centaura” ze względu na jego duży tonaż i zalety żeglowne, nie bacząc nawet na to, że kapitan żaglowca postanowił zatrzymać się kilkakrotnie na archipelagu, zanim popłynie do Anglii. To przedłużenie podróży odpowiadało nawet Sandsowi, umożliwiało bowiem wytworzenie między nim a dziewczyną intymności sprzyjającej zamierzeniom zalotnika, który postanowił działać ostrożnie i metodycznie. Co prawda major uważał się za przystojnego i przekonywał się o tym codziennie przed swoim zwierciadłem, ale jego matrymonialne plany mogła pokrzyżować różnica wieku.

Priscillą nie miała jeszcze dwudziestu trzech lat, podczas gdy Sands przekroczył właśnie czterdziestkę. Był też już prawie łysy pod puklami swojej blond peruki. Już w pierwszych dniach spostrzegł, że panna traktuje go z szacunkiem przypominającym stosunek córki do ojca. Stopniowo jednak, dzięki wysiłkom cierpliwym a stale powtarzanym, udało mu się zmienić ten nastrój, liczył więc, że w czasie długotrwałej podróży zdoła uwieńczyć swoje dzieło. Musiałby

być bardzo głupi, gdyby zanim przybiją do Plymouth, nie zdołał zdobyć serca i ręki bogatej dziedziczki; dla której poświęcił widoki na zdobycie stanowiska gubernatora Antigui.

Przekonany o swoim powodzeniu pochylił się nad Priscillą, podając jej w srebrnej bombonierce smażone konfitury peruwiańskie, jakie kupił specjalnie w tym celu, by dogodzić gustowi panny. Ta opadła jednak na poduszkę z czerwonego aksamitu ze złożonymi frędzlami, a przyniesioną przez majora z kajuty, i wymawiała się ruchami głowy, nie bez odrobiny czułości jednak.

– Jak pan się o mnie troszczy, majorze Sands. Jest nieomal niegrzecznie odmówić panu czegokolwiek.

Udał niezadowolenie.

– Jeżeli mam dla ciebie pozostać majorem Sandsem do końca dni moich – powiedział – to już ci niczego nie podaruję. Na imię mi Bartłomiej.

– Jest to bardzo piękne imię – odrzekła – ale zbyt długie, żeby je często wymawiać, szczególnie w takim upale.

Nie zwróciwszy uwagi na lekko ironiczny ton jej głosu, pośpieszył z odpowiedzią:

– Moi przyjaciele zowią mnie Bart. Tak też zwracała się do mnie matka. A i tobie, Priscillo, pozwalam używać tej formy mego imienia. Wręcz proszę o to.

– Jest to dla mnie wielki zaszczyt – odparła ze śmiechem.

Zegar pokładowy uderzył cztery razy. Priscillą wykrzyknęła:

– Kapitan uprzedził nas, że podniesiemy kotwicę przed czwartą. Dlaczego nie odpływamy?

Wstała i zbliżyła się do dłużnicy szczytowej. Major ruszył za nią. Szalupa Żyda skierowała się do brzegu. Pirogi również oddaliły się od okrętu. Duża łódź, której kapitan Bransome nie przestał obserwować, właśnie przybijała do burty żaglowca. Całkowicie nagi Karaib klęczał na jej dziobie, chwycił za linę i usiłował zatrzymać łódź przy trapie. Zza jego pleców podniósł się wysoki, szczupły, dobrze zbudowany mężczyzna. Odziany był w kaftan z błękitnego jedwabiu ze srebrnymi galonami i przybrany w koronki. Strusie pióro powiewało na rondzie szerokiego kapelusza. Wyciągnął urękawiczoną dłoń w stronę drabinki.

– Na Boga! – wykrzyknął major w zdumieniu. – Kto to jest?

Jego zdziwienie wzrosło, gdy ujrzał, z jaką zręcznością ów ubrany niczym dworak mąż wdrapywał się po rozhuśtanej drabince. Za nim wstępował Metys w wełnianej koszuli i w skórzanych spodniach. Niósł płaszcz swojego pana, jego szpadę i skórzany futerał, z którego

sterczały srebrne kolby pary pistoletów.

Nowo przybyły, znalazłszy się na pokładzie, zatrzymał się na chwilę, a później postąpił krok naprzód z kapeluszem w rękę i skłonił się swobodnie przed kapitanem, który mu zaszalutował. Cudzoziemiec miał czarną perukę z kędziorami, był ogorzały i starannie ufryzowany.

Kapitan rzucił krótki rozkaz i dwóch marynarzy ruszyło żwawo, aby rzucić liny ludziom z wielkiej łodzi. W parę minut później wciągnęli oni na pokład za pomocą kołowrotu dwa kufry znacznych rozmiarów.

– Sprawia wrażenie poważnej osobistości – zaryzykowała Priscilla.

– Ba! – zaśmiał się major – nie sądź po jego piórze i po koronkach. Pozory mylą, moja droga. Spójrz na jego sługę, jeśli tak można nazwać tego dzikusa. Można by powiedzieć, że to jakiś korsarz.

– Ależ Bart, czyż nie jesteśmy na Antylach?

– Słusznie – odpowiedział Sands – ale w takim razie nie ma tu miejsca dla dworaka. Kim może być ten cudzoziemiec?

Gwizdek szefa załogi wezwał marynarzy na stanowiska i nagle pokład okrętu zaroił się ludźmi. Pojękiwanie kabestanu i szczęknięcie ogniw ciężkiego łańcucha oznajmiły wkrótce, że podnoszą kotwicę. Majtkowie wdrapywali się na maszty i stawiali żagle.

Major pojął, że przygotowania do odpłynięcia zostały celowo opóźnione, by pozwolić przybyszowi wsiąść na pokład. Po raz drugi mruknął półgłosem:

– Co to za jeden?

Ton głosu majora zdradzał niezadowolenie na myśl, że jakiś intruz zakłócił sam na sam pasażerów „Centaura”. Miał zresztą rację, a z pewnością byłby o wiele bardziej nadąsany, gdyby przeczuł, że podróżny ów został zesłany przez Fortunę aby pokazać majorowi, że nigdy nie należy lekceważyć bogini o zasłoniętych przepaską oczach.

Przypuszczać, że ciekawość majora została zaspokojona w następnej godzinie, byłoby to przeinaczać prawdę. W czasie obiadu, jedzonego wspólnie z kapitanem, zainteresowanie to miało jeszcze wzrosnąć.

Nowo przybyły został przedstawiony przez kapitana Bransome'a obojemu podróżnym jako Karol de Bernis, niewątpliwie Francuz, który jednak wysławiał się po angielsku doskonale, z lekkim jedynie obcym akcentem. Co bardziej jeszcze zdradzało jego obce pochodzenie, to

gesty, a przede wszystkim – przynajmniej w oczach majora – nieco przesadna grzeczność. Gdyby nawet Sands nie odkrył nic złego w tym cudzoziemcu, to i tak wzgardziłby nim z góry z tej chociażby racji, że de Bernis nie miał szczęścia urodzić się w Anglii.

Był to mężczyzna wysoki, szczupły, ale zdawał się być silny i krzepki. Cerę miał ogorzałą. Pod mocno naciągniętą pończochą z białego jedwabiu uwydatniały się mięśnie jego nogi. Zaledwie trzydziestoletni, co Sands stwierdził od razu, przypominał angielskiego króla Karola II. Ta sama wąska twarz o wystających kościach policzkowych, ten sam z lekka zgarbiony nos, te same wąsy wąskie i brunatne ponad ładnie zarysowanymi wargami, na których igrał ironiczny uśmiezek. Pod czarnymi brwiami znajdowały się oczy wielkie i ciemne, nacechowane łagodnością, które jednak mogły nagle przybrać wyraz stanowczy, a utkwione w rozmówcę, stać się szczególnie przykre.

Jeżeli pasażerowie „Centaura” zainteresowali się panem de Bernis, to ten zdawał się z początku nie zwracać na nich najmniejszej uwagi. Jego nadmierna grzeczność wznosiła pomiędzy nimi jak gdyby mur, za którym Francuz się chował. Z miną zafrasowaną zdawał się ciągle niepokoić celem swojej podróży i skoro tylko został przedstawiony miss Harradine i majorowi, podjął przerwaną rozmowę z Bransomem.

– Nawet gdybyś pan, kapitanie, nie zawiął do Marie Galante – mówił – to dlaczego nie miałbyś pan wysadzić mnie na ląd za pomocą jakiej łódki?

– Pan ciągle nie rozumie – odrzekł Bransome – że ja mam poważne powody, by unikać Gwadelupy. Nie boję się oczywiście niebezpieczeństw i jestem człowiekiem, który potrafi stawić im czoło, ale ich nie szukam. To jest moja ostatnia podróż, więc pragnąłbym, żeby odbyła się bez wypadków. Mam żonę i czworo dzieci, które czekają na mnie w hrabstwie Devon. Miałbym wobec tego zdecydować się na żeglugę po wodach Gwadelupy, tego gniazda piratów? Już wysadzając pana na Sainte Croix...

– O! – przerwał uśmiechnięty Francuz gestem ręki, który wstrząsnął jego muślinowym mankietem.

– Uśmiechaj się pan, uśmiechaj – mówił kapitan, marszcząc brwi. – Ja wiem, co wiem. Pańska Kompania Indyjska też nie pozostaje poza wszelkimi podejrzeniami. Ona pragnie tylko jednego: kupić tanio bez względu na pochodzenie towaru. Niejeden okręt wyładowuje w Sainte Croix towary, które są tam sprzedawane za dziesiątą część ich wartości. A urzędnicy portowi nigdy nie zadają niedyskretnych pytań. Prawda na wierzchu! Pan również być może wiesz o tym

coś niecoś.

Bransome przekroczył już czterdziestkę. Był korpulentny i nieco ociężały. Włosy miał płomiennorude. Aby bardziej zaznaczyć swoje wypowiedzi, uderzał napiętowaną rudymi płamami pięścią w stół, a zjeżone jasne włosy, porastające jego dłonie, błyskały wówczas niczym ogniste płomyki.

– Sainte Croix – wykrzykiwał – to już niebezpieczne miejsce! A cóż tu mówić o Gwadelupie!

Priscilla drgnęła na swym siedzeniu i pochyliła się nieco do przodu.

– Czy pan mówi o piratach, kapitanie Bransome? – zapytała.

– Tak. A dlaczego miałbym o nich nie mówić?

Aby załagodzić poruszenie swej podopiecznej, zabrał głos major:

– To nie jest temat, który byłoby rozsądnie poruszać w obecności kobiety. Poza tym nie ma już przecież piratów.

Twarz kapitana powlekła się ciemnym rumieńcem.

– Należy uznać – zaśmiał się – że jest równie bezpiecznie żeglować po Morzu Karaibskim, jak po angielskim jeziorze.

Pochylił się nad swoim talerzem i nic już więcej nie mówił. Tymczasem major zwrócił się do de Bernisa:

– Będzie nam pan towarzyszył tylko do Sainte Croix?

– Do Sainte Croix.

Ta lakoniczna odpowiedź nie upoważniała do dalszych pytań. Jednakże major nastawał:

– Czekam tam może na pana jaką ważną sprawą?

– Żadna. Szukam okrętu. Okrętu, który by mnie zawiózł do Francji.

De Bernis wypowiadał się w zdaniach krótkich i głosem stanowczym.

– Ależ – podjął Sands zaintrygowany – „Centaur” jest wyśmienitym żaglowcem i pan mógłby pozostać na jego pokładzie aż do Plymouth. Tam znalazłby pan z pewnością jakiś stateczek, którym mógłby pan popłynąć do Francji.

– Istotnie – odrzekł de Bernis. – Nie pomyślałem o tym. Major doznał nagle wrażenia, że popełnił niezręczność. Zły i wzburzony posłyszał głos Priscilli, która mówiła słowa, o jakich sam w tej chwili myślał.

– Miałby pan czas zastanowić się nad tym.

Jakiś płomyk zabłysnął w czarnych oczach Francuza, ale jego uśmiech pozostał ironiczny.

– Słowo daję – rzekł – gdyby pani nalegała, to jako człowiek grzeczny...

Po krótkiej przerwie dopowiedział:

– Ale, niestety, pewien przyjaciel oczekuje mnie w Sainte Croix. Mamy razem powrócić do Francji.

Major wtrącił się tonem wyrażającym zdziwienie:

– Sądziłem, że chciał pan wysiąść na Gwadelupie i że wysiądzie pan w Sainte Croix tylko dlatego, że jest to jedyne miejsce, gdzie kapitan chce zawinąć.

Jeżeli spodziewał się zmieszać de Bernisa, wykazując tę sprzeczność, to bardzo się omylił. Francuz obrócił się doń z wolna, uśmiechnięty, ale ironiczny wyraz jego warg i spojrzenia ustąpił miejsca lekceważącemu rozbawieniu.

– Po cóż demaskować niewinne zmyślenia, które mają służyć za usprawiedliwienie? – powiedział cicho.

Major spłoszował, zająknął się i odrzekł:

– Zmyślenia są zbyt liczne, drogi panie.

– Niech pan doda, że również zbyt liczna jest grzeczność, majorze, jeśli pan tak rzeczywiście uważa. Obaj ulegamy wpływom naszych temperamentów. Pan oskarża mnie o ugrzecznione kłamstwo i sam ujawnia przy tym swoją naiwną... niegrzeczność.

– Jestem innego zdania – odpowiedział Sands.

– Niech zatem rozsądzi nas pani – zaproponował Francuz z uśmiechem. – Jestem gotów przyjąć jej wyrok.

Priscilla potrząsnęła swymi jasnymi kędziorami.

– Nie – odrzekła. – Oznaczałoby to skazać jednego z panów, a takie rozwiązanie byłoby dla mnie niewymownie przykre.

– W takim razie proszę mi wybaczyć, że panią o to prosiłem. Pozostawimy więc sprawę w zawieszeniu.

Tu obrócił się do kapitana Bransome'a.

– Czyś mi pan nie powiedział, że zawijacie do któregoś z portów Dominikany? – zapytał.

I obaj mężczyźni zagłębili się w nową rozmowę.

Major odczuwał pewne zawstydzenie na myśl, że został upokorzony w oczach Priscilli. Jego uraza znalazła wyraz, gdy towarzyszył panience w drodze do tylnego kasztelu.

– Nie wierzę – mówił – żeby ten Francuz odczuł wielką przyjemność, widząc w ten sposób ukróconą swoją gadaninę.

– Nie spostrzegłam, aby był w najmniejszym stopniu zmieszany – odparła.

– Nie spostrzegłaś?...

Urwał. Wytrzeszczył oczy w swojej poczerwieniałej nagle twarzy i wybuchnął hałaśliwym śmiechem.

– Śniesz na jawie, Priscillo! – podjął znowu. – Dałem mu wyraźnie do zrozumienia, że jego uwagi nie zdołały mnie onieśmielić i jestem przekonany, iż był wściekły poczuwszy się tak niespodziewanie zdemaskowanym.

Miss Harradine zauważyła oczywiście wrogość Sandsa w stosunku do cudzoziemca i raniło to jej poczucie przyzwoitości. W ogóle gniewała ją fanfaronada majora.

– W takim razie potrafił w cudowny sposób zataić swój gniew – zauważyła.

– Zapewne. Przyznaję, że w sztuce udawania jest mistrzem. Ale ja łatwo dostrzegłem, że uznał swoją porażkę. Poza tym z początku utrzymywał, że nie myśli pozostać na „Centaurze”. Później gadał o przyjacielu, który czeka na niego w Sainte Croix, ale dopiero wtedy, gdy jego wysadzenie na tej wyspie zostało mu narzucone przez kapitana. Pytam się, co ten człowiek chciałby ukryć, że musi kłamać w sposób tak niezręczny?

– Ba! – westchnęła dziewczyna. – Ale po co pan się tym martwi, skoro ma on nas opuścić za kilka dni?

– Bogu dzięki! – odparł major.

– Po cóż błogosławić niebiosą z takim zapałem? Pan de Bernis byłby doskonałym towarzyszem podróży.

Major zmarszczył brwi i otworzył usta, aby coś powiedzieć. Usłyszał jednak stukot czyichś kroków. To de Bernis właśnie wchodził po stopniach prowadzących do tylnego kasztelu i kierował w ich stronę.

Sands znowu zmarszczył brwi na to najście, podczas gdy błyszczący wzrok dziewczyny zdawał się przyjmować Francuza z widocznym zadowoleniem. Podniosła się nawet, żeby mu zrobić miejsce na tapczanie. Tymczasem major starał się pokryć swą złość grzecznościowymi formułkami i chłodem.

Za rufą okrętu tonęły w błękitnych oparach zbocza Martyniki. „Centaur”, przechylony na lewą burtę, płynął na zachód.

Nad jego pokładem piętrzyła się piramida żagli. De Bernis opowiadał o bryzie północno-wschodniej używając terminów, które świadczyły o jego doskonałej znajomości spraw morskich. Żaglowcowi sprzyjało szczęście, gdyż w tej porze roku wiatry wiały na ogół z północy. Wyrażał też nadzieję, że już nazajutrz ujrzą wybrzeża Dominikany.

Major czuł się dotknięty do żywego. Pragnąc pokazać, że nic, co dotyczy Antyli, nie było mu obce, zdumiewał się, że Bransome zgodził się zatrzymać u brzegów wyspy o tak małym znaczeniu i zaludnionej prawie wyłącznie przez Karaibów z wyjątkiem jednej kolonii francuskiej w Rosseau. Natychmiastowa odpowiedź Francuza zdziwiła go tym bardziej.

– Z pewnością Rosseau nie jest portem o wielkim znaczeniu, ale bardzo sprzyja transakcjom handlowym, co jest ważne dla każdego kapitana, który wiąże finansowe nadzieje ze swoim ładunkiem.

Ścisła słuszność tego stwierdzenia sprawdziła się nazajutrz, gdy „Centaur” zarzucił kotwicę koło Rosseau na zachodnim brzegu Dominikany. Bransome, który istotnie był zainteresowany w transakcjach handlowych, jakie przeprowadzał na rachunek swoich armatorów, udał się na ląd, aby zakupić skóry zwierzęce. Wiedział doskonale, że będzie je mógł nabyć po najtańszej cenie z tego powodu, iż koloniści francuscy używali do zabijania bawołów i obdzierania ich ze skór Karaibów. Tubylcy ci bowiem zadowalali się mierną zapłatą i pracowali lepiej, niż niewolnicy murzyńscy z wielkich wysp zachodnich.

Ponieważ ładowanie skór zapowiadało dłuższy postój statku, de Bernis zaproponował wycieczkę na wyspę. Priscilla przyjęła ten projekt z zapalem, Sandsowi nie pozostało nic innego, jak również wziąć udział w tej eskapadzie. W towarzystwie Piotra, sługi Francuza, który wystarał się o konie dla nich, wyruszyli w głąb kraju, aby zwiedzić jezioro wrzących wód i urodzajne równiny, nawadniane przez rzekę Layon. Major nalegał, żeby towarzyszyła im eskorta, ale de Bernis zapewniał, że nie mają się czego obawiać ze strony łagodnych i przyjaźnie usposobionych Karaibów.

Priscilla jechała pomiędzy obu mężczyznami. De Bernis przykuwał uwagę dziewczyny ze względu na swą błyskotliwą wymowę, a major zapytywał w duchu sam siebie, czy Francuz posuwa swoje podobieństwo do króla Karola II aż do dzielenia wraz z nim uroku, jaki ów władca wywierał na kobiety. Jego niepokój, trwogę prawie, łagodziła jedynie myśl, że za parę dni ten groźny szatan o cygańskim obliczu zniknie na zawsze z ich życia.

Major nie mógł pojąć, co w tym płochym człowieku budziło zainteresowanie dziewczyny.

Ale myślał, że kobiety często w swoich ocenach popełniają tego typu omyłki. Bogu dzięki, że ten awanturnik wysiadzie w Saint Croix. Jeśli bowiem towarzyszyłby miss Harradine aż do Anglii, to z pewnością nie omieszkałby się dowiedzieć, że Priscilla odziedziczyła znaczny majątek i to by go pobudziło do rozwinięcia całej jego uwodzicielskiej sztuki.

Że de Bernis to awanturnik, o tym major był wewnętrznie przekonany całkowicie. Pochlebiał sobie, że zna się na ludziach, a poza tym przed Francuzem ostrzegał go instynkt. Jego obawy zostały potwierdzone jeszcze tego wieczora.

Skoro tylko zsiadli z koni na plaży, napotkali jakiegoś Francuza, odzianego w sposób niedbały i cuchnącego tytoniem oraz rumem. Był to jeden z łowców bawołów, którzy handlowali z Bransomem. Osobnik ten zatrzymał się zdumiony, robiąc wielkie oczy, i uparcie wpatrywał się w de Bernisa. Potem uśmiech rozszerzył jego wargi i ogorzała twarz. Zerwał kapelusz z ironicznie przesadną grzecznością.

Major nie rozumiał po francusku, ale poufały ton mowy nieznajomego nie mógł nikogo omylić.

– Toś ty, de Bernis? Niech mnie diabli, jeżeli spodziewałem się jeszcze cię zobaczyć!

De Bernis odpowiedział tym samym tonem:

– A toś ty, cudaku? To ty teraz handlujesz skórami?

Sands odciągnął dziewczynę pozostawiając obu mężczyzn, żeby mogli sobie porozmawiać.

– Dziwne, jak na dżentelmena, spotkanie – powiedział. – A jakich to ma dostojnych przyjaciół! Tym usilniej zapytuję siebie, kim jest ten człowiek?!

Ale ta pogardliwa ironia zniecierpliwiała Priscillę. Wiedziała ona, że na Antylach życie narzuca niekiedy dziwne znajomości i że jedynie ignoranci albo głupcy mogliby wyciągnąć z tego uwłaczające wnioski. Nie zataiła tej swojej myśli przed majorem.

– Jak to! Ty jeszcze go bronisz? – zakrzyknął.

– A kto go napada? – odparła. – Ty, Bart? Pan de Bernis nigdy nie utrzymywał, że przybywa prosto z Wersalu.

– Nie, bo wiedział dobrze, że byśmy wątpili w jego oświadczenie. Ten człowiek jest awanturnikiem, drogie dziecko.

Przytaknęła skinieniem głowy, co zdało się jeszcze bardziej rozjątrzyć majora, niż gdyby usiłowała protestować.

– Też tak przypuszczałam – powiedziała z uśmiechem. – Uwielbiam przygody

i awantumików.

De Bernis dogonił ich, oszczędzając w ten sposób dziewczynie nudnego kazania jej opiekuna, który solennie obiecał sobie jednak poruszyć z nią ten temat w bardziej sprzyjających okolicznościach.

Skoro tylko znaleźli się na statku, Sands natychmiast uczynił wzmiankę o dziwnym spotkaniu:

- Wielce to zaskakujące, panie de Bernis, że spotkał pan przyjaciela na tej wyspie.
- Bardzo dziwne – potwierdził Francuz. – Jest to towarzysz broni.
- Więc pan służył? – zapytał major zaskoczony.

Dziwny blask zapalił się nagle w źrenicach Francuza, który spoglądał na swego rozmówcę z miną rozbawioną, ale w milczeniu.

- Trochę – odpowiedział wreszcie.

Następnie zwrócił się do Bransome'a, zagłębił wygodnie w fotelu, gdzie odpoczywał w płóciennych spodniach i wełnianej koszuli.

– To był Lafarche, kapitanie. Mówił mi, że pan z nim handlował. Byliśmy razem w Santa Catalina pod rozkazami Simona podczas wypadu Pereza Guzmana. Po przegranej bitwie uciekłem z Lafarchem i dwoma innymi w łan kukurydzy. Koło północy załadowaliśmy się na łódkę i mieliśmy szczęście przedostać się na kontynent. Byłem ciężko ranny. Odłamek kartacza strzaskał mi ramię. Ale w pewnych wypadkach nieszczęście wychodzi na dobre. To mi właśnie uratowało życie, ponieważ musiałem się ukrywać po zranieniu. Miałem wówczas zaledwie dwadzieścia lat. Jedynie moja młodość i tężyzna uratowały ramię od amputacji. Żaden z naszych stu dwudziestu towarzyszy nie uniknął rzezi.

Urwał zamyślony i byłby porzucił ów smutny temat, gdyby Priscilla nie zaczęła nań nalegać, by zechciał opowiedzieć nieco więcej szczegółów.

De Bernis jakby z niechęcią opisywał kolonię założoną w Santa Catalina przez Mansvelta, gdzie uprawiano trzcinę cukrową, kukurydzę i tytoń. A ona słuchała go chciwie, z drżącymi wargami, otwierając szeroko swoje wielkie oczy, kiedy opowiadał, jak z Panamy przybyli na czterech wielkich żaglowcach pełnych wojska Hiszpanie. Simon odpowiedział im dumnie, że otrzymał zarząd kolonii od króla Anglii i prędzej umrze na miejscu z bronią w ręku, niż odda ją Hiszpanom. Nierówna walka zakończyła się rzezią obrońców i zniszczeniem plantacji.

Gdy de Bernis zamilkł, smutny uśmiech igrał przez chwilę na jego wargach i lekkie

zmarszczki, które zaznaczały się na jego twarzy, pogłębiły się nagle.

– Hiszpanie – podjął znowu – zapłacili za to w Porto Bello i w Panamie. Zapłacili drogo. Ale cała ta krew przelana nie przywróciła życia Francuzom i Anglikom sprzymierzonym do obrony Santa Cataliny.

Nawet major nie mógł oprzeć się wzruszeniu zrodzonemu pod wpływem opowiadania awanturnika.

Nieco później, już po obiedzie, de Bernis poszedł do swej kajuty po gitarę. Zasiadłszy na skrzyni, zwróconej plecami do szerokiej, pokrytej podzwrotnikową nocą zatoki, zaśpiewał arię ze swojej rodzinnej Prowansji oraz dwie czy trzy piosenki hiszpańskie, wyjątkowo wzruszające, które komponowano wówczas w Maladze. Jego ciepły baryton spowodował bicie serca Priscilli, której oczy zamgłyły się od łez, a Sands musiał przyznać, że de Bernis ma głos wspaniały. Uczynił to jednak tonem protekcyjnym, jak gdyby chciał wyraźnie zaznaczyć przepaść, dzielącą dwoje angielskich podróżnych od spotkanego przypadkiem cudzoziemca. Uznał tę ostrożność za konieczną, Priscilla bowiem, tak młoda i niedoświadczona, wyraźnie zaczęła ulegać czarowi Francuza.

Nazajutrz już z samego rana podjął major swą skrytą kampanię, ale tym razem omal nie pokłócił się ze swoją podopieczną. Stali wsparci o reling tylnego kasztelu i patrzyli w dół na załogę ładującą pęki zakupionych przez kapitana skór, który osobiście dozorował tę pracę. W promieniach podzwrotnikowego słońca nie była ona łatwa. Nadzy do pasa i ociekający potem marynarze podnosili z zacumowanych do burty żaglowca tratwę pęki towaru i opuszczali je do mrocznych ładowni okrętu.

Wśród tego zamieszania i dusznej atmosfery de Bernis zbliżył się do kapitana. Nie miał na sobie kaftana, co stanowiło ustępstwo na rzecz panującego upału, ale jego koszula była z cieniutkiego, plisowanego batystu. Zdawał się czuć bardzo swobodnie w swoich ciemnoczerwonych spodniach, chociaż zachował perukę i czarny kapelusz o szerokim rondzie. Pozdrowił Bransome'a i powiedział parę słów do Sproata, szefa załogi. Później, wychylając się za burtę okrętu, popatrzył na milczących Karaibów dowodzonych przez hałaśliwych Francuzów. Zagadał wesoło do swoich rodaków, a ci, wybuchając śmiechem, odpowiadali na jego żarty. Kiedy Lafarce wdrapał się na pokład, dopominając się o rum, de Bernis poparł jego prośbę u kapitana i poszedł wraz z obu do kambuza, obejmując ręką ramiona łowcy bawołów.

– Nie ma w nim za grosz godności – zauważył major z miną wyrażającą niesmak.

Priscilla rzuciła nań ukośne spojrzenie i zmarszczyła brwi.

– Nie podzielam twego zdania – powiedziała.

Sands, wsparty o parapet, powstał, wyprostował swoje skrzyżowane grube nogi i spojrzał na nią poważnie z miną wyrażającą pewność siebie.

– A! – podjął nieco zaskoczony. – Widząc jak się tłucze z całą tą hołotą, nie można o nim sądzić inaczej. Nie byłbym zdolny go naśladować, słowo daję.

– Jestem o tym przekonana – odrzekła Priscilla. – Trzeba być szczególnie pewnym siebie, aby móc postępować z taką prostotą.

– Ja... Ja... nie rozumiem – bąknął Sands tonem człowieka dotkniętego do żywego. – Słowo daję, że nie rozumiem.

– Pan de Bernis – ciągnęła nielitościwa dziewczyna – jest człowiekiem, któremu urodzenie i doświadczenie pozwalają na wzgardę dla pewnych małosłownych względów dumy.

– Wielki Boże! – wykrzyknął major. – Czyś nie powiedziała urodzenie? Jakie masz na to dowody?

– Jego nazwisko, zachowanie, jego...

– Jego nazwisko? – przerwał Sands wybuchając śmiechem. – Czy mówisz o tym de? To nic nie znaczy! A poza tym, czy on naprawdę nazywa się de Bernis? A co do jego zachowania, to sama widziałaś przed chwilą, jak za pan brat figlował z tymi obdzieraczami zwierząt. Szczególny zaiste dżentelmen!

– Powracasz do punktu wyjścia naszej rozmowy – odpowiedziała chłodno Priscilla. – Wyjaśniłam ci, dlaczego taki człowiek, jak on, może sobie pozwolić na podobne poufałości. Nic na to nie odpowiedziałeś.

Major z trudnością ukrywał swoje rozdrażnienie. Jednakże było nieroztropnie sprzeciwiać się spadkobierczyni tak okazałego majątku. Należało zachować ostrożność.

– Droga Priscillo, nie czekałaś na moją odpowiedź. Jesteś młoda, drogie dziecko. Ufaj mojemu doświadczeniu. Na cóż zresztą sprzeczać się na temat wartości człowieka, który lada dzień porzuci nas na zawsze?

Westchnęła i zaczęła się wachlować. Może słowa, które wygłosiła, były po to tylko wypowiedziane, by poirytować majora:

– Myśl, że pan de Bernis opuści nas za kilka dni, nie jest dla mnie bynajmniej miłą. Tak rzadko spotyka się ludzi, których chciałoby się ujrzeć znowu. A on do takich właśnie należy.

– W takim razie – odrzekł hamując gniew – błogosławię niebiosy, że on wysiada w Sainte Croix. Miałaś bardzo mało sposobności, drogie dziecko, w tym zapadłym kraju dobierać sobie przyjaciół i ustalać stosunki. Parę miesięcy spędzonych w Anglii pozwoli uczynić cię bardziej przenikliwą.

– Możliwe – powiedziała głosem cichym i potulnym. – Dotychczas musiałam przyjmować takich przyjaciół, jakich mi zesłały okoliczności. W Anglii będę mogła dobierać ich wedle upodobania.

To dwuznaczne oświadczenie zaniepokoiło majora, ale nawet nie drgnął. Wszak cały rejs przed nimi. A już on tak potrafi działać, by nim statek zawinie do ostatniego portu, dziewczyna nie miała żadnych wątpliwości, kto powinien być jej mężem.

Priscilli jednak zdawało się leżeć na sercu, by ukarać swego opiekuna za jego uroszczenia.

– Co do pana de Bernis – ciągnęła dalej – to może uda nam się go namówić, aby pozostał na pokładzie. Podróż bez niego wydałaby się długa i nudna.

Fala krwi uderzyła Sandsowi do twarzy. Priscilla uśmiechnęła się łagodnie i kolejny raz ugodziła majora:

– Dlaczego nie próbujesz namówić go do tego, Bart?

– Ja? Namawiać go? Na honor! Żartujesz chyba?

Wybuchnęła śmiechem i obróciła się doń plecami.

W chwilę po tym incydencie przybył pod płócienny daszek de Bernis. Przyniósł Priscilli pełen owoców koszyk z liści palmowych. Dziewczyna przyjęła dar i dziękowała Francuzowi, który się tłumaczył:

– To doprawdy taka drobnostka.

– Drogi panie, czyż nie liczą się intencje? – odrzekła.

Major, upadły na duchu, pozostawał milczący i nadąsany, podczas gdy de Bernis rozmawiał z Priscilla, która ciągle wybuchała śmiechem na skutek niewinnych żartów swego rozmówcy. „Co mogłoby się zdarzyć, gdyby ten awanturnik zdecydował się nagle pozostać na pokładzie »Centaura«? Co się stanie, jeśli Priscilla poprosi nierozważnie Francuza, żeby pozostał? Te pytania spowodowały, że Sands pozostał niespokojny przez resztę dnia, przeklinając opóźnienie spowodowane ładowaniem skór. Nie wiedział jednak, że i do niego uśmiechnie się szczęście i jeszcze tego wieczoru weźmie odwet na dumnym Francuzie.

Centaur opuścił Dominikanę tuż przed zachodem słońca i wziął kurs na wyspę Aves, aby przejść prosto na wody Gwadelupy.

Kapitan, skoro tylko powierzył manewry swemu zastępcy, wrócił do kabiny, gdzie oczekiwali go pasażerowie. Za rufą żaglowca pozostawała wielka zatoka okolona zielonymi zboczami wyspy. Bransome oznajmił z westchnieniem, że widzi ją po raz ostatni, ale natychmiast odzyskał swój dobry humor. Jeszcze jeden przystanek w Sainte Croix i okręt pożegluje wprost do Anglii, gdzie rodzina czeka na niego z nadzieją, że wyrzeka się on nareszcie życia na morzu.

Radość uczyniła Bransome'a rozmownym. Siedząc na pierwszym miejscu stołu w wełnianej koszuli i perkalowych spodniach, i mając z tyłu swojego sługę w krótkiej białej kurtce, zabawiał swych gości podczas uczyty składającej się ze świeżego mięsa oraz warzyw, zakupionych na wyspie, i kazał nalewać w krąg słodkie wino z Peru, które szczególnie lubił.

– Jakie to dziwne – zauważył – że człowiek ledwie zna swoje własne dzieci, czterech małych chłopców, którzy są dla mnie prawie obcy.

Uśmiech rozjaśnił surowe oblicze marynarza.

– Ale – podjął znowu – przyszłość należy do nas i mam nadzieję, że potraktuje mnie lepiej, niż to czyniła przeszłość. Moja żona, taka cierpliwa, czeka na zakończenie tego ostatniego rejsu... ostatniego i najbardziej udanego. Te skóry przyniosą dużo pieniędzy, a kupiłem je niezmiernie tanio. Lafarche był bardzo rozsądny.

Nazwisko francuskiego flibustiera zdawało się zmienić bieg myśli kapitana. Spojrzał na de Bernisa, który siedział na lewo od niego, samotny po tej stronie stołu, naprzeciw miss Harradine i majora.

– Dziwne – podjął Bransome – że pan po tylu latach spotkał swego towarzysza broni. Dziwne jest również, że ja zapomniałem, kim pan był. Pańskie nazwisko jednak nie było mi obce, a Lafarche natychmiast naprowadził mnie na dobrą drogę.

– Tak – przyznał de Bernis. – To był tylko czysty przypadek. Spotkawszy siwiejącego już Lafarche'a uczułem, że się nagle postarzałem. Oto co znaczy rzucić się w wir życia w tym wieku, kiedy większość naszych rówieśników nie opuszcza jeszcze szkolnych ławek.

Major nadstawił ucha.

– Czy Lafarche był flibustierem, kapitanie? – zapytał.

– Tak – odezwał się de Bernis. – Później poszedł za mną, kiedy zaciągnąłem się pod chorągiew Morgana.

– Morgana? – wykrzyknął major, który nie wierzył własnym uszom. – Czy chcesz pan mówić o sir Henry Morganie?

– Tak. Sir Henry Morgan, gubernator Jamajki.

– Ależ... – podchwycił Sands ściągnając brwi – chyba nie będziesz pan utrzymywał, że sam również żeglowałeś pod jego rozkazami?

De Bernis zdawał się nie dostrzegać tonu niedowierzania, którego użył major. Odpowiedział bowiem bardzo prosto:

– Tak. Walczyłem z nim w Porto Rico i w Panamie, gdzie dowodziłem kontyngentem francuskim. Tam to pomściliśmy srogo krew przelaną pod Santa Catalina.

Zaciekawiona Priscilla chciwie wpatrywała się w kawalera de Bernis. Nie zdając sobie sprawy, że rani tym majora, czekała, by Francuz zaczął opowiadać o jakiejś bohaterskiej przygodzie.

Ale twarz Sandsa pozostawała nieczuła i stanowcza. Odczuwał on zadowolenie, że zdemaskował tego, który mimo swego ugrzecznienia i polerowanych manier, był tylko nędznym flibustierem. Nastąpiło milczenie, podczas którego de Bernis spokojnie napełniał swój kielich winem peruwiańskim. Właśnie stawiał na powrót flakon na stole, gdy furia majora nagle wybuchła.

– W takim razie – wykrzyknął niezdolny już powstrzymać się dłużej – jesteś pan tylko przeklętym piratem. Słowo daję! I masz pan czelność przyznawać się do tego bezwstydnie?

Priscilla i kapitan zaprotestowali jednocześnie:

– Bart!

– Majorze Sands!

De Bernis nie okazał żadnej urazy. Uśmiechnął się i podniósł swoją kształtną rękę.

– Piratem? Nie! Flibustierem albo bukanierem, jeśli pan pozwoli.

– Cóż to za różnica? – zaśmiał się major.

– Jest, i to bardzo duża.

Kapitan Bransome pospieszył z wyjaśnieniem, do czego Francuz bynajmniej się nie kwapił, że flibustierzy byli zorganizowani i posłuszni artykułom swego rodzaju ustawy. Rządy Francji i Anglii były im wdzięczne za usługi, jakie oddali walcząc wyłącznie z Hiszpanami.

De Bernis znowu zabrał głos:

– A te walki były prowadzone tak, jak tylko flibustierzy mogli to czynić. Nie śmiałyby się pan

tak łatwo, majorze Sands, gdybyś pan wraz z nami przebył pieszo przesmyk Darien.

Dał się porwać chęci opowiadania swoich przygód, opisując cierpienia niewielkiej kolumny wojowników pozostawionych samym sobie, bez prowiantu, żywiących się rzadkimi jajami aligatorów odnalezionymi na brzegach rzeki Chagres, a które cuchnęły piżmem. Flibustierzy musieli żuć swoje pasy, aby oszukać głód. Ileż niedostatków wycierpieli, ileż zdawałoby się nieprzewycięzonych przeszkód pokonali dzięki swej energii! Wyczerpana kolumna przybyła na odległość wzroku do Panamy wtedy, gdy miasto, uprzedzone, obsadziło armatami swe mury i zwerbowało tysiące kawalerzystów.

– jeśliby Hiszpanie wprowadzili z powrotem do miasta swoje bydło, które pasło się w sawannie – opowiadał de Bernis – bylibyśmy pomarli z głodu zamiast szturmować. Ale ubiliśmy w nocy bawoły oraz konie i pożeraliśmy ich mięso na surowo. W ten sposób, za łaską boską, odzyskaliśmy dość sił, żeby wziąć miasto szturmem.

– Dzięki łasce boskiej! – wykrzyknął major oburzony. – Pan bluźni!

– Nie jest pan zbyt delikatny – odrzekł cierpliwie Francuz.

– Nazywam rzeczy po imieniu – odpowiedział Sands. – Flibustierzy, bandyci i złodzieje, to wszystko jest do siebie podobne. Splądrowanie Panamy, mój panie, w jakikolwiek sposób pan je przedstawi, było tylko złodziejską wyprawą. Morgan i jego ludzie pozostają jedynie bandytami.

Ten bezpośredni i nagły napad poruszył kapitana Bransome'a. Jakakolwiek by była obecna sytuacja de Bernisa, skoro był on w przeszłości flibustierem, nie mógł pozwolić obrażać się bezkarnie, a Bransome pragnął, żeby spokój panował na pokładzie „Centaura”. Ale Francuz nie dał się wyprowadzić z równowagi i odrzekł Sandsowi:

– Daję słowo majorze, że pan zdradza swojego króla. Ma on na szczęście nieco mniej subtelne poczucie uczciwości. Gdyby traktował Morgana jak złodzieja, nie uczyniłby go ani szlachcicem, ani gubernatorem Jamajki.

– To prawda – poparł go Bransome. – I musi pan również wiedzieć, że tu obecny pan de Bernis został mianowany przez króla Anglii pierwszym zastępcą sir Henryka.

Tym razem to nie major zaprzeczył, ale sam de Bernis.

– Nie jestem już zastępcą sir Henryka Morgana – wyjaśnił. – Podobnie jak pan, kapitanie, powracam do swego kraju, aby cieszyć się tam dobrze zasłużonym odpoczynkiem.

– To nieważne – odrzekł Bransome. – W niczym bowiem nie zmienia to faktu, że był pan

mianowany przez króla na swoje ostatnie stanowisko i to powinno przekonać pana Sandsa, że posunął się za daleko.

Ten jednak ani myślał składać broń!

Panowie, wiecie równie dobrze jak ja, że potrzeba człowieka w rodzaju Morgana, by oczyścić Morze Karaibskie z piratów, którzy je niepokoją. I właśnie za to dano mu tytuł i gubernatorstwo Jamajki.

De Bernis wzruszył ramionami i począł kosztować z pogardliwą miną zawartość swojego pucharu, pokazując wyraźnie, że wycofuje się z dyskusji. Ale kapitan podjął rękawicę.

– Jakkolwiek tam było – mówił – jesteśmy winni sir Henrykowi wdzięczność za to chociażby, że możemy teraz spokojnie żeglować.

– Czyżby aż tak doskonale wypełnił zadanie? – zaśmiał się major. – Podczas swojej ostatniej bytności w Londynie ledwie uniknął stryczka. Oskarżono go, że zbyt łagodnie prześladowuje swoich dawnych kamratów. Jedynie ta groźba popchnęła go do działania. Odtąd zdaje się wykazywać nieco większą gorliwość. Ale nie można przecież zapominać, że był on piratem!

– Kto inny nie potrafiłby uczynić tego, co on zrobił! – protestował Bransome.

Sands jednak upierał się. W ferworze dyskusji poruszał nawet tematy, których dotychczas unikał w obecności Priscilli, nie chcąc jej niepokoić.

– A ten bandyta Tom Leach, który wciąż jeszcze grasuje po Morzu Karaibskim ku hańbie Morgana i jego krążowników?

Twarz kapitana sposepniała.

– Tak, Tom Leach – powiedział. – Oby diabli porwali jego duszę! Ale Morgan go schwytał! I na miły Bóg, nie chciałbym wtedy być w jego skórze! Od Campeche do Trynidadu, od Trynidadu do Bahamów każdy wie dobrze, że sir Henryk obiecał pięćset funtów nagrody za głowę tego ostatniego flibustiera.

De Bernis postawił swoją szklankę.

– Kapitanie – zaprotestował – Leach nie jest flibustierem, tylko zwykłym piratem.

– Tak jest – zgodził się Bransome. – Najokrutniejszym, bez czci i miłosierdzia, wojującym ze wszystkimi, żeby kraść, rabować i mordować.

Opowiedział o kilku strasznych czynach Leacha. De Bernis przerwał mu podnosząc rękę:

– Przyprawi pan o chorobę miss Harradine – rzekł.

Dziewczyna rzeczywiście była blada, zatem kapitan zakończył swój wybuch życzeniem:

– Oby Bóg powiódł tego bandytę do portu otoczonego przez dwie fregaty królewskie i oby powieszono nareszcie tego łotra!

– Dość już rozmowy o piratach – powiedziała stanowczo Priscilla.

Pochyliła się w kierunku de Bernisa i uśmiechnęła się. Nie było wątpliwości, że pragnie go wynagrodzić za jego godną podziwu cierpliwość i spokój, jakie zachował w obliczu grubiańskiej prowokacji Sandsa.

– Panie de Bernis – powiedziała – czy zechce nam pan jeszcze co zaśpiewać przy wtórze swej gitary?

Major pozostawał nadąsany i gniewny, gdy stwierdził, że wszystko, czego usiłował dokonać czyniąc aluzje do przeszłości awanturnika, tak mało wzruszyło miss Harradine. Stanowczo czas był ku temu najwyższy, żeby ta dziewczyna wróciła do Anglii, gdzie nauczy się patrzeć na życie bardziej poważnie i z większą godnością.

Tocząca się w kabinie rozmowa na temat Henryka Morgana i Toma Leacha ukazywała w skrócie znaczenie obu tych osobistości.

Morgan istotnie został surowo upomniany przez władze angielskiej metropolii za brak gorliwości w wypełnianiu zadania, jakie mu zostało powierzone. Zarzuty te były jednak nazbyt ciężkie i niesprawiedliwe. Od czasu bowiem, jak wycofał się ze stowarzyszenia „Braci Wybrzeża”, człowiek ten dokonał cudów. Dany przezeń przykład, fakt, że stanął pod sztandarem porządku i prawa, pociągnął olbrzymią większość flibustierów pod jego rozkazy, spowodował powrót tych ludzi do zajęć tak mało wojowniczych, jak karczowanie lasów, uprawa ziemi czy polowanie na bawoły. Morgan istotnie ogłosił powszechną amnestię ofiarowując wraz z całkowitym przebaczeniem win bezpłatne przydziały dwudziestu pięciu akrów gruntu dla każdego flibustiera, który o to poprosi. Ścigał opornych z taką zajadłością, iż zarzuty metropolii nie były usprawiedliwione w żaden sposób. Pewnie, że pomimo wysiłków sir Henryka jeszcze paru piratów trzymało się na morzu i to poniekąd wyjaśniało nieufność dworu, który nie zaważał się utrzymywać, że Morgan odgrywał podwójną rolę.

Ten zaś dotknięty mocno skutkiem królewskiego niezadowolenia poprzysiągł sobie schwytać ostatnich piratów, a przede wszystkim najznacniejszego wśród nich, Toma Leacha, o którym mówił major Sands. Zadanie było trudne. Leach, zarówno dobry żeglarz, jak bandyta, zebrał pod swoje rozkazy najdzielniejszych rozbójników i na statku o czterdziestu armatach, „Czarnym

Łabędziu”, szerzył postrach na Morzu Karaibskim. Wyjęty odtąd spod prawa, Leach odstąpił od zasad do niedawna przestrzeganych przez flibustierów. Napadał na wszelkie statki handlowe, jakie tylko napotkał. Rabował je i zatapiał bez względu na banderę, pod jaką żeglowały.

Od czterech miesięcy Morgan ścigał go na próżno. Aby przyspieszyć jego schwytanie, obiecał nagrodę pięciuset funtów za rozbójnika. Tymczasem Leach unikał wszelkich zasadzek, a nawet na wodach wyspy Granady zaatakował zuchwale dwie fregaty sir Henryka, zatapiając jedną z nich i unieszkodliwiając drugą.

Toteż westchnienia czy modlitwy kapitana Bransome’a były całkowicie uzasadnione. Oby ten pirat mógł zostać sprowadzony do portu i powieszony wysoko, a krótko. Dzień następny miał niestety wykazać, że modlitwa nie została wysłuchana dość wcześnie, żeby uratować „Centaura”.

Kiedy pan de Bernis wydostał się na pokład, aby uprzedzić kapitana i jego pasażerów, że podano śniadanie, znalazł Bransome’a na rufie, pilnie zajętego obserwowaniem okrętu pędzącego pod wszystkimi żaglami o trzy czy cztery mile na wschodzie po lewej burcie „Centaura”. Major Sands w czerwonym kaftanie stał obok kapitana i Priscilli ubranej w mlecznozieloną suknię z koronkami o barwie kości słoniowej, przydającej uroku i piękności jej jaśniejszej cerze.

Wiatr zmienił się w ciągu nocy na północny i orzeźwiający. Pochylny na lewą burtę okręt posuwał się na zachód. Znajdowano się jeszcze na pełnym morzu w odległości wielu mil od wyspy Aves. Bransome, skoro tylko usłyszał zbliżające się kroki, opuścił lunetę i zwrócił się do Francuza: Powiedz mi pan, co o tym myśleć.

De Bernis wziął lunetę, nie zwróciwszy uwagi na poważną minę kapitana. Najpierw skłonił się Priscilli i majorowi, ale kiedy podniósł instrument na wysokość oka, pozostał długo nieruchomy. Ukończywszy swoje badanie, opuścił ręce i pozostał przez chwilę zamyślony, nie mówiąc ani słowa. Potem postąpił kilka kroków do parapetu pokładowego, wsparł się na łokciach, i jął na nowo przyglądać się żaglowcowi. Obserwował szczegółowo czarny kadłub i kształt dziobu. Próbował policzyć luki armatnie na lewej burcie okrętu, o ile ruch żaglowca na to pozwalał. Przypatrywał się również ożaglowaniu, a potem na próżno szukał bandery.

Jego inspekcja trwała tak długo, że kapitan, zniecierpliwiony, nie mógł się powstrzymać, by nie wtrącić:

– A więc mój panie? Co pan sądzisz?

Francuz wyprostował się i wyciągnął lunetę do Bransome’a. Był spokojny i opanowany, na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– Piękny żaglowiec – rzekł. – Ale czeka na nas śniadanie.

Major, który cieszył się ogromnym apetytem, pospieszył w kierunku kabiny, pociągając za sobą Priscillę.

Kiedy oboje znaleźli się poza zasięgiem głosu, de Bernis przestał się uśmiechać. Jego wzrok napotkał niespokojne wejrzenie kapitana.

– Nie chciałem trwożyć miss Harradine – powiedział. – Masz pan rację. To jest naprawdę, jak pan zapewne przypuszczał, „Czarny Łabędź”, okręt Toma Leacha.

– Czy jest pan tego pewny?

– Tak samo jak tego, że kieruje się on w tej chwili na przecięcie naszego kursu.

Kapitan zaklął w swoją rudą brodę.

– A miała to być moja ostatnia podróż! – zagrzemiał. – Czy myślisz pan, że on ma zamiar nas zaatakować?

– To jest Tom Leach! Steruje, żeby odciąć panu drogę! – zawołał de Bernis wzruszając ramionami.

Bransome klął gwałtownie, jak człowiek, który poczuł się osaczony.

– Łajdak! Bandyta! A co robi pański przyjaciel Henryk Morgan? Dlaczego pozwala temu piratowi pływać po morzu, jak mu się zechce? Czy po to król zrobił go szlachcicem i gubernatorem Jamajki?

– Sir Henryk schwyta Toma Leacha prędzej czy później, bądź pan tego pewny – odrzekł spokojnie Francuz.

– Prędzej czy później! Dla nas będzie to już za późno! Cóż mamy teraz robić?

– Co możesz pan uczynić?

– Uciekać albo bić się.

– Co pan wolisz?

Bransome uspokoił się na chwilę, ale później wybuchnął jeszcze gwałtowniej.

– Jak ja mogę walczyć? On ma dwa razy tyle armat, co ja.

A jeśli dojdzie do abordażu, to przecież na „Czarnym Łabędziu” jest dziesięć razy tyle ludzi.

– A więc uciekać?

– Panie de Bernis, oni mają dwa razy tyle żagli!

Na pokładzie ludzie z załogi obserwowali czarny okręt bez szczególnej ciekawości ani

podejrzenia. De Bernis znów pochwycił lunetę. Mówił w dalszym ciągu, nie przestając obserwować „Czarnego Łabędzia”.

– Pomimo swojego ozaglowania on nie idzie zbyt prędko. Długo przebywał w morzu i jego kil gwałtownie domaga się oczyszczenia.

Opuścił lunetę.

– Na pańskim miejscu, kapitanie, poszedłbym o trzy, cztery stopnie bliżej wiatru. W ten sposób „Centaur” płynąłby szybciej niż „Łabędź”.

Rada ta rozjątrzyła Bransome’a.

Ależ – wykrzyknął – dokąd by to nas doprowadziło? Najbliższym lądem na tej linii byłoby Porto Rico oddalone o przeszło dwieście mil!

– To nieważne. Jeżeli bryza nie ucichnie, Leach nie może na panu nic zyskać, gdy będziesz pan żeglował pod wiatr. Nie ma najmniejszego ryzyka, o ile zachowasz pan odległość, która teraz oddziela oba okręty.

– Jeżeli bryza się utrzyma? A kto zaręczy, że bryza się utrzyma? – biadał kapitan. – Ona bynajmniej nie wieje normalnie, wzięwszy porę roku.

Bransome stał zły, niezdecydowany, ze ściągniętymi brwiami.

– Jeżeli skręcę z kursu – rozważał – to moglibyśmy osiągnąć Dominikanę. Jest to najbliższa wyspa.

– Tak – odpowiedział de Bernis – ale niech pan pamięta, że mając wiatr z rufy „Czarny Łabędź”, pomimo kiepskiego stanu kadłuba, dogoni nas w kilka godzin.

Strach uczynił kapitana upartym i głuchym na słuszne racje de Bemisa.

– W kierunku Dominikany możemy spotkać inne okręty – mówił.

Zaraz też, nie czekając nawet na odpowiedź, wydał sternikowi rozkaz zmiany kursu.

De Bernis aż zaklął stwierdziwszy, że Bransome nakazał jednak ten szalony manewr. Usiłował protestować, raz jeszcze przekonywać kapitana, ale ten krótko uciął wszelkie dyskusje. On dowodzi „Centurem” i przy nim jest komenda. Może wysłuchać czyichś rad, ale odmawia przyjmowania rozkazów.

Zaraz też okręt zakołysał się lekko, uczynił nagły skręt i gdy po zwrocie wyprostował się na kilu, odsądził się na południe pchany wiatrem od rufy. Zdumiona tym nagłym manewrem załoga rzuciła się, przynaglana rozkazami Bransome’a, do stawiania dodatkowych żagli. Pozostający w tyle „Czarny Łabędź” wykonał po chwili podobny manewr, odsłaniając tym samym swój

zamiar schwytania „Centaura” w pościgu.

Marynarze zrozumieli, że ich okręt ucieka przed wrogiem. Wolni od pracy majtkowie, którzy wyszli z dziobowej nadbudówki, stali nieruchomo na pokładzie.

Bransome raz jeszcze skierował lunetę na żaglowiec Toma Leacha. Przyglądał mu się dłuższą chwilę. Kiedy opuścił rękę, jego twarz wyrażała głębokie przerażenie. Był blady, a jego tłuste wargi drżały.

– Miałeś pan rację – przyznał. – On nas prędko dogoni. Może dlatego, że nie wszystkie nasze żagle są już postawione? Tak czy inaczej, nim dopłyniemy do Dominikany, on będzie przy nas. Co pan teraz radzisz robić? Jeszcze raz zmienić kurs?

Ton głosu kapitana zmienił się. Upokorzony wskutek pewności, że powinien jednak pójść za radą Francuza, odwołał się znowu do jego doświadczenia. De Bernis nie odpowiedział od razu. Namyślał się ze ściągniętymi brwiami, a Bransome czekał cierpliwie.

– Za późno – powiedział wreszcie Francuz. – Straciłeś pan zbyt wiele czasu. On ma odtąd nad panem przewagę wiatru. Wystarczy mu przełożyć ster o parę stopni, by przeciąć nam drogę. Nie kapitanie, trzymaj się pan swojego kursu. Ale to oznacza, że nie wystarczy już tylko uciekać. Musimy gotować się do bitwy.

– Ojczy niebieski! – zakrzyknął Bransome. – Jakże ja mogę pokonać tak potężny okręt?

– Widziałem już zwycięstwa odniesione w jeszcze mniej sprzyjających warunkach.

Spokój Francuza podziałał kojąco na Bransome’a, który z wolna zdawał się odzyskiwać zimną krew.

– Zresztą – powiedział – jak człowieka przycisnąć do muru, to nie pozostaje mu nic innego, jak walczyć. Czy masz pan jakiś pomysł?

De Bernis zapytał głosem dobitnym i nakazującym posłuszeństwo:

– Ilu jest ludzi na pokładzie?

– Dwudziestu sześciu, licząc w to szefa załogi. Leach ma ich przynajmniej trzystu.

– I dlatego nie możemy mu pozostawić szansy wdarcia się na pokład. Oddaj mi pan dowództwo nad baterią.

Twarcz kapitana rozjaśniła się.

– Mam przynajmniej to szczęście, że jest pan na pokładzie.

– Mam nadzieję, że i ja będę je miał. Nie chciałbym dziś stoczyć swej ostatniej bitwy.

Zawołał Piotra, który czekał na pomoście na rozkazy swego pana.

– Trzymaj synu!

Zdjął swój błękitny kaftan, batystową koszulę, kapelusz, perukę, pończochy oraz pantofle i podał to wszystko Metysowi, nakazując mu zanieść do kajuty. Z nagağ piersią, z włosami krótko związanymi chustką zstąpił na pokład, gdzie gwizdek szefa załogi wzywał już marynarzy na stanowiska bojowe.

Ośmiu ludzi pod dowództwem Purveya, szefa kanonierów, ustawiło się przed kapitanem, który przemówił do nich krótko:

– Pan de Bemis objął komendę nad baterią. Pamiętajcie chłopcy, że w tej chwili tylko armaty mogą uratować nasze życie!

Francuz kazał natychmiast otworzyć luki armatnie i ustawić działa na miejscach. Nim jednak wyruszył pod pokład za kanonierami, zwrócił się do Bransome'a.

– Powierzyłeś mi pan odpowiedzialność za bitwę i możesz pan liczyć na mnie. Proszę jednak o ułatwienie mi zadania. Trzeba manewrować śmiało. Szansę nasze są nikłe i zależeć będą od jednej szczęśliwej salwy. Jakiegokolwiek groziłyby niebezpieczeństwa, manewruj pan w ten sposób, bym mógł strzelać z bardzo bliska. Odwagi, kapitanie! Jedyne odwaga może nas zbawić.

– Tak, tak! – mówił Bransome, kiwając głową z miną wielce zdecydowaną.

Wzrok de Bernisa spoczął na kapitanie, a potem wznosił się ku wydętym żaglom. Przez chwilę popatrzył na czarny kadłub ścigającego ich okrętu i zszedł na międzypokład, gdzie kanonierzy pod dowództwem Purveya nabijali już działa. „Centaur” przygotowywał się do bitwy.

Priscilla i major jedli spokojnie śniadanie, nie domyślając się nawet powagi sytuacji. Z początku dziwiła ich nieco nieobecność kapitana i de Bernina, ale wkrótce, przynaglenni głodem, rozpoczęli posiłek sami.

W kilka minut później wkroczył Piotr i przeszedł przez kabinę na palcach. Niósł paczkę odzieży. Na postawione przez Priscillę pytanie odpowiedział, że pan de Bemis jadł na pokładzie. I dziewczyna, i major nie byli ciekawi i więcej nie pytali.

Po śniadaniu miss Harradine zasiadła na kufrze stojącym w rogu kabiny. Jej wzrok zatrzymał się na gitarze Francuza, leżącej tu od poprzedniego wieczora. Wzięła instrument do ręki, musnęła struny końcami palców, a potem odwróciła się, by spojrzeć na morze.

– Jakiś okręt blisko nas – wykrzyknęła zachwycona.

Okrzyk sprowadził do niej majora i oboje patrzyli na czarny żaglowiec, który płynął śladem

„Centaura”.

Sands wpadł nagle w nastrój liryczny i mówił o piękności okrętu, którego takielunek o wydętych żaglach oświetlały ukośne promienie słońca. Trwali w tym zachwycie dłuższą chwilę, nie przeczuwając grozy, jaką niósł ten czarny żaglowiec i nie zwracając uwagi na niezwykle hałas dobiegający z pokładu.

Purvey i jego ludzie byli gotowi do działania na dziobie okrętu. Armaty, które miały przeciwstawić się czterdziestu działom „Czarnego Łabędzia”, były naładowane, wymierzone, gotowe do strzału. De Bernis nastawiał je na cel osobiście w ten sposób, aby pociski trafiły w takielunek nieprzyjacielskiego okrętu, bardziej wrażliwy na uszkodzenia, niż jego ledwie widoczny kadłub. Gdyby udało mu się dzięki takiej salwie zmniejszyć szybkość i zdolność manewrowania pirata, możliwą stałaby się ucieczka, a nawet zaatakowanie unieruchomionego okrętu pozwalało mieć nadzieję na powodzenie akcji. Wszystko zależało jednak od jednej skutecznej salwy.

Z pokładu rufowego, przycupnięty przy jednym z dział odwodowych, de Bernis czuwał nad ruchami nieprzyjaciela. Upłynęła już godzina, odkąd „Centaur” zmienił kierunek. „Czarny Łabędź” z wolna, ale nieustannie, zbliżał się, szybciej nawet, niż Francuz się tego spodziewał. Obydwa okręty oddalone były od siebie zaledwie o pół mili.

De Bernis wysłał kanoniera do Purveya z poleceniem, by ten był gotów do działania, skoro tylko kapitan zmieni kierunek. Upływały jednak minuty, a „Centaur” nadal uciekał z wiatrem, jak gdyby Bransome nie miał zamiaru zmieniać kursu.

Nagle ponad galionem zdobiącym dziób pirackiego okrętu wykwitł obłok dymu, po którym nastąpił huk wystrzału armatniego. Gejzer wyrzuconej przez pocisk piany wytrysnął o jakie pięćdziesiąt jardów od rufy „Centaura”.

Niecierpliwie oczekujący momentu działania de Bernis miał nadzieję, że stanie się to sygnałem dla Bransome’a, iż nadeszła chwila działania. Opuszczając swoje stanowisko obserwacyjne, Francuz rzucił się do przedniej baterii. Kanonierzy czekali w mroku, dmuchając na zapalone lonty. Oni również, podobnie jak de Bernis, czekali na manewr, który naprowadzi baterię na dziób „Czarnego Łabędzia”.

Wystrzał armatni obudził uwagę obojga pasażerów. Zamienili zdumione spojrzenie i major zaklął ciężko. Priscilla skoczyła na równe nogi i wypadła na pokład. Sands podążył za nią.

Nie weszli dalej niż na szczyt schodków, gdy ujrzeli skupione twarze marynarzy tkwiących

na stanowiskach bojowych. Kapitan, skoro tylko ich ujrzał, krzyknął tonem rozkazującym, by natychmiast wrócili pod pokład. Purpurowy ze złości major zawołał głosem oburzonym i protestującym:

– Co się dzieje, kapitanie!

– Do wszystkich diabłów! – wrzasnął Bransome gburowato. – Zabierz pan tę kobietę!

Jakby nieświadom tego, co się dzieje, major postąpił krok naprzód.

– Pragnę wiedzieć... – mówił dalej.

Drugi wystrzał armatni przerwał potok złości majora. Tym razem wyrzucona przez pocisk woda bryznęła tuż za lewą burtą „Centaura”.

– Czy chce pan pozostać na pokładzie, aż jaka reja otworzy panu czaszkę? – krzyknął Bransome. – Nie widzisz pan, że będziemy się bili? Zabierz pan tę kobietę!

Priscilla pociągnęła Sandsa za rękę. Była bardzo blada.

– Chodź, Bart – powiedziała. – Zabierz mnie do kabiny. Jesteśmy tu zbyt bezpieczni.

Pomimo złości wywołanej grubiaństwem kapitana, major zaprzestał dalszych dyskusji. Nagłość wydarzeń wstrząsnęła nim. Jakkolwiek nie brakowało mu odwagi, czuł się bezbronny i bezradny wśród wodnego żywiołu oraz w obliczu bitwy, której nie znał. Obecność Priscilli i poczucie odpowiedzialności za nią skłoniły go do posłuszeństwa bez szemrania. Zdołał jednak dowiedzieć się od jednego z marynarzy, że ich przeciwnikiem w tym nierównym boju jest krwawy Tom Leach.

Powróciwszy do kabiny, Sands usiłował pocieszać dziewczynę, ale jego głosowi i argumentom brakowało siły. Może dlatego, że czarna sylwetka ścigającego ich okrętu rosła w oczach.

W tej samej chwili de Bernis pytał Bransome’a, czemu nie kazał zrefować żagli i nie zmienił kierunku, by umożliwić baterii oddanie salwy.

– To szaleństwo – krzyczał kapitan. – On byłby przy nas, nim mógłbym powrócić na poprzedni kurs!

– To tylko dlatego, że pan za późno manewrował – odrzekł de Bernis. – Spotęgował pan tylko niebezpieczeństwo, to wszystko. Mamy tylko jedną jedyną szansę: strzelać w ożaglowanie „Czarnego Łabędzia”. Nie ma już ani minuty do stracenia. Zmień pan na Boga kierunek, nim i na to nie będzie za późno!

Kapitan wahał się, uczynić to śmiało posunięcie, a urażony tonem Francuza oburzył się:

– Kto tu dowodzi?

– Na nasze nieszczęście pan – odparł Francuz. – A teraz popatrz pan tylko, dokąd zawiodło cię twoje kunktatorstwo.

Pirat właśnie wzywał ich do zatrzymania się. Zawsze czujny umysł Francuza pojął natychmiast, jaką korzyść może przynieść ten manewr. Raz jeszcze zaczął przekonywać kapitana.

– To jest szansa zesłana przez Boga! – zawołał. – Niech pan posłucha. Oni niczego nie podejrzewają! Podnieś pan swoją banderę i idź naprzeciw „Czarnego Łabędzia”. Ja zatroszczę się o resztę.

– Na rany boskie! On nas zatopi, jeżeli pan wystrzeli – zawołał przerażony kapitan.

– Gdy strzaskam mu takielunek, nie będzie mógł wycelować swoich armat. Czy pan tego nie rozumiesz?

– A jeśli się nie uda?

– Położenie nasze bynajmniej się przez to nie pogorszy!

Pod przenikliwym spojrzeniem Francuza Bransome zmiękł. Pojął wreszcie, że nie ma już możliwości wyboru środków postępowania.

– Zatrzymaj pan okręt, kapitanie – nalegał Francuz.

– Tak – powiedział Bransome. – Nie ma co się zastanawiać.

– Prędkiej! – krzyczał de Bernis znikając w jednym z luków.

Tymczasem Tom Leach niecierpliwił się. Omiótł takielunek „Centaura” serią kartaczy ze swej działowej baterii. Odłamki poszarpały liny i strzaskane reje zwały się na pokład.

Odgłos spadającego ożaglowania ucieszył de Bernisa. Sądził bowiem, że wreszcie Bransome przestanie się wahać. Nakazał swoim kanonierom ostre pogotowie, a i sam wziął do ręki zapalony lont, oczekując w napięciu na ukazanie się sylwetki nieprzyjacielskiego okrętu w otworze armatniego luku.

Nagle rozległ się huk. Ugodzony w rufę okręt zatrzęsł się i uczynił nagły skręt, który rzucił kanonierów na burtę. De Bernis, który podniósł się pierwszy, poczuł, że statek skręca. Próżno jednak czekał, że sylwetka pirata ukaże się w zasięgu ognia. Widział jedynie pustą przestrzeń morza. Zirytowany wywnioskował, że kapitan, aby iść prosto z wiatrem, obrócił ster na lewą, zamiast na prawą burtę. Przeklął w duchu ten upór i popędził na rufę. Tam dopiero zrozumiał, co się stało. Wystrzelony z „Czarnego Łabędzia” pocisk przypadkowo strzaskał ster

uniemożliwiając wszelkie manewry i „Centaur” był zdany na łaskę wiatru.

W otwartym luku armatnim de Bernis mógł widzieć pirata, który szedł na nich. Jego załoga zwijała żagle, aby łatwiej wtargnąć na pokład.

Bransome zaczął działać za późno.

Kanonier, który obsługiwał kolubryny, chłopak pełen energii, zwrócił się do Francuza:

– Teraz jesteśmy zdani na ich łaskę.

De Bernis przycupnął, aby obserwować czarną sylwetkę, która zbliżała się szybko. Przykłęknąwszy przy jednej z kolubryn, celował spokojnie, bez pośpiechu, pojmując doskonale, że chodzi tu o jedyną szansę ratunku. Na małą odległość armata mogła spowodować wiele szkód. Nagle podniósł się i wyrwał z ręki kanoniera zapalony lont, który przytknął do panewki. Kiedy rozległ się strzał, pchnięty wiatrem „Centaur” uczynił niespodziewany zwrot i pocisk przeleciał obok celu, zniknął daleko w pustce.

De Bernis rzucił pełne litości spojrzenie na kanoniera i wybuchnął gorzkim śmiechem.

– Skończone, chłopcze! – powiedział. – Za parę minut zarzucą bosaki... a potem...

Wzruszył ramionami i wyrzucił do morza zbędny już lont. Kanonier zbladł i zaczął kląć, życząc Tomowi Leachowi piekła rozpalonego do białości.

– Obawiam się przyjacielu, że dostaniemy się tam przed nim – westchnął de Bernis.

Przez parę sekund czuł się osłabiony i opuszczony.

– Na rany boskie! – wrzasnął. – Gdyby tym statkiem dowodził prawdziwy kapitan zamiast tej płochliwej słodkowodnej baby! Gdybym chociaż był przy nim! Ale na wszystko już za późno. Cóż zatem po wyrzutach?

Pirat zwinął już niemal wszystkie żagle i zbliżał się wolno ku zdobyczy, która nie mogła mu się wymknąć. Nie strzelał, mając nadzieję zawładnąć nietkniętym żaglowcem. De Bernis widział dwóch ludzi na dziobie ściągających ostatnie płótna, dwóch innych trzymających gotowe do abordażu bosaki. Jeszcze chwila, pomyślał, i Bransome zapłaci życiem za swój brak zdecydowania. Z wolna odszedł od luku i skierował się do kanonierów.

– Na pokład, chłopcze! – zawołał. – I niech reszta obsługi idzie za tobą. Tutaj nie ma już nic do roboty.

Sam zaś skrócił sobie drogę. Wyszedł przez luk i uczeplił się wspomnika listwy, obrócił twarzą do opierzenia okrętu i uniósł siłą swych rąk ze zwinnością małpy. Na poziomie parapetu uczynił jeszcze jeden wysiłek, przełożył jedną nogę ponad burtę i wskoczył na pokład.

W chwilę później Priscilla i major ujrzeni jakiegoś półnagiego człowieka, który przekradał się do kabiny. Uzbrojony Sands chwycił za rękojeść swojej szpady i już miał jej dobyć, gdy Francuz odezwał się. Szedł do swojej kajuty. Wyglądał strasznie. Twarz, ramiona i nagie piersi pokryte były dymem prochowym i ociekały potem. Głos miał ochrypły.

– Bitwa jest przegrana – powiedział. – Bransome uczyniłby o wiele lepiej, gdyby został farmerem. Nie dał mi najmniejszej możliwości, bym mógł skutecznie otworzyć ogień. Na miłość boską, dlaczego podobni ludzie zostają żeglarzami! Równy pożytek byłby ze mnie w klasztorze, jak z Bransome’a na statku! Leach zaoszczędził sobie prochu. Za chwilę będzie na pokładzie.

W lot zrozumieli, jaki był udział Francuza w przygotowaniu do bitwy. Priscilla padła na kolana, major wlepił wzrok w podłogę.

– Odwagi, panienko! – powiedział de Bernis, który sam nie stracił nic ze swego zwykłego spokoju. – Może narażona będziesz pani na wielkie niebezpieczeństwo, ale może też uda się panią uratować. Niech mi pani zaufa.

Odwrócił się i pospieszył do swojej kajuty wołając Piotra.

Priscilla wstała i zarzuciła majora pytaniami. W głębi serca nie potrafił on uwolnić się od myśli, że Francuz zachował do końca swą postawę fanfarona, ale przytłumił ją w sobie, by pocieszyć wyraźnie strapioną dziewczynę.

– Nie wiem, co on może zrobić, słowo daję! – mówił. – Ale zdaje się, że jest pełen nadziei i pomysłów. Nie zapominaj, że był przecież flibustierem i że wilki nie pożerają się między sobą.

Wprawdzie pocieszał ją nadal przyciszonym głosem, ale sam nie miał już najmniejszej nadziei. Tom Leach nie brał jeńców. To była pewna śmierć. Ale co może spotkać Priscillę? Czy nie lepiej byłoby zabić ją, nim wpadnie w łapy tej bandy?

Nagle czarny cień zakrył im blask słońca. Był to kadłub wrogiego żaglowca, który zbliżył się do prawej burty. Słysząc było, jak na pokładzie pirata rozległ się dźwięk trąbki, warkot werbla a następnie charakterystyczny huk salwy muszkietów...

W tej samej chwili de Bernis wyszedł wraz z Piotrem ze swej kajuty. Tylko pot i plamy po spalonym prochu nie zniknęły z jego twarzy, ale Francuz był poza tym przebrany w swój galowy strój. Ufryzowana czarna peruka, wykwinna batystowa koszula z kołnierzykiem i mankietami zdobnymi w koronki, kaftan z fioletowego jedwabiu z czarnymi wyłogami i ozdobiony złotem. Major i Priscilla patrzyli nań zdumieni. W jakim celu wybrał ten właśnie moment, tak poważny, aby przebrać się w swoją najwspanialszą odzież? Po cóż ta mina tak spokojna i obojętna, a przez

to jeszcze bardziej zdumiewająca?

Uśmiechnął się, widząc ich zdumienie.

– Kapitan Leach jest człowiekiem znakomitym – powiedział. – Jest to ostatni z flibustierów. Należy go przyjąć tak, jak na to zasługuje.

Postąpił krok w ich stronę. Pokład trzął się i trzeszczał od tętentu nóg. Słysząc było wybuchy kartaczy i głuchy odgłos wbijanych w deski bosaków.

De Bernis wsparł się o stół, gdyż nagły skręt statku rzucił go do przodu. Major padł na kolana. Priscilla zatoczyła się i byłaby upadła, gdyby Francuz nie podtrzymał jej.

– Ratuj mnie pan! – zawołała błagalnie. – Ratuj mnie.

A jemu uśmiech rozszerzył zaciśnięte wargi. Zaczął pieścić jedną ręką włosy dziewczyny, która zdawała się w jego objęciach odzyskiwać równowagę.

– Mam pewną nadzieję, że panią uratuję – powiedział – jeżeli to tylko będzie możliwe.

Major, wściekły z zazdrości, patrzył na Francuza dzikim wzrokiem.

– A cóż pan takiego możesz uczynić? – zapytał siłąc się na spokój.

– Zobaczymy. Może wiele, a może bardzo mało. By jednak mój zamysł powiódł się, musicie oboje być bezwzględnie posłuszni.

Głos jego stał się bardziej zdecydowany.

– Zachowujcie się zawsze rozsądnie, nie przecząc mi bez względu na to, co będę mówił i cokolwiek możecie sobie o tym pomyśleć. Nie zapominajcie o tym, bo inaczej wszyscy będziemy zgubieni.

Ponad nimi pokład drżał od hałaśliwych kroków piratów. Krzyki, jęki, huki i przekleństwa łączyły się w ogólną wrzawę. Coś ciemnego zamajaczyło przez moment w iluminatorze. Jakiegoś człowieka wyrzucono za burtę, a w chwilę później jeszcze jednego. Priscilla odruchowo przywarła do de Bernisa.

– To nie potrwa długo – powiedział spokojnie Francuz. – Leach ma trzystu ludzi przeciwko trzydziestu marynarzom „Centaura”.

Nadstawił ucha, jak gdyby usłyszał jakiś zbliżający się szelest.

– Czy będziecie mi posłuszni? – zapytał bardzo prędko. – Bez szemrania? Dajcie słowo!

– Tak, uczynimy to, co pan mówi – szepnęła Priscilla.

– A pan, majorze?

Sands obiecał z wyraźną niechęcią. Zaledwie to powiedział, gdy na schodach rozległo się

topotanie bosych nóg i dały się słyszeć ochryple głosy. De Bernis rozumiał. Byli to piraci. Bitwa się skończyła. Fala napastników rozbiegła się po okręcie w poszukiwaniu majątku załogi. Zbliżający się hałas zwiastował przybycie tych, którzy chcieli pierwsi zawładnąć ładunkiem okrętowym i poszukiwali ukrytych pod pokładem ludzi.

Drzwi kabiny otwarły się gwałtownie. Grupka półnagich postaci z głowami ciasno obwiązanyymi barwnymi chustami wpadła, rycząc radosnym śmiechem z przekleństwami na ustach. Na widok czworga ludzi – bo poblądły pod swoją ciemną skórą Piotr stał za swoim panem – piraci znieruchomieli na chwilę. Później jeden z nich, spostrzegłszy młodą dziewczynę, wydał triumfalny okrzyk. Już miał zbliżyć się do niej, gdy de Bernis postąpił krok do przodu. Z dłońmi na srebrnych kolbach pistoletów stanął nieruchomo z oczami utkwionymi w pirata. Okoliczność, że nie użył broni, zdawała się sprawiać wrażenie na napastnikach.

– Stój! – wykrzyknął. – Strzelę w łeb temu, który waży się posunąć dalej. Jestem de Bernis. Idźcie po kapitana Leacha.

Nazwisko zastępcy Morgana było dobrze znane flibustierom. Zimna krew i pewność siebie Francuza zaimponowały im, gdyż nie uczynili ani jednego ruchu, a olbrzym, zdający się być ich dowódcą, opuścił zboczony krwią topór bojowy, którym dotychczas wywijał nad głową. Zdumienie piratów trwało krótką chwilę. Później podniósł się pomruk. Chciano od Francuza wyjaśnień. Naraz jakiś mężczyzna średniego wzrostu o ruchach pantery utorował sobie do niego drogę. Był to Tom Leach.

Miał na sobie czerwone spodnie, jego zbryzgana krwią koszula była rozpięta, a podwinięte rękawy odsłaniały długie włochate ramiona. Nos miał cienki i zakrzywiony, oczy niemal czarne, żywe. Zamiast kordelasa czy też topora bojowego, był uzbrojony w rapier, którym wedle powszechnej opinii miał władać z niesłychaną wprawą.

– Co się tu u diabła dzieje! – wykrzyknął.

Gdy wreszcie przedarł się przez ciżbę piratów i znalazł wobec de Bernisa, zatrzymał się jak reszta, aby patrzeć na tego człowieka pełnego elegancji i powagi, który wytrzymał jego spojrzenie. W ogorzalej twarzy zbója odmalowało się zdumienie, gdy tak przyglądał się elegantowi mrużąc przy tym oczy.

– Niech mnie diabli porwą na samo dno morza, jeśli to nie jest Charley Nadszczytnik! – wykrzyknął.

De Bernis postąpił krok naprzód i wyciągnął otwartą dłoń w kierunku Toma.

– Szczęśliwe spotkanie, kamracie – rzekł. – Przybywasz w samą porę. Płynąłem właśnie do Gwadelupy, aby uzbroić jakiś okręt i wyruszyć na poszukiwanie ciebie, a tu spadasz jak z nieba. To wspaniale!

Zmrużone i ściągnięte jak u kota oczy pirata zdawały się nie dostrzegać wyciągniętej dłoni.

– Czy myślisz, de Bernis, że mnie tak łatwo oszukasz? Jesteś podstępny jak diabeł, ale to jeszcze za mało, żeby nabrać Toma Leacha.

Opuścił w młodym wieku rodzinną Szkocję i został marynarzem. Skorzystał też z pierwszej nadarzającej się okazji, by przystąpić do „Braci Wybrzeża”. Jedno wszak trwało w nim niezmiennie – wrodzona nieufność cechująca jego rodaków.

– Gdy ostatni raz słyszałem o tobie, byłeś pierwszym zastępcą Morgana – rzekł. – Poszedłeś więc za tym zdrajcą, kiedy opuścił nas.

De Bernis miał rozbawiony uśmiech na twarzy.

– Oczywiście – powiedział z ironią. – Miałem wtedy do wyboru poddanie się albo szubienicę. Ponieważ byłem w mocy Morgana, musiałem tańczyć w takt jego muzyki. Ale kiepsko znasz de Bernisa, skoro sądzisz, że włożyłem w tę sprawę całe serce. Skorzystałem z pierwszej sposobności, aby umknąć i przyłączyć się do ciebie... I oto jestem.

– Przyłączyć do mnie? – zaśmiał się pirat. – Nie wiedziałem, że kochasz mnie do tego stopnia!

– Kochamy zawsze tych, których potrzebujemy, a ja potrzebuję ciebie. Nie przychodzę z pustymi rękami. Jesteś jedynym korsarzem, który ma dość odwagi i dość liczną załogę, aby doprowadzić do szczęśliwego końca przedsięwzięcie, jakie obmyśliłem. Tom, przynoszę ci majątek, o jakim mogłeś zaledwie marzyć we śnie, ale jakiego nie mógłbyś wyobrazić sobie na jawie. To jest warte o wiele więcej niż ładunek skór i drewna, za który kupcy w Gwadelupie dadzą ci parę nędznych funtów.

Leach postąpił krok naprzód z opuszczonymi ramionami, oburącz trzymając swój rapier.

– Co to za przedsięwzięcie? – zapytał.

– Atak na galeon. Ni mniej, ni więcej. Opuszcza on port za miesiąc.

Błysk zainteresowania ukazał się w nieufnych oczach pirata.

– Jaki port?

Francuz wybuchnął śmiechem.

– Wolnego, przyjacielu – powiedział. – Jeszcze o tym pomówimy.

Leach zrozumiał.

– Trzeba żebym wiedział coś więcej, zanim przyjmę tę propozycję.

– Zrozumiałe. Dowiesz się o tym dostatecznie dużo, abyś mógł powziąć decyzję.

W tej chwili major usunął się na bok, odsłaniając Priscillę. Wzrok pirata zapłonął.

– Co to za jedni? Co to za kobieta?

Posunął się w ich kierunku, ale de Bernis zastąpił mu drogę.

– To moja żona i jej brat. Zabrałem ich z sobą do Gwadelupy, gdzie mieli na mnie czekać.

Major zakaszłał, gotów zabrać głos, aby zaprzeczyć temu nieoczekiwanemu powinowactwu, ale Priscilla, zgadując jego zamiar, ścisnęła go mocno za ramię.

– Twoja żona? Nigdy nie słyszałem, żeś się ożenił. Spojrzenie pirata stało się nieufne.

– Ożeniłem się w ostatnich czasach na Jamajce. Ale to nie ma znaczenia, Tom. Nasza sprawa musi być załatwiona i to szybko.

– Nim to przyjmę, musisz mi dać jakieś dowody twojej dobrej woli, de Bernis. Jeśli mnie zdradzisz...

– Zawsze byłeś zbyt podejrzliwy, Tom – przerwał mu Francuz. – Czy sądzisz, że jestem na tyle głupi, żeby nie postępować lojalnie, skoro znajduję się na twojej łasce?

Leach klepał się palcem po garbatym nosie, nie spuszczać oczu ze swego rozmówcy.

– Może, może – mruczał. – Uważaj jednak Charley, bo jeżeli coś knujesz to będziesz żałował, żeś się kiedykolwiek urodził. Pamiętasz Jacka Claveringa? Był to taki lis, jak ty. Wierzył, że można sobie bezkarnie igrać z Tomem Leachem, ale po godzinie tortur błagał, żeby go dokończyć. Jesteś przebiegły Charley. Morgan zawsze to twierdził. Jesteś podstępny jak szatan. Ale ja też jestem chytry. Nie zapominaj o tym.

– Twoje pogrożki nie mają sensu – powiedział de Bernis pogardliwym tonem.

– Możliwe, Charley, ale mam też inne sposoby.

Jednakże pirat zdawał się skłaniać ku propozycji Francuza. Odwrócił się do zgromadzonych za nim kamratów.

– Wychodźcie – powiedział. – Zostanie tylko Wogan. Niech Mike przeszuka statek i zda mi zaraz sprawę.

Wychodzili z hałasem. Leach podszedł do stołu, wziął krzesło i usiadł, kładąc swój rapier przed sobą.

– A teraz, Charley, opowiedz nam o galeonie.

Zwracał się do de Bernisa, ale jego wzrok spoczywał na Priscilli, która siedziała na kufrze obok majora. Za Tomem stanął Wogan, mężczyzna wielki i krzepki, o twarzy płaskiej, z czarną brodą i włosami natłuszczonymi i ufryzowanymi, których kosmyki wysuwały się spod czerwonej chusty, jaka spowijała jego głowę. Miał oczy błękitne, okolone czarnymi brwiami. Nosił czerwoną koszulę i spodnie z nie wyprawionej skóry. Za pasem sterczały mu dwa pistolety.

De Bernis był tak swobodny, jakby znajdował się we własnym domu. Podniósł się, poszedł w stronę kajuty i otworzył drzwi.

– Chodź, Priscillo – powiedział łagodnie. – Ty także, Bart. Oboje wstali posłusznie.

Tom Leach zdawał się być zawiedziony.

– Dlaczego oni wychodzą? – zawołał.

– Ponieważ poprosiłem ich w pańskim imieniu, żeby nas opuścili – odrzekł stanowczo.

Zamknął drzwi za swoją rzekomą żoną i jej rzekomym bratem.

– Cha! cha! – zaśmiał się ze złością Leach. – Zdaje się, że zaczynasz swoje gierki. Czyżbyś poczuł się panem sytuacji i zaczął wydawać rozkazy?

– Wyłącznie, jeśli idzie o moją żonę – odparł Francuz ze spokojem.

Siadł na krześle.

– Piotrze, rumu – zawołał.

Nieufne spojrzenie pirata towarzyszyło zwinnym i swobodnym ruchom Metysa, który spieszenie wypełniał polecenie de Bernisa.

– Czy to także członek twojej rodziny? – zaśmiał się groźnie.

– Mój sługa – odrzekł, siadając naprzeciw Toma.

W zachowaniu de Bernisa zaszła pewna zmiana. Uśmiechał się z miną człowieka, który beztróska gwarzy z przyjaciółmi.

– Podziękujmy przypadkowi. Tom – rzekł. – Czyż nie dzięki niemu spotkaliśmy się tu, w kabinie „Centaura”? Gdyby ten okręt był dowodzony przez prawdziwego żeglarza, chociażby przeze mnie, nigdy byś się nie wdarł na niego.

– Patrzaj no Wogan, jaki to skromniś! Zaraz zaczniesz mówić, że lepiej zna się na walkach morskich ode mnie!

De Bernis potrząsnął głową.

– Nie walczylibym z tobą. Pokazałbym ci rutę, żeglując bardziej pod wiatr. Z twoim kilem, oblepionym przez algi i skorupiaki, nigdy byś mnie nie dogonił. „Czarny Łabędź” zbyt już długo

znajduje się w morzu. Ale ty przecież zawsze chcesz postępować wedle swego widzimisie.

Pirat szeroko otworzył swoje sprytne oczy z miną pełną podziwu.

– Masz dobre oko, Charley, skoro zauważyłeś, że mój kil jest w kiepskim stanie.

Piotr postawił przed nimi dzban z rumem, drugi napełniony tytoniem, fajki, krzesiwo i trzy kubki. Później usunął się i stanął oparty o kredens.

Gdy napełniono szklanki, Wogan zaczął nabijać fajkę, de Bernis poszedł za jego przykładem, ale Leach odmówił skinieniem ręki.

– Mówmy o galeonie – powiedział. – Słuchamy cię, Charley.

– To nie jest długa historia. Trzy statki hiszpańskie pożeglują za miesiąc do Kadyksu. Galeon o trzydziestu działach eskortowany przez dwie fregaty po dwadzieścia dział. Skarby galeonu są największe, jakie kiedykolwiek powierzono jakiemu okrętowi.

Srebro i złoto wartości większej niż pięćset tysięcy dukatów. Poza tym całe kosze pereł pochodzących z Rio de la Hacha.

Wogan, który właśnie podnosił dymiącą hubkę do lulki swej fajki, aż powstrzymał ten gest. Obaj piraci patrzyli na de Bernisa z otwartymi ustami i ze zdumieniem połączonym z zabobonną trwogą. Jeśli te skarby rzeczywiście posiadałyby taką wartość, to byłiby bogaci do końca życia. Na twarzy Leacha malowało się zdumienie połączone z niedowierzaniem.

– Nie mogę w to uwierzyć – oświadczył wreszcie.

– Ja również – rzekł Wogan.

– Mówiłem wam – odpowiedział de Bernis – że mogliście oglądać takie skarby jedynie w snach. One jednak istnieją. Rozumiecie teraz, dlaczego jechałem do Gwadelupy. Niebiosa urządziły to jeszcze lepiej, ponieważ jesteśmy tu razem i rozporządzamy drugim statkiem.

Argument był słaby, ale obaj piraci, olśnieni ogromem bajecznego skarbu, przyjęli go bez oporu.

Tom Leach przysunął krzesło, do stołu i wsparł się na łokciach.

– Powiedz nam, jakieś odkrył istnienie tego galeonu – zapytał.

– Dzięki przypadkowi równie dziwnemu jak ten, który mi pozwolił spotkać się z wami.

Opowiedział tę historię. Była prawdopodobna, logiczna i przekonująca. Miesiąc temu de Bernis, krążąc wraz z Morganem po wodach wysp Cayman, gdzie dowodził fregatą, napotkał pewnego ranka o świcie, podczas bardzo złej pogody, zniszczoną przez burzę i już prawie tonącą szalupę. Załogę, a byli to Hiszpanie, dało się uratować. Jeden z nich, nazwiskiem don Ojeda,

prosił, aby go dowieźć do Hispanioli. Człowiek ten był ciężko ranny wskutek upadku rei podczas burzy. Zdaje się, że miał złamaną kość pacierzową. Cierpiał strasznie. Przykro było też patrzeć na jego mękę moralną, obawiał się bowiem umrzeć przed przybyciem do San Domingo. Wiózł pilny list przeznaczony dla admirała hiszpańskiego.

– Podobnie jak ja, natychmiast wpadlibyście na myśl, że pismo musiało być szczególnie ważne, by do tego stopnia martwić człowieka konającego. Zaproponowałem, że podejmę się przekazać je adresatowi. Odrzucił jednak moją propozycję z taką gwałtownością, że jeszcze bardziej podniecił moją ciekawość. Ale pomysł wysłania listu zakradł się do jego umysłu i powoli wydał owoce. Po południu, czując że umiera, kazał mnie zawołać i poprosił, by szef szalupy mógł napisać list pod jego dyktando. Nie podejrzewałem, że ów hidalgo wynalazł sposób na zachowanie swojej tajemnicy. Dyktował po łacinie, sylabizując zapewne każde słowo szefowi, który nie znał znaczenia pisanego tekstu.

Wieczorem don Ojeda zmarł zwolniony od swoich obaw i przekonany, że dopełnił swego obowiązku. Był to prawdziwy dżentelmen. Tej samej nocy szef szalupy stał się ofiarą dziwnego wypadku i wpadł do morza. Tak przynajmniej przypuszczaliśmy, bośmy go nazajutrz nigdzie nie mogli znaleźć. Nikt nie znał tajemnicy tego listu, toteż jego zniknięcie pozostało bez echa. Ale list nie zginął. Obawiając się, by temu dzielnemu człowiekowi nie zdarzyło się jakie nieszczęście, przechowałem go. Na wszelki wypadek oczywiście.

Obaj piraci przerwali opowiadanie Francuza wybuchem śmiechu. Delektowali się tą facecją z widocznym zachwytem. De Bernis uśmiechał się i ciągnął dalej swoją opowieść.

– W ten sposób – mówił – odkryłem, że list został napisany po łacinie. Niegdyś znałem ten język, ale na morzu takie rzeczy prędko ulatują z głowy. W dodatku łacina owego hidalga była nieco staroświecka. Zrozumiałem zaledwie parę liczb, były to daty, oraz pojedyncze słowa. Przybywszy do Fort Royal, udałem się po pomoc do pewnego kapłana, znajomego moich przyjaciół, który mi przełożył ten dokument.

Tu de Bernis przerwał i spoglądał badawczo w twarze swych rozmówców, którzy przejawiali głębokie zainteresowanie.

– Takim to właśnie sposobem – mówił – odkryłem tajemnicę galeonu. Od razu zrozumiałem, że nadszedł czas, by porzucić służbę u Morgana. Ale nie mogłem działać sam. Pomyślałem więc o was, będąc pewnym, że potrafimy wspólnie zawładnąć skarbami. Powiedziałem Morganowi, że pragnę powrócić do Francji. Zgodził się na to bez żadnych podejrzeń. Wiedziałem, że znajdę na

Gwadelupie paru awantumików francuskich i jakiś okręt, który mi pozwoli was odnaleźć i dostarczyć naszej wspólnej

sprawie drugi żaglowiec, który wsparłby działania „Czarnego Łabędzia”.

De Bernis zamilkł i opróżnił swoją szklankę.

Leach poruszył się niecierpliwie na swoim krześle.

– A informacje? – zapytał.

– Znasz je. Galeon pożegluje do Kadyksu za miesiąc, kiedy wiatr będzie bardziej pomyślny.

W piśmie proszono admirała, żeby trzymał w pogotowiu dwie fregaty dla wzmocnienia konwoju w czasie żeglugi przez ocean. To wszystko.

– Wszystko? A skąd wypłynie galeon?

De Bernis, który właśnie zapalał fajkę, podniósł głowę i uśmiechnął się.

– Skądś pomiędzy Campeche a Trynidadem. Pirat zmarszczył brwi.

– Dlaczego nie pomiędzy biegunem północnym o południowym? – zagrział. – Skoro nie wiesz tego, to jak my się dowiemy?

– Owszem, wiem, ale to jest moja tajemnica. Zachowam ten sekret dla siebie. Na razie. Skądinąd znam liczbę ludzi, którzy będą zaokrętowani na tych trzech statkach – dwustu pięćdziesięciu. Łatwo, będzie nam skłonić ich do rozsądku.

– Nie to mnie niepokoi – ciągnął Leach. – Ale gdzie ich szukać? Na północy, na południu, na wschodzie czy na zachodzie?

Francuz potrząsnął głową.

– Zaprowadzę was na miejsce sposobne do ataku. Ale przede wszystkim należy sporządzić naszą umowę i ją podpisać.

– Myślisz z pewnością, że ja podpiszę? – zauważył Tom.

– Byłbyś bardzo głupi, gdybyś tego nie zrobił, ponieważ nie miałbyś więcej sposobności na podobne szczęście.

– I myślisz, że ja się rzucę w tę awanturę z zamkniętymi oczami?

– Dlaczego z zamkniętymi oczami? Wiesz wszystko, co potrzeba. Jeżeli odmówisz, jeżeli braknie ci odwagi, to wysadź mnie na Gwadelupie. Nie wątpię, że...

– Posłuchaj, Charley. Wiesz, że nie braknie mi odwagi i że potrafię zmusić ludzi do gadania. Nie byłbyś pierwszym, którego bym przywiązał do wielkiego masztu.

De Bernis spojrział na niego z miną wzgardliwą.

– Dość – powiedział. – Gdyby nie moja cierpliwość, to w tej chwili w twojej głowie już tkwiłaby kula.

– Co?

Pirat chwycił za rapier. Francuz ani drgnął.

– Jak możesz nawet pomyśleć, że należę do takich, których można siłą zmusić do mówienia?
– zapytał. – Jeżeli nadal będziesz groził, to kończymy rozmowę o skarbach. To prawda, że jesteś mi potrzebny, ale jeśli kusi cię galeon, to tym bardziej powinno ci zależeć na mnie. Chociażby po to, bym dowodził „Centaurum”. Czy chcesz wykorzystać tę jedyną szansę, czy też wolisz czekać, aż eskadra Morgana wyśle do Neptuna ciebie i twoich kamratów?

Tu wtrącił się Wogan. Zdawał się być zdobyty dla pomysłu Francuza.

– Słowo daję, kapitanie, to co mówi Charley, wydaje mi się wcale rozsądne.

De Bernis spokojnie kurzył fajkę zadowolony, że chciwy zastępca Leacha nagli swego kapitana do ustąpienia.

– Jakie są twoje warunki – zapytał Tom niechętnie.

– Piąta część łupu.

– Piąta część?

Leach zerwał się oburzony i zaczął kląć gwałtownie. Następnie zwrócił się do Wogana.

– I ty powiadasz, że on jest rozsądny?! – zagrzemiał.

– Skarb ma swoją wagę. Tu już nie chodzi o ładunki towarów, które sprzedajesz w Gwadelupie za dziesiątą część ich wartości.

Popadli w zażartą sprzeczkę, targując się niczym handlarze starzyzną. W końcu Leach uległ pod naciskiem swego zastępcy. Przyniesiono atrament, papier, pióro i Piotr poszedł na pokład sprowadzić trzech marynarzy, którzy podług obyczaju flibustierów mieli reprezentować załogę. Po podpisaniu umowy piraci pozostawili de Bernisa i wrócili na pokład.

Leach był wściekły. Miał wrażenie, że Francuz z nich zdarł. Swój zły humor skierował na Wogana.

– I po co wpadasz w gniew z tak błahej przyczyny? – spytał Irlandczyk. – Na twoim miejscu podpisałbym nawet wtedy, gdyby zażądał połowy łupu. Obiecać jest przecież tak łatwo. Kiedy będziemy mieli złoto galeonu pod naszym pokładem, to już nie będziemy dyskutowali tak łagodnie z naszym przyjacielem Charleyem. A prócz tego on ma młodą gołąbkę. Widziałem jak na nią spojierałeś łakomym okiem i nie mam ci tego za złe. W oczach Toma zabłyśły iskry.

– Francuzi powiadają – ciągnął Wogan – że wszystko posiadzie ten, kto potrafi cierpliwie czekać. A więc czekaj. Tom.

– Masz rację. Będę czekał. Trafiła nam się dzisiaj niezła zdobycz, nie mówiąc już o „Centaurze” i belach skór, które zapełniają jego ładownie.

De Bernis odłożył broń, którą do tej pory miał przy sobie, przywołał Piotra i kazał mu pistolety wraz z rapierem odnieść na miejsce. Następnie wstał, otworzył drzwi kajuty, w której wcześniej umieścił swoich towarzyszy podróży i poprosił ich, aby wyszli.

Priscilla była blada i poruszona do żywego, ale czyniła, wysiłki, by wydać się spokojną. Major był również blady, ale nawet nie starał się ukryć swej wściekłości.

– Może nas pan powiadomisz – rzekł – co się z nami stanie?

Gdyby oboje z nieco większą uwagą obserwowali de Bernisa, dostrzegliby w jego twarzy wyraz ciężkiego znużenia. Mimo to zachował on cały swój spokój. Pomiął milczeniem pytanie majora i zwrócił się do Priscilli.

– Bądź pani spokojna – powiedział. – Zrobię dla pani wszystko, co tylko będzie w mojej mocy.

Sands nie dawał jednak za wygraną.

– Dlaczego masz pan dla nas coś uczynić, skoro jesteś takim człowiekiem, jak się to pokazało?

Znużoną twarz de Bernisa wykrzywił grymas uśmiechu.

– Pan podsłuchujesz pod drzwiami – powiedział. – Mimo to mogę zapewnić, że wbrew pańskim podejrzeniom, uczynię wszystko, by was wyratować.

Priscilla patrzyła nań poruszona.

– Czy to prawda, że pan się sprzymierzyłeś z tymi piratami?

Przez chwilę popatrzył na nią w zamyśleniu.

– Nie chcesz pani w to uwierzyć? – rzekł w końcu. – Czymże zasłużyłem sobie na tak dobrą opinię u pani?

– A więc – major znów zaczął jątrzyć – pomoc, jaką okazywałeś pan kapitanowi i postawienie w stan gotowości baterii nie były szczere?

– To nie jest kiepsko pomyślane – zauważył de Bernis wzruszając ramionami. – Nie można zaprzeczać faktom, ale pomimo to zechciej pan sobie wreszcie uświadomić, że to ja uratowałem

was od gwałtowności Leacha. Jeżeli słowo flibustiera ma dla pana jakąkolwiek wartość, to daję je panu. Dokonam wszelkich wysiłków, byście mogli spokojnie wrócić do Anglii. Będzie to wymagało sporo czasu i pokonania wielu przeciwności. A tymczasem proszę was, byście pozostawali w moich kajutach, gdzie nikt nie będzie was niepokoił.

Po tych słowach opuścił kabinę.

W korytarzu potknął się o leżącego człowieka. Był to Sam, kucharz okrętowy, którego piraci zabili przed wkroczeniem do kabiny. Murzyn był już zimny. De Bernis wszedł na pokład usiany trupami marynarzy z „Centaura”. Poległo też trzech czy czterech flibustierów, nim obrońcy ulegli przewadze.

Kapitan Bransome z roztrzaskaną głową leżał koło schodni wiodącej do kajuty oficerskiej i Francuz musiał go przekroczyć, by móc przejść. Człowiek, który jeszcze wczoraj cieszył się myślą o swojej ostatniej podróży, zakończył ją, odchodząc na swą wieczną wachtę wcześniej, niż przewidywał.

Skoro tylko ukazał się w kajucie oficerów, zebrani w niej piraci wydali okrzyk:

– Nadszczytnik! Nadszczytnik!

Nowina o jego obecności i o przedsięwzięciu, jakie przygotowywał, rozeszła się wśród flibustierów lotem błyskawicy. Idący w stronę dziobu de Bernis, cały czas spotykał się z objawami sympatii ze strony pirackiej załogi. Co chwila zatrzymywał się i pozdrawiał ruchem ręki ludzi, którzy go obwoływali. Wreszcie zbliżył się do Leacha. Kapitan wraz z Woganem czynili przygotowania do rozłączenia obu żaglowców, które szczipione poplątanym takielunkiem, dryfowały spychane podmuchami wiatru. Na obu zresztą pracowały już załogi, uwalniając bukszpryt „Czarnego Łabędzia” z olinowania stermasztu „Centaura”. Pirat zaatakował bowiem dziobem rufę statku angielskiego, aby nie narażać się zbyt na ewentualną salwę z dział ściganego żaglowca.

Podpisany przez de Bernisa i Leacha akt przymierza wzmiankował, że Francuz obejmie dowództwo nad „Centaurem”. Załogę mieli utworzyć ludzie z „Czarnego Łabędzia”. De Bernis nastawał na to. Jego reputacja nie pozwalała mu przyjąć innego stanowiska podczas wyprawy. Leach przystał na to niechętnie. Zachował też dla Francuza niemiłą niespodziankę.

– Wogan pozostaje na pokładzie wraz z tobą, Charley – rzekł – a twoim szefem załogi będzie Halliwell.

De Bernis w lot pojął, że ci ludzie otrzymali rozkaz czuwania nad nim, ale nie okazał

najmniejszego niezadowolenia.

– To zrozumiałe – rzekł. – Mam jednak nadzieję, że będą słuchali moich rozkazów. Najpilniejszą w tej chwili rzeczą jest naprawa steru i oczyszczenie pokładu.

Leach nie sprzeciwiał się i w dziesięć minut później dwudziestu ludzi przystąpiło do pracy, wyrzucając trupy do morza i zmywając strumieniami wody pokład, podczas gdy na rufie rozlegał się huk młotów cieśli, którzy naprawiali ster.

De Bernis kierował osobiście uwolnieniem dolnej rei, sprawnie komenderując manewrem i udając, że nie dostrzega obecności szefa załogi.

W godzinę później oba żaglowce zostały rozłączone i były gotowe do podjęcia żeglugi w konwoju. Ludzie wyznaczeni do załogi „Centaura” pozostali na jego pokładzie. Leach zdecydował się płynąć na „Czarnym Łabędziu”. Kierunek żeglugi ustalił jednak de Bernis.

– Weźmiemy kurs na południowy zachód, na przylądek znajdujący się w grupie wysp u wejścia do zatoki Maracaybo. Gdyby rozdzieliła nas burza, spotkamy się na wodach przylądka de la Vela.

– Czy to tam będziemy czekać na galeon? – spytał Leach z błyskiem chciwego pożądania w oczach.

– O nie! To tylko pierwsza część naszej wyprawy.

– A stamtąd dokąd się udamy? – nalegał pirat.

– Dowiesz się później.

Tom z trudem zapanował nad ogarniającą go złością.

– Posłuchaj, de Bernis...

Urwał jednak, wrzucił ramionami i powrócił na swój okręt, który zaraz zaczął manewrować, aby wziąć odpowiedni kurs.

Miss Harradine i major domyślili się tego manewru z nagłej jasności, która nappełniła mroczną dotąd kabinę. Od ponad kwadransa nie odzywali się do siebie. Sands był wściekły, że Priscilla nie chciała uznać jego wniosków dotyczących de Bernisa.

Dziewczyna siedziała na kufrze, oparta o przepierzenie, i patrzyła, jak „Czarny Łabędź” oddala się powoli.

– Jeden Bóg wie, co to wszystko może dla nas znaczyć – szepnęła.

Odpowiedziało jej westchnienie majora. Po chwili jednak powrócił do tematu, który był mu najbliższy i już raz wywołał pomiędzy nimi sprzeczkę.

– To nie do wiary – mówił – że możesz wierzyć temu człowiekowi, Priscillo. Nie do wiary. Oby to stało się dla ciebie zbawiennym ostrzeżeniem. Mam nadzieję, że następnym razem będziesz już polegała na moim doświadczeniu.

– Następnego razu może już nie być – zauważyła.

– To możliwe.

– Ale jeżeli nie będzie następnego razu – ciągnęła uparcie – to będziemy to zawdzięczali panu de Bernis.

Takie stwierdzenie musiało skierować dyskusję na temat najbardziej drażliwy.

– Panu de Bernis?

Rozjątrzony major przemierzał kabinę wielkimi krokami. Byli sami. Piotr wycofał się do maleńkiej komórki, którą do niedawna zajmował Sam.

– Wierzysz jeszcze w uczciwość tego pirata?

– Jeżeli nie zaufam jemu, to komu nam zaufać – odparła. – Gdyby on nas zdradził...

Uczyła gest wyrażający ostateczną rozpacz.

Sands oddałby wiele lat życia za to, by móc jej zarzucić, że nie zaufała jemu. Ponieważ jednak okoliczności odmawiały mu tej pociechy, nastawał z goryczą:

– I ty możesz mówić jeszcze w ten sposób po tym, cośmy oboje widzieli i słyszeli? Po tym, jak ośmielił się zrobić z ciebie swoją żonę?

– A co by się z nami stało, gdyby tego nic uczynił? On nas w ten sposób ratował, Bart!

– Czy jesteś tego pewna? Słowo daję, że okazujesz mu zbyt wiele zaufania.

Pobladła wyraźnie, ale spoglądała nań wyzywająco. Zdołała już wiele przemyśleć i wspomniała teraz jeden fakt:

– Jeżeli jego zamiary byłyby tak niegodziwe i godne pogardy, jak utrzymujesz, to dlaczego oszczędzały ciebie, przedstawiając jako swojego szwagra?

Major aż podskoczył ze złości i chociaż nie wiedział, co ma na to powiedzieć, nie zmieniał swego stanowiska.

– Któż może odgadnąć jego pobudki? – zamruczał.

– A jednak sam czynisz domysły. Dlaczego? – Uśmiechała się blado.

– Jeżeli pozwoliby nas zarznąć – ciągnęła – nie wymówiłbyś ani jednego złego słowa na jego temat.

– Na honor, pani! – Zaczerwienił się nagle.

– Jakże uparte są kobiety! Mam wszelako nadzieję, że przyszłość doprowadzi cię do rozsądku. Ale, szczerze mówiąc, nie mogę w to uwierzyć.

– Dlaczego tak mało masz pobłażliwości dla mnie w tych ciężkich warunkach? – jęknęła.

– Wybacz mi – mówił z miną skruszoną. – To troska o twoje bezpieczeństwo popycha mnie do takich... nietaktów. Wiesz przecież, że bez wahania oddałbym za ciebie życie...

– Miejmy nadzieję, drogi majorze, że nie będzie to konieczne – przerwał de Bernis.

Sands podskoczył i odwrócił się.

Francuz stał w progu. Wszedł i zatrzasnął drzwi.

– Wszystko w porządku – powiedział spokojnym głosem. – Objąłem dowództwo nad okrętem i jesteście odtąd moimi gośćmi.

– A kapitan Bransome? – zapytała Priscilla nieco drżącym głosem.

Twarz Francuza pozostała niewzruszona. Odrzekł spokojnie:

– Kapitan spełnił swój obowiązek. Jeżeli zachowałby się równie dzielnie przed wtargnięciem piratów na okręt, żyłby teraz.

– Nie żyje? On nie żyje?

Zbladła okropnie. Jej wargi zaczęły drżeć. Wydawało jej się niemożliwe, że ten człowiek, tak żywotny i pełen ufności w przyszłość, który tak się cieszył, że odnajdzie wreszcie swoją rodzinę, został nagle zamordowany.

De Bernis opuścił głowę.

– Mówił wczoraj wieczorem, że to był jego ostatni rejs i spodziewał się, że przyszłość odpłaci mu za przebyte cierpienia. Nieborak dokonał swej ostatniej podróży. Spoczywa teraz spokojnie. Wie już, że przyszłość nigdy nie dotrzymuje swoich obietnic.

– To straszne! – wykrzyknął major. – I pan mówisz o tym tak spokojnie! A mogłeś go pan uratować.

– Nie! – uciał de Bernis. – Bitwa była zakończona, gdy Leach przybył tutaj.

– A inni? Załoga?

De Bernis odrzekł tym samym spokojnym głosem:

– Kapitan Leach nigdy nie bierze jeńców.

Priscilla wydała jęk i chwyciła głowę w dłonie. Czowała, że opuszczają ją siły. Słyszała jakby z daleka spokojny głos Francuza, który wyrażał się w doskonałej angielszczyźnie z ledwie uchwytnym obcym akcentem.

– Pozwól, pani, pocieszyć się. Nie zagraża ci już żadne niebezpieczeństwo. Powtarzam to teraz z jeszcze większą pewnością.

– Cóż warte takie zapewnienie dane przez człowieka, który uzurpował sobie miejsce po zamordowanym kapitanie? – rzekł Sands pogardliwym tonem.

– Cokolwiek byłoby warte, jest ono wszystkim, co mogę wam zaofiarować i radzę wam zadowolić się nim – odrzekł cierpliwie de Bernis.

Zawołał Piotra i kazał mu przygotować nakrycia dla pięciu osób. Potem zwrócił się do Priscilii:

– Mój zastępca i szef załogi spożyją swój posiłek razem z nami. Wolalbyśmy wam oszczędzić tego towarzystwa, ale nie byłoby to rozropne. Poza tym, z wyjątkiem godzin posiłków, ta kabina jest do waszej wyłącznej dyspozycji.

Patrzyła nań długo, próbując przeniknąć wyraz jego zimnej i beznamiętnej twarzy. Na próżno. Opuściła głowę.

– Jesteśmy, panie, w twej mocy. Dziękujemy za względy, jakie nam pan okazujesz.

Zmarszczył brwi.

– W mojej mocy? Powiedz raczej pod moją opieką.

– A czy jest jaka różnica?

– Tak, ponieważ wszyscy jesteśmy na łasce okoliczności, Priscillo.

Spodziewała się wyjaśnień i była gotowa na nie odpowiedzieć, gdy wtrącił się oburzony major.

– Pan pozwalasz sobie na dziwną swobodę w stosunku do miss Harradine – zakrzyknął.

– To jest nieuniknione! Czyż nie jest moją żoną? A czy ty nie jesteś moim szwagrem, kochany Bartłomieju?

Major, trzęsąc się z wściekłości, patrzył na niego, ale tym razem nic nie odpowiedział. De Bernis wyprostował się nagle i ciągnął dalej twardym i ostrym tonem:

– Pan mi wyjątkowo przeszkadzasz. Kto inny na moim miejscu już dawno położyłby kres tej beczelności. Pamiętaj o tym, Bartłomieju, i bądź łaskaw nazywać mnie Karolem, jeżeli ci zależy na życiu. Gdyby zaś taka poufałość była ci niemiła, to pomyśl, że jeszcze bardziej nieprzyjemne jest dyndanie z postronkiem, którego jeden koniec zaciska się na szyi, podczas gdy drugi przywiązany jest do rei.

Odwrócił się i wyszedł.

– Na rany boskie! – ryknął Sands. – Ten pirat miał czelność mi grozić!

Byłby zapewne mówił dalej, gdyby nie powstrzymała go Priscilla, wskazując gestem zajętego nakrywaniem do stołu Piotra.

– Mimo wszystko, Bart – powiedziała – pan de Bernis nie zaprosił kapitana Leacha na pokład „Centaura”.

– Ale przyjmował go mile. Został jego sojusznikiem. Przyznał, że miał zamiar przyłączyć się do niego i że ich spotkanie było opatrnościowe. Są zatem siebie warci.

– Kto wie?

– Upierasz się po tym, co sama usłyszałaś! To jest pirat, bandyta, jakiś...

Podniosła się, by go uciszyć, bo właśnie Piotr wychodził ze swojej komórki.

– A ty? Ty jesteś głupcem! – krzyczała. – Jeżeli nie zechcesz powściągnąć swego szaleństwa, to wkrótce zapłacisz za to bardzo drogo. A na dodatek pociągniesz za sobą innych.

Stał nieruchomo, z otwartymi ustami, niezdolny wymówić słowa, zaskoczony niespodziewanym wybuchem Priscilli. To nieomal jeszcze dziecko uniosło się tak wobec niego, królewskiego oficera! Widocznie ostatnie wydarzenia odebrały jej rozum. Kiedy po dłuższej chwili doszedł do siebie i chciał podjąć poważne upomnienia, przerwała mu z tą samą żywotnością. Ścisnęła Sandsa za ramię i zasyczała:

– Czy masz zamiar znieważać go w obecności jego sługi? Jeśli tak, to nie masz ani zdrowego rozsądku, ani poczucia dyskrecji.

I chociaż w głębi duszy Sands zgodził się z takim postawieniem sprawy, to i tak nic nie mogło usprawiedliwić zbyt wielkiej swobody jej wysławiania się. Czuł się urażony i nie omieszkał jej tego powiedzieć, nim powtórnie pogrążył się w stan nadąsanego milczenia. Nieco ją to pocieszało. Milczący major, przestawał być niebezpieczny.

De Bernis powrócił wraz z Woganem i jakimś bardzo otyłym mężczyzną o olbrzymich barach, potrójnym podbródku i maleńkiej głowinie. Przedstawił go jako Halliwella, szefa załogi.

Zasiedli do stołu, a Piotr usługiwał im w milczeniu.

De Bernis zajął miejsce Bransome’a. Priscillę i majora usadowił po swojej prawicy, plecami do światła. Woganowi i Halliwellowi kazał sięść na lewo.

Posiłek przebiegał smutno. Początkowo piraci próbowali śmiać się i głośno gadać, ale chłodny spokój Francuza i wyniosłe milczenie pani de Bernis oraz jej brata, prędko zgasiły ich dobry humor. Wogan nic już nie mówił, a gruby szef załogi schylił się nad talerzem i rzucił

żarłocznie na jadlo, hałaśliwie poruszając szczękami i zapominając o reszcie towarzystwa. Major hamował się, by nie czynić uwag na temat apetytu Halliwelia i sposobu jego zachowania się przy stole. Priscilla zaś, wyczerpana przez ostatnie wzruszenie, czyniła nadludzkie wysiłki, by udawać apetyt.

Podczas bezksiężycowej nocy, słabo tylko rozświetlanej gwiazdami, de Bernis przemierzał rufę „Centaura”. Jego wysoka postać była doskonale widoczna z pokładu, rysując się w blasku latarni rufowej za każdym razem, gdy przechodził pod tym światłem.

Wiatr zelżał znacznie. „Centaur” płynął pod wszystkimi żaglami na południowy zachód kursem wytyczonym przez de Bernisa. W tyle można było rozróżnić trzy światła okrętu Toma Leacha, który posuwał się fosforyzującym kilwaterem „Centaura”.

Noc była ciepła, stąd też prawie cała załoga pozostawała na pokładzie. Rozłożeni na deskach grali w świetle olejowych latarni w kości, które toczyły się po pokładzie wyrzucone z żelaznych czarek wśród wrzasków, śmiechu i przekleństw. Ktoś grał na skrzypcach akompaniując sprośnej piosence, której kuplety, chociaż powszechnie znane, nadal budziły wesołość audytorium. De Bernis nie zwracał uwagi na te hałasy, pozostając zamyślonym i czymś zaabsorbowanym. Koło północy skierował się do swej kabiny. Zauważył, że koło schodni, oparci o przepierzenie, Wogan i Halliwell rozważali o czymś cicho. Ujrawszy, Francuza przerwali rozmowę i życzyli mu dobrej nocy.

Schodnia była pogrążona w ciemności. Olejowa latarnia, która ją zwykle oświetlała, tym razem nie paliła się. De Bernis doznał wrażenia, że ktoś poruszył się powoli w mroku. Zamarł w bezruchu.

– Panie! – wyszeptał ktoś z ciemności.

Ruszył w tym kierunku. Był to Piotr, który podsłuchiwał w ukryciu. To on bez wątpienia zgasił latarnię.

Gdy drzwi się zamknęły, młody Metys spojrzał na swego pana z miną bardzo poważną. Mówił szybko i cicho, po francusku. Wychodził właśnie na pokład, aby przed snem odetchnąć świeżym powietrzem, gdy usłyszał głosy Wogana i Halliwella wymawiających imię jego pana. Pozostał w mroku i ostrożnie zgasił latarnię. Wysunął się na najwyższy stopień, skąd lepiej mógł słyszeć ich rozmowę. Odkryła mu ona stan umysłów piratów. Otóż mają oni zamiar pozwolić de Bernisowi zaprowadzić się do galeonu, a później zapłacić mu stałą, a nie złotem. Wogan

wyjaśniał to Halliwellowi wśród uporczywych protestów szefa załogi, który przypominał, że przyznano już Francuzowi piątą część łupu. Charley wzięłby to, co by mu dano. Dopiero odmowa przyjęcia warunków byłaby jednoznaczna z wyrokiem śmierci.

Halliwell pozostawał jednak nieufny. De Bernis miał opinię chytrego lisa, trudnego do podejścia. Zawsze zwyciężał on brutalną siłą jakimś podstępem. Szef załogi przypominał o bohaterskich czynach Charleya z czasu walk z Hiszpanami i o sprytnych posunięciach, bez których Morgan nigdy nie doprowadziłby do szczęśliwego zakończenia swojej wyprawy. Opowiadał Woganowi, jak to de Bernis schwytał stado bawołów rzucone przeciw flibustierom, aby ich stratować. Halliwell był tam obecny. Opowiadał o tym, co sam widział. Nadszczytnik zasłużył na swój przydomek nie tylko elegancją i wytwornością. Był to niewątpliwie człowiek dzielny i pełen pomysłów. Czy Leach przypuszcza, że Charley będzie na tyle głupi, by nie pomyśleć o pułapce, jaką piraci mogliby nań zastawić?

– Tak – przyznał Wogan – ale co on będzie mógł zrobić? – Znajduje się na naszej łasce i niełasce.

– Nie wiem, co on może zrobić – rzekł Halliwell. – Gdybym to wiedział, to byłbym równie sprytny, jak on. Ale zawsze potrafi coś wykombinować.

– A czemu miałby myśleć o naszych złych zamiarach? To jest

flibustier z dawnej szkoły, kiedy to szanowano podpisane umowy. My go nie będziemy niepokoili. Dopóki złoto hiszpańskie nie znajdzie się pod naszym pokładem, ścierpimy jego wyniosłość i bezwstydną bezczelność. Za wszystko jednak zapłaci.

Przybycie de Bernisa przerwało tę rozmowę.

Wysłuchał on spokojnie relacji wiernego sługi. Nie okazał najmniejszego wzruszenia czy zaskoczenia. Był tylko nieco bardziej zamyślony. Trzymał rękę pod brodą. Jego spokój zdawał się trwożyć Metysa.

– Ależ panie, niebezpieczeństwo!

– A tak. Niebezpieczeństwo – podjął z uśmiechem. – Pokaże się jednak dla kogo, gdy złoto galeonu zostanie zdobyte. Do tego czasu oni będą gotowi znosić moją bezczelność, czyż nie tak? Wystawię zatem ich cierpliwość na próbę! Dziękuję ci, Piotrze. Nie narażaj się jednak więcej. Potrzebuję cię żywego. A teraz idź spać, wszak mieliśmy ciężki dzień.

Gdy nazajutrz wczesnym rankiem wchodził na pokład, spotkał Wogana i Halliwella. Zwrócił się do nich wyniośle:

– Pani de Bernis jest wątłego zdrowia. Wstaje z łóżka niekiedy bardzo późno. Życzyłbym sobie, aby kabina pozostawała do jej dyspozycji przez cały ranek. Rozumiecie?

Twarz Wogana pociemniała. Patrzył groźnie na stojącego przed nim Francuza.

– Nie, ja nie rozumiem – powiedział. – A śniadanie? Mam nadzieję, że za twoim łaskawym przyzwoleniem będzie nam wolno jeść.

– Będziecie jedli, jeśli zechcecie, w dziobowej nadbudówce. Nie czekał na odpowiedź i skierował się na rufę.

Kiedy był już poza zasięgiem ich głosu, Wogan dał upust swemu oburzeniu:

– Pozory i względy, niech to diabli wezmą! Nie jesteśmy zbyt polerowani dla jego pani! No, zobaczmy jeszcze, panie de Bernis. Ale co teraz zrobimy?

– Ano ustąpimy, jakieś wczoraj powiedział – odrzekł grubas. – Zważywszy, że mamy co jeść, nie ma znaczenia, w jakiej sali odbędzie się nasza uczta. Co do mnie, to przyznaję, że wolę nawet ową nadbudówkę. Przy tych delikatnych lalusiach tracę apetyt.

Splunął na znak pogardy.

Wogan klepnął go w ramię.

– Masz rację, Ned. Jeszcze mu dziękujemy.

Kiedy de Bernis powrócił, jego zastępca istotnie mu podziękował:

– Miałeś wspaniały pomysł, Charley – zaśmiał się. – Nie będziemy swymi osobami sprawiali kłopotu twojej pięknej pani i jej gadatliwemu braciszкови, rozumiesz?

– Doskonale. Możecie jadać tam, gdzie zechcecie. Minął ich, pozostawiając obu z rozdziawionymi gębami.

– On nas upoważnia! – zakrzyknął Wogan. – On nas upoważnia! Do stu piorunów! Bezczelny bydlak!

Tymczasem de Bernis obserwował płynącego w tyle „Czarnego Łabędzia”. Prawie pół godziny pozostawał zamyślony ze zmarszczonymi brwiami. Nagle wyprostował się. Głębokie zmarszczki na jego czole wygładziły się niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, ustępując miejsca uśmiechowi. Energicznym krokiem ruszył do kabiny nawigacyjnej. Wydał Halliwellowi rozkaz opuszczenia szalupy, ponieważ pilnie musi widzieć się z Tomem Leachem.

Nim minęły dwa kwadranse, wstępował na okręt Toma. Przywitał go grad przekleństw oraz kategoryczne żądanie wyjaśnienia przyczyny tej straty czasu.

– Co do czasu, to mamy go na zbyciu – odparł Francuz. – I lepiej jest płynąć dłużej a pewnie,

niż krócej a lekkomyślnie.

Stał na pomoście wytworny i pełen powagi. Niektórzy z flibustierów usiłowali mu niekiedy dorównać w wykwincie, ale nikomu się to nie udało. Miał rodzaj wdzięku i szlachetności w sposobie bycia, które czyniły jego elegancję naturalną. Sir Henry Morgan również próbował go naśladować, ale nie osiągnął nic, prócz śmieszności.

Tom Leach stanowił zaś zaprzeczenie de Bernisa. W rozchełstanej koszuli i z włosami w nieładzie sprawiał wrażenie wodza, który imponuje dzięki swej gwałtowności i okrucieństwu.

– Przybyłeś więc, by mi dawać rozkazy? – zarechotał.

– Przybyłem, aby pomówić z tobą o naszym wspólnym celu – odparł de Bernis zimno i spokojnie, bez cienia strachu.

Ludzie z załogi spoglądali na de Bernisa z ciekawością i swego rodzaju uwielbieniem, które nie było wywołane jedynie jego wytwornością, ale sławą flibustiera, który dokonał wielkich rzeczy wspólnie z Morganem.

Jego odpowiedź uśmierzyła nieco gniew Leacha.

– Chodź do mojej kabiny – powiedział.

Skinieniem ręki zaprosił jeszcze dwóch mężczyzn. Przedstawił ich jako swego zastępcę i szefa załogi. Obaj byli średniego wzrostu. Zastępca, Ellis, miał rudą brodę i włosy i pozbawione rzęs okrutne oczy. Szef załogi, Bundry, był śniady. Twarz jego nosiła ślady przebytej ospy. Ubrania obu były czyste i przyzwoite, ciemnej barwy, która podkreślała pewną godność ich zachowania.

Gdy zasiedli, noszący jeszcze na ramieniu piętno niewolnictwa murzyn odziany w perkalowe portki, przyniósł im poncz z rumu, zielonych cytryn i cukru i zniknął natychmiast żegnany przekleństwami kapitana.

– A teraz, Charley – powiedział Leach – słucham.

De Bernis usiadł naprzeciw Leacha i wsparł łokcie na grubym dębowym blacie.

– Obserwowałem „Czarnego Łabędzia” – powiedział – i utwierdziłem się w przekonaniu, jakie wyraziłem wczoraj. Twój okręt już bardzo długo pozostaje w morzu. Za długo.

– Do diabła! – odezwał się Bundry. – Żeby to dostrzec, nie trzeba być koniecznie marynarzem.

– Będziesz mówił, jak cię zapytam! – wrzasnął Tom wściekły, że ktoś był zdania Francuza. – A poza tym?

De Bernis nie odezwał się od razu.. Przyjazne stanowisko szefa załogi było dlań zachętą i poparciem, jakiego bynajmniej się nie spodziewał. Był to przypuszczalny sprzymierzeniec, który czynił jego zadanie nieco łatwiejszym.

– Mówiłem ci wczoraj, że kil twego okrętu utrudnia żeglugę. Gdybym dowodził „Centaurem”, nigdy byś na niego nie wtargnął. To fakt. Byłbyś mnie pewnie gonił jeszcze, o ile sam bym cię nie zatopił wcześniej.

Na twarzy Leacha odmalowało się zaskoczenie. Po chwili wybuchnął jednak hałaśliwym śmiechem, ale de Bernis pozostał niewzruszony.

– Zawsze byłeś pyszałkiem, Charley – zawołał Tom – ale tym razem przesadziłeś, wielki admirał. – Powiedz nam, jak dokonałeś swego odkrycia?

– Twój szef załogi jednak się nie śmieje – zauważył de Bernis.

Tom rzucił podejrzliwe spojrzenie na Bundry’ego.

– A to dlatego, że on rozumie, do czego zmierzam – ciągnął Francuz. – On wie, że „Centaur” ze swoim czystym i dobrze naoliwionym kilem lepiej by się trzymał pod wiatr niż „Łabędź”.

– Być może – rzekł Tom – ale ty mówiłeś o zatopieniu mnie.

– Okręt, który może zostać zdystansowany przez inną jednostkę, znajdzie się na jej łasce. Reszta jest już tylko sprawą zręczności manewrowania i odwagi. W bitwie. Tom, szybkość i ruchliwość są najważniejszymi czynnikami. „Centaur” krążyłby wokół ciebie jak pantera wokół słonia i strzelałbym, zanim twój kil zdążyłby posłuchać steru!

Leach pogardliwie wzruszył ramionami.

– Może, ale to wszystko nie ma nic wspólnego z naszymi zamiarami...

– Tak – poparł go Ellis. – Oczekujemy czego innego niż twoich przechwałek, Charley.

– Usłyszysz jeszcze bardziej niemiłe rzeczy – odpowiedział chłodno Francuz – jeśli będziesz miał za długi język.

Leach uderzył pięścią w stół.

– Idźcie do diabła z tą całą gadaniną! – wrzasnął. – Powtarzam moje pytanie, Charley. Co mój kil ma do naszych celów?

– Wszystko. Nie jesteś w stanie walczyć. Nie przypuszczaj, że Hiszpanie poddadzą się tak łatwo jak kupcy. Ich okręty będą w doskonałym stanie. Oczywiście, że ich pokonamy, ale musisz to zrozumieć! Stawka jest zbyt wysoka, by się lekkomyślnie narażać.

– Mówiłeś przecież, że nie mają więcej jak dwustu pięćdziesięciu ludzi.

– Tak, ale osiemdziesiąt dział przeciwko naszym sześćdziesięciu i trzy kile. Do tego czyste, gładkie i dobrze natłuszczone. Trzeba oczyścić „Czarnego Łabędzia”.

– Oczyścić?

– Tak, bo w przeciwnym razie zdążamy do kłęski.

Bundry przytaknął skinieniem głowy i otworzył usta, aby przemówić, ale Leach nie dał mu na to czasu.

– Ty francuski lalusi! Ty chcesz mnie uczyć mojego zawodu? – wrzeszczał.

– Jeśli odmawiasz oczyszczenia swojego okrętu, to dowodzisz niezbitcie, że go nie znasz.

– Takie jest twoje zdanie? To co mówisz, nie jest ewangelią. Jeszcze dziś mogę stawić czoło trzem hiszpańskim fregatom i pokonać je. Nie zawracaj mi głowy oczyszczaniem! Wiesz dobrze, że nie mamy na to czasu.

– Mamy tyle czasu, ile potrzeba – odparł de Bernis. – Mamy przed sobą miesiąc do wypłynięcia galeonu. To wystarczy.

Wywód Francuza podniecał jednak opór pirata.

– Czy mamy czas, czy nie, ja się stanowczo sprzeciwiam. Nie boję się Hiszpanów.

Przez chwilę de Bernis patrzył ponuro poprzez stół na Toma Leacha, nie mówiąc ani słowa. Następnie opróżnił swoją szklankę, odepchnął krzesło i wstał.

– Skoro się uparłeś – powiedział – nie mamy o czym mówić. Zaatakować Hiszpanów okrętem w takim stanie, to narażać się na kłeskę. W tych warunkach odmawiam walki. A cele? Wytoczaj sobie takie, jakie ci się spodobają.

Trzej mężczyźni popatrzyli na niego osłupiali.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zawołał Ellis.

– Że jeśli kapitan Leach chce uśmiercić swoich ludzi i zatopić okręt, to ja do tego ręki nie przyłożę. Szukajcie zatem innych ofiar. Żegnajcie.

– Siadaj! – ryknął Tom.

De Bernis stał w dalszym ciągu.

– Czyś zmienił zdanie? – zapytał.

– To ty powinieneś je zmienić. Jesteś na moim pokładzie, a ja nie znoszę buntów. Jesteś tutaj, żeby mówić, więc mów!

– A jeżeli nie zechcę?

– To możesz skończyć na którejś rei... albo jeszcze gorzej. Brwi de Bernisa uniosły się

w wyrazie zdumienia. Rzucił na Toma spojrzenie pełne pogardy.

– Czy wiesz, kapitanie Leach, że twoja własna załoga interesuje się moim losem przede wszystkim dlatego, że wie, iż ich zaprowadzę do hiszpańskiego galeonu? Twoi ludzie niewątpliwie zapytają, dlaczego mnie wieszasz. Cóż im wtedy odpowiesz? Że odmówiłem iść z tobą na pewną śmierć, na którą chcesz ich zaprowadzić? Że nalegałem, byś zminimalizował ryzyko?

Mówiąc to, uważnie obserwował korsarzy. Wyraz twarzy Toma zmieniał się powoli. Ellisa także. Bundry wydawał się być w rozpacz. Odezwał się pierwszy.

– Mimo wszystko kapitanie – powiedział – de Bernis nie jest bez racji.

– Nie, ja się nie zgadzam – powtarzał uparcie Leach.

– Możemy jednak przedsięwziąć pewne środki zaradcze – dodał Ellis. – Po co mamy się sprzeczać, kiedy nasze wspólne interesy nakazują nam porozumienie i jedność. De Bernis chce tylko jednego – pewności zwycięstwa, Tom.

– Stan okrętu nie jest doskonały – powtórzył Bundry – i jeżeli mamy czas na oczyszczenie kilu, to lepiej z tego skorzystać.

Opuszczony przez swoich pomocników Leach pojął, że od tej chwili de Bernis trzyma w rękę wszystkie atuty. Sekret, którego strzegł, pozwalał mu na narzucenie swej woli. Pirat odzyskał zimną krew i udawał dobroduszość.

– No jasne! Po cóż mamy się kłócić? Potrafię przyznać, że postępowałem niesłusznie. Złościł mnie jednak sposób, w jaki ty się wyrażasz, Charley. Jesteś jak jeź. Siadaj i napełnij swoją szklankę.

De Bernis przyjął to zaproszenie skinieniem głowy, nie okazując przy tym najmniejszych oznak zadowolenia. Zajął jednak swoje miejsce i napełnił szklankę.

– A więc – powiedział – zgadzasz się na oczyszczenie kilu? Czy dobrze cię zrozumiałem?

– Skoro Bundry utrzymuje, że jest to niezbędne, należy się zdecydować. To jasne!

– W takim razie – podjął de Bernis – najbliższym naszym celem będzie Archipelag Albuquerque. Znam tam bezludną wyspę. To Maldita. Jest na niej zatoka, gdzie można ukryć tuzin okrętów i plaża, na której z łatwością można będzie przewrócić statek do czyszczenia. To jest najdogodniejsze miejsce na całym Morzu Karaibskim. Będziemy tam niedostrzegalni i to jest jeszcze jedna racja.

Popatrzył po zebranych i dodał:

– Z tej wyspy możemy w ciągu dwóch dni osiągnąć okolicę, gdzie zaatakujemy Hiszpana.

Tom Leach zdobył „Centaura” w pierwszy wtorek czerwca. W środę kapitanowie odbyli naradę i oba żaglowce idąc jak najbliższej wiatru, sterowały na południowy zachód. Choć ich szybkość nie była imponująca, to jeszcze w środę, tuż przed zachodem słońca, obserwator zasygnalizował ziemię. Był to przylądek de la Vela. W niedzielę o świcie okręty dopłynęły do Archipelagu Albuquerque.

Pięć dni podróży minęło bez żadnych wypadków. Priscilla i major przyzwyczaili się stopniowo do myśli, że nie są narażeni na żadne niebezpieczeństwo i że jedynie ich przyjazd do Anglii ulegnie pewnej zwłoce.

Po ostatniej rozmowie z Leachem de Bernis powrócił na „Centaura” z jeszcze większą nadzieją. Nie okazywał tego na zewnątrz, ale ona istniała i dodawała mu pewności siebie. Miał też w ręku niebagatelny atut – znał na wylot obyczaje flibustierów. Ani na lądzie, ani na morzu nie uznawali oni żadnej dyscypliny. Wyjątkiem była walka, ale tu w grę wchodziło życie. Poza walką panowała pełna równość. Oczywiście z pozycją wodza wiązały się pewne przywileje, wymuszała ona szacunek i posłuszeństwo, ale tylko wówczas, gdy nie manifestował on na każdym kroku swej wyniosłości i nieprzystępności. Znajomość tej fundamentalnej

zasady flibustierskiego kodeksu pozwoliła de Bernisowi szybko skaptować sobie swoją załogę.

Chłodny i powściągliwy kiedy komenderował samodzielnie „Centaurom”, nie wahał się w wolnych chwilach bratać ze swoimi ludźmi. Żartował z nimi, popijał, a nawet z powodzeniem grywał w kości. Można go było spotkać siedzącego na zwoju lin na dziobie, otoczonego gromadą flibustierów i opowiadającego swoim słuchaczom o wzięciu hiszpańskiego fortu San Lorenzo nad rzeką Chagres. Innym razem, a było to wieczorem owego dnia, gdy dostrzeżono przylądek de la Vela, przyniósł gitarę, zasiadł na pokrywie włazu w świetle księżyca i otoczony milczącymi piratami śpiewał im hiszpańskie arie.

Nigdy jednak nie posunął się do prostactwa. Ludzie uwielbiali go, wszelako nigdy nie przestali odczuwać na jego widok swego rodzaju lęku. Przeszłość de Bernisa, jego zachowanie, wykwinny strój i maniery zawsze kazały im pamiętać, że to on jest wodzem. Zaiste miała rację miss Harradine, kiedy oświadczyła majorowi, że de Bernis może sobie bezkarnie pozwalać na lekceważenie pewnych konwenansów.

Zupełnie jednak nie mógł tego zrozumieć brutalny osiłek Wogan, który bezskutecznie usiłował przeniknąć sekret Francuza. Do Irlandczyka nie docierało, że można pogodzić dwie postawy: niezmierną poufalość z powagą dowódcy. Pytał o to swego kamrata Halliwella, który sam niewiele rozumiejąc, zdobył się jedynie na pogardliwe i lekceważące określenie – francuskie diabelstwa.

Równie niechętnym i pełnym wzdrygi obserwatorem postawy de Bernisa był major Sands. Trzeba przyznać, że Francuz bynajmniej nie zabiegał o jego względy. Po powrocie z „Czarnego Łabędzia” powiadomił Priscillę, że odtąd będą wolni od obecności jego zastępcy i szefa załogi.

– Chciałbym również móc oszczędzić pani swojej obecności – dodał poważnie – ale nasze związki... rodzinne zmuszają mnie do pozostawania przy was.

Zaprotestowała gwałtownie:

– Czy możesz pan nawet pomyśleć, że ja posunę swoją niewdzięczność aż do chęci niewidzenia pana więcej?

– Mimo wszystko – odrzekł – jestem wart tyle samo, co ci wszyscy piraci.

Proste i szczere spojrzenie oczu Priscilli zdawało się odpychać tę myśl z oburzeniem.

– Nigdy bym nie mogła podzielić takiej opinii – rzekła.

– A jednak major pani powie, że jest ona jedyną możliwą.

Major zakaszał, jak gdyby chciał coś powiedzieć, ale w porę się pohamował. Nie chciał otwarcie wystąpić przeciw Francuzowi, ale w duchu ganił Priscillę za jej przesadne ugrzecznienie. Poczul się zaskoczony i upokorzony, gdy usłyszał, że dziewczyna odpowiada za niego.

– Major, podobnie jak ja, może odczuwać wobec pana jedynie wdzięczność. On wie, co by się stało z nami bez pańskiej pomocy. Proszę usilnie, by zechciał pan w to uwierzyć.

De Bernis skłonił się z uśmiechem.

– Ależ wierzę mu – powiedział. – Nikt nie potrafiłby podać w wątpliwość płomiennej szczerości majora.

Sands spurpurowiał gwałtownie. De Bernis, udając że tego nie dostrzega, mówił dalej:

– Przybyłem tu, aby was uprzedzić, że możecie według swego upodobania opuszczać kabinę i wychodzić na pokład bez obawy, by ktokolwiek was zaczepił czy niepokoił. Gdyby zaś ktoś ośmielił się przekroczyć moje w tym względzie rozkazy, posłuży za przykład, który odstręczy innych od złych zamysłów. Na rufie została ustawiona altanka z płótna żaglowego, która

pozostaje do waszego rozporządzenia. Teraz pozwólcie państwo, że was opuszczę.

Priscilla dziękowała Francuzowi w imieniu obojga, ten zaś skłonił się i wyszedł.

– Co za względy – szepnęła.

– Względy?! – wykrzyknął major. Pohamował jednak swą złość i zaczął filozofować.

– Cała przepaść oddziela nas od tego człowieka, Priscillo. Zważ, co on zrobił...

– Jak chcesz. Ja na przykład pamiętam, że nas uratował. Czyż to nie zasługuje na jakąś wdzięczność?

– Toż to tylko jedna strona zagadnienia!

– Dla umysłu szlachetnego jednak to wystarczy i zbyteczne staje się zajmowanie całą resztą sprawy.

Cierpki ton dziewczyny pohamował majora. Pojął, że wybrał fałszywą drogę i że nie dotrze nią nigdzie, jeżeli będzie się odwoływał do inteligencji oraz rozsądku Priscilli. Potrzebą chwili stało się położyć kres jej wrogości w stosunku do niego. W tym celu odwołał się do jej uczuć. Był to jedyny sposób, który pozwalał mu doprowadzić do szczęśliwego końca ostateczne zdobycie posażnej panny. Mając to na względzie, stary obłudnik znów zaczął swą grę.

– Droga Priscillo, czy zdajesz sobie sprawę, do jakiego stopnia jesteś niesprawiedliwą w stosunku do mnie? Uważasz, że brak mi szlachetności. Nic nie rozumiesz. Wyobrażasz sobie, że niepokoję się samolubnie o siebie tylko, o swoje dobro, o swoje bezpieczeństwo i że to właśnie czyni mnie niecierpliwym. Drogie dziecko, ja bardzo mało dbam o siebie. Jeżeli byłbym tu sam, mógłbym być grzecznym wobec tego człowieka, biorąc pod uwagę to, że mi uratował życie. Ale ja właśnie myślę tylko o tobie! Jeżeli okazuję jaką niecierpliwłość, jeśli odpowiadam szorstko, to tylko dlatego, że niepokoję się o ciebie, o twój los. W jaki sposób mogę zachować zimną krew w obliczu niebezpieczeństw, jakie ci zagrażają?

Rozdrażnienie dziewczyny ustąpiło wobec tej odpowiedzi i łagodność jej natury przejawiała się niezwłocznie:

– Wybacz mi, Bart. Bywam niekiedy głupia. Wybacz mi mój drogi.

Wyciągnęła doń rękę. Zbliżył się, chwycił jej dłoń w swoje z uśmiechem. Czuły żal, jaki dziewczyna właśnie wyraziła, przypomniał mu nagle pewne zdanie, które usłyszał kiedyś w teatrze o dogodności działania w odpowiedniej chwili. Było to zdanie napisane przez jednego z tych romansopisarzy czy poetów, którzy rozwijają w pompatycznych okresach myśl, jaka każdemu mogłaby przyjść do głowy. Obecnie major sięgnął po to obrazowe wyrażenie literata:

„Sprawy ludzkie mają swoje przyływy, które, wykorzystane w odpowiedniej chwili, prowadzą nieomylnie do szczęścia”.

Przyływ przyszedł w porę. Należało rzucić się weń w chwili najwyższego zasięgu.

– Drogie dziecko – powiedział – jakież człowiek na moim miejscu, kochając cię tak jak ja, mógłby powziąć inną myśl?

– Rozumiem cię, Bart. Powinnam była zrozumieć cię wcześniej – mówiła spoglądając nań tkliwie.

Pieścił jej rękę i delikatnie przyciągnął dziewczynę do siebie. Nie opierała się.

– Czy myślisz, że łatwo przychodzi mi zachować cierpliwość, kiedy widzę, ile niebezpieczeństw grozi kobiecie, którą uwielbiam?

Jego głos stawał się coraz bardziej czuły. Nagle Priscilla skoczyła na równe nogi. Oddychała głęboko. Zaczerwieniła się i błysk trwogi zaświecił w jej oczach.

– Co ty mówisz, Bart! – zawołała wyrrywając gwałtownie swoją rękę. – Ty... ty... – głos uwiązał jej w gardle. – Ty mówisz, że mnie kochasz?

Wyciągnął bezradnie ramiona i powiedział niepewnie:

– Ukochana...

– Chwila i okoliczności zostały źle wybrane – powiedziała prawie z gniewem.

Zdał sobie sprawę, że była szczerą, że jeszcze nie nadeszła odpowiednia pora, że wreszcie omylił się co do tego przyływu.

– Chwila? – zapytał. – Ależ to jest ta sama chwila i te same okoliczności, które mnie skłoniły do zadeklarowania, że pozostanę przy tobie, gotów dla ciebie poświęcić życie. I jeżeli głębokie uczucie, które przed tobą składam, nie wystarcza żeby usprawiedliwić moje wystąpienie, to pomyśl o przyjaźni, jaką żywiłem do twojego ojca, którego pamięć jest mi święta.

Zamęt, jaki owładnął umysłem dziewczyny, a który odbił się w jej oczach, nie ustępował, tylko zdawał się zmieniać kierunek. Opuściła wzrok i zmieszana skierowała się w stronę iluminatora.

Sands ścigał wzrokiem sylwetkę dziewczyny, podziwiając urok i wdzięk jej ruchów. Czekał też na to, co jeszcze ma mu do powiedzenia.

– Wybacz mi, Bart – odezwała się wreszcie. – Nie myśl, że jestem niewdzięczna. Umarłabym zapewne z żalu po stracie ojca, gdybym nie miała ciebie przy sobie. Chciałeś, żebym to zrozumiała. Powinnam to uczynić, nim zdecydowałeś się wystąpić.

– Nie będzie już odtąd mowy o tej sprawie – rzekł.

Ale w głupocie swej dodał:

– Miło mi słyszeć od ciebie, że wszystko zawdzięczasz mnie, że to nie ten przeklęty Francuz zasługuje na twoją wdzięczność. O ile była już gotowa zapomnieć o tym wszystkim, nieostrożne słowa Sandsa obudziły w jej pamięci poczucie prawdy, łagodząc jej wyrzuty sumienia. Ale nie zaprzeczyła już, pragnąc zachować pokój z majorem. Kręciła się wokół niego, uśmiechała nieśmiało, jakby jeszcze pamiętała przesadną treść słów, jakie wygłosił dawniej.

– Czy zechcesz, Bart, towarzyszyć mi na pokład?

Weszli oboje na rufę ścigani kosym spojrzeniem Wogana i Halliwella. Reszta załogi zdawała się nie zauważać ich przyjscia.

De Bernis zajmował kabinę Bransome'a w kasztelu rufowym. Drzwi były otwarte, więc zauważył wchodzących. Zaraz też przyniósł dwie poduszki na tapczan. Jako uprzejmy gospodarz, pozostawał przy nich, wyrażając pragnienie, żeby bryza nie osłabła i zawiodła ich do Albuquerque, gdzie ku jego ciężkiemu zmartwieniu oba okręty będą musiały przebyć kilka tygodni.

Major siedział osowiały u stóp tapczana i nie brał żadnego udziału w rozmowie. Wzburzony perspektywą miesięcznego pobytu na jakiejś zakazanej wyspie, przeżywał swoje rozterki w milczeniu. Spokój Francuza jątrzył go. Ze wzrastającą wściekłością stwierdzał, że Priscilla zdawała się przyjmować wszystkie te wiadomości z coraz bardziej potulną rezygnacją. Jego furia osiągnęła szczyt, gdy usłyszał, jak dziewczyna zapytała:

– Panie de Bernis, w jaki sposób został pan flibustierem? Zdawało się, że to pytanie zaskoczyło Francuza, który uśmiechnął się niepewnie.

– Pytasz mnie pani – powiedział wreszcie – jakby ta rzecz była trudną do pojęcia. Oczywiście jest to sprawa skomplikowana. Ale czy to naprawdę panią interesuje?

– Oczywiście! Gdyby było inaczej, to jak usprawiedliwić niestosowność tego pytania?

– To nie jest niestosowność – powiedział bardzo swobodnie. – Przeciwnie, to bardzo stosowne. Szczególnie gdy zważyć, że obecne pani położenie tak dalece zależy od faktu, że byłem kiedyś flibustierem.

Jego ciemne oczy stały się nagle poważne. Zamyślił się.

– Niewiele spraw pozostało ci, pani, nieznanych – podjął wreszcie. – Mówiłem ci już, że kawaler Simon, którego Hiszpanie zamordowali w Santa Catalina, był moim wujem.

Wyruszyłem wraz z nim do Nowego Świata, aby znaleźć tam wolność, której mi we Francji odmawiano. Nie miałem zamiaru znaleźć się poza prawem. De Bemisowie są hugonotami. Wiesz, pani, że tacy bywają we Francji zaledwie tolerowani. W latach mojej młodości protestant miał bardzo małe szansę, by ujrzeć otwartą dla siebie drogę do kariery. Teraz, odkąd Ludwik XIV odwołał edykt nantejski, dzieje się jeszcze gorzej.

– Byłem najmłodszym – ciągnął dalej swą opowieść – spomiędzy synów, toteż nie zawahałem się towarzyszyć memu wujowi. Po jego śmierci pozostałem samotny i niemal bez grosza, więc zaciągnąłem się do wojsk Morgana. Nie mogłem postąpić inaczej. Zresztą rzeź w Santa Catalina nauczyła mnie nienawiści do Hiszpanów, a Morgan walczył właśnie z nimi. Mój awans nastąpił bardzo szybko. Samo urodzenie przeznacza już szlachcica do dowodzenia. Toteż skoro tylko złożyłem przed Morganem dowody odwagi i waleczności, powierzył mi dowództwo nad Francuzami, którzy tworzyli część jego niewielkiej armii. Nieco później zostałem jego zastępcą. Wyuczyłem się przy nim zasad walki morskiej, a wątpię, czy znalazłbym gdzie lepszą szkołę. Kiedy Anglia przestała popierać flibustierów i kiedy Morgan przyjął gubernatorstwo Jamajki, wstąpiłem wraz z nim do służby waszego kraju. Winien jestem temu człowiekowi wiele, a on pokładał we mnie najwyższe zaufanie. To wszystko.

– W takim razie – rzekła zamyślona – pańska kariera pozostała normalną, ponieważ przestałeś pan być flibustierem, skoro tylko oni zostali wyjęci spod prawa.

Tego już majorowi było za wiele.

– Było to prawdą, ale na nieszczęście już nią być przestało – zawołał.

De Bemis wybuchnął śmiechem i powstał.

– Dlaczego „na nieszczęście”, majorze? Powinien pan zważyć, że ta właśnie okoliczność jest dla was bardzo szczęśliwą.

Major nic nie odrzekł. Czekał, aż Francuz się oddali, by dać upust swemu gniewowi.

– Zaufanie, jakie Morgan w nim pokładał! – zaśmiał się. – Nie przeszkodziło mu to jednak zdradzić go przy pierwszej sposobności.

Priscilla pozostała zadumana i nie słyszała, a może tylko udawała, że nie słyszy, wybuchu majora. Nic też nie odpowiedziała, a Sands czym prędzej porzucił drażliwy temat wiedząc, że wywołuje on zawsze gwałtowne sprzeczki pomiędzy nimi. Wracał jednak do tej sprawy jeszcze kilkakrotnie, zanim zagłowiec dopłynął do Albuquerque. Najbardziej jątrzyła tego angielskiego oficera poufalość Francuza w stosunku do załogi. Ciągle też zwracał Priscilli uwagę na ten fakt.

– Czyż to nie jest niewiarygodne – mówił z niesmakiem – że człowiek może tak swobodnie ocierać się o zwykłych bandytów?

Nie rozumiał, czy słowa Priscilli były odpowiedzią na jego pytanie:

– On śpiewa tak miło...

Wczesnym rankiem w niedzielę obserwator obwołał ziemię. Była to Maldita, którą de Bernis wybrał jako miejsce oczyszczenia „Czarnego Łabędzia”. Obydwa okręty stanęły na kotwicach.

Zatoka była dobrze ukryta i niewidoczna. Leach musiał przyznać, że odpowiadała doskonale wykonaniu ich zamiaru. Od południa lagunę okrążała ławica skalna, od północy osłaniał wysoki przylądek, którego wierzchołki były pokryte zaroślami. De Bernis natychmiast zainstalowałby tam baterie, co uczyniłoby lagunę prawdziwie niedostępną. Jednak Leach, który był absolutnym ignorantem w kwestii lądowych fortyfikacji, zupełnie zlekceważył tę okoliczność, a Francuz nie miał najmniejszego zamiaru kierować jego uwagę w tę stronę.

Plaża miała kształt półksiężyca i ciągnęła się od podwodnych skał do przylądka. Jej spadek był niemal niedostrzegalny. Wpadający do zatoki strumień dzielił ją na dwie części. W głębi lagu wznosił się las palmowy, który porastał prawie całą wyspę.

Oba okręty kotwiczyły obok siebie. Leach nie tracił jednak czasu. Spuszczono na wodę szalupy i gromada ludzi wylądowała na brzegu, aby ścinać drzewa. Trzeba było bowiem zbudować tratwy zdolne do zwiezienia na ląd wszystkiego, co obciążało Czarnego Łabędzia”. Praca nad tym trwała trzy dni. Potem okręt miał już jedynie kadłub i maszty. Jego czterdzieści armat oraz wszystko co można było ruszyć z miejsca, zostało przewiezione na ląd. Rozładowany żaglowiec był gotów, by go przewrócić do oczyszczenia kilu i kadłuba.

Piraci pracowali ochoczo. Brodząc w wodzie po pas, popychali lub ciągnęli tratwy, żartując, śmiejąc się i śpiewając niczym uczciwi robotnicy. Postronny obserwator nigdy nie domyśliłby się w nich krwawych morskich rozbójników, dla których życie i honor nie miały już żadnej wartości.

Gdy żaglowiec był już gotowy, załoga przygotowała dla siebie biwak na wybrzeżu. Sami zamieszkali w namiotach z żaglowego płótna, dla kapitana i oficerów zbudowali trzciny barak pokryty dachem z plecionki palmowej, a wyposażony w meble i hamaki zabrane z pokładu.

Rankiem trzeciego dnia, kiedy wzbierający przypływ dawał się już odczuć, „Czarny Łabędź” opuścił miejsce swego kotwiczenia, aby zostać przeholowanym na ląd. Półnady, ociekający potem pod padającymi nieomal prostopadle promieniami słońca piraci holowali go za pomocą

kabestanu. Kręcili kołowrót wolno, śpiewając rytmicznie. Bardzo łagodne pochylenie piaszczystego wybrzeża pozwalało z początku dość szybko posuwać się okrętowi w głąb lądu. Ale w miarę jak głębokość wody zmniejszała się, zadanie stawało się coraz trudniejsze i wymagało od korsarzy nadludzkiego wysiłku. Gdy wreszcie okręt znalazł się poza wodą, mogli podsuwać bale pod kil i stosunkowo łatwo toczyć żaglowiec po plaży.

Słońce zbliżało się już do widnokręgu, kiedy „Czarny Łabędź” został obalony do czyszczenia powyżej najwyższego poziomu przypływu. Przewrócony na bok, ukazywał słońcu swój kadłub, spilśniony wodorostami i inkrustowany skorupiakami.

Znaczny wysiłek wyczerpał korsarzy, którzy odpoczywali przez dwa dni czekając, aż słońce wysuszy zielsko kadłuba i kiedy można go będzie zacząć czyścić.

De Bernis pozostawał na pokładzie zakotwiczonego w zatoce „Centaura” wraz z rzekomymi członkami swojej rodziny. Załoga okrętu pracowała codziennie na lądzie, a wieczorem wracała na pokład. Podczas względnie chłodnych nocy podzwrotnikowych de Bernis uprzyjemniał wolne chwile piratów piosenkami i opowieściami o swoich przygodach, wywołując tym wzgardę majora oraz podejrzliwość Wogana i Halliwella.

Sands, aby usprawiedliwić w oczach Prisciili niechęć jaką odczuwał do Francuza, nie zanieczywał żadnej sposobności, by stać się jej niemiłym. De Bernis cierpliwie słuchał utyskiwań majora, nie reagował też na jego zaczepki. W końcu wywiązała się między nimi ostra rozmowa. Sprowokowany przez Sandsa pytaniem o to, jaką przyjemność może znajdować w wiedzionym przez siebie życiu pirata, przerwał tamę milczenia.

– Kto z nas spełnia wyłącznie to, co mu sprawia przyjemność? – zapytał. – Doprawdy byłbym szczęśliwy, mogąc w ten sposób postępować. Nie miałem jednak zbyt wiele ku temu okazji. Jeżeli masz pan takie możliwości, to zazdroszczę ci twojego losu, majorze.

– Co pan chcesz przez to powiedzieć?

– Że w naszym życiu niemal wszelka działalność stosuje się do obowiązków czy konieczności: walczyć z chorobami, strzec naszego życia, zapewnić sobie chleb powszedni. Czy nie takie jest pańskie zdanie?

– Tak, to jest reguła ogólna, ale jakiej konieczności ulegasz pan, łącząc się z tymi bandytami?

– Czyż to nie jest widoczne i jasne? Myślę, że miss Harradine pojmuje moje zamiary.

– Tak myślę – odrzekła patrząc mu w oczy. – Próbuje pan pozyskać ich na swoją korzyść.

– Nie tylko na swoją, ale na naszą. Leach jest łajdakiem i krwawym zbirem. Jeśli podpisałem z nim układ, jeśli uważa, że go mam w ręku wskutek jego pożądlivosti, to mimo to nie jestem pewien, czy jego przewrotność, złość, albo inny jaki demon nie popchną go do uwolnienia się od tych więzów. Nie gardźcie więc mną zbytnio, bo staram się ukuć puklerz do możliwej i wielce prawdopodobnej walki. A tarczą w tym boju może być zdobycie zaufania i sympatii flibustierów.

Major skrzywił się z niesmakiem.

– Sympatii? – ryknął śmiechem. – Istnieją sprawy, na które dżentelmen nie potrafi się zgodzić.

– Być może masz pan słuszość, ale ja się wystrzegam pochopnych wniosków. Weź pan pod uwagę, że moja śmierć pociągnie za sobą i waszą. Nie miej pan w tym względzie żadnych złudzeń. Te bowiem, które pan żywi, są już i tak dość liczne.

Uśmiechnął się, dostrzegłszy pomieszanie Sandsa.

– Nie miej pan do mnie pretensji z powodu godnych pogardy środków, jakich używam – dodał. – Czynię to, aby ustrzec siebie i równocześnie was od możliwej gwałtowności Leacha.

Nie czekając na odpowiedź majora, de Bernis zmienił zręcznie temat rozmowy i zwrócił się do Priscilli, która rzuciła nań pełne zainteresowania spojrzenie. Można by rzec, że odczuwała jakąś radość, widząc skarconego w ten sposób swego oficjalnego opiekuna.

W tym samym czasie Wogan i Halliwell rozmawiali z Leachem na podobny temat. Sztab piratów zasiadł wokół stołu w nowym baraku trzciniowym. Byli też obecni Ellis i Bundry.

Toma początkowo mało interesowało to, o czym mówili Wogan i szef załogi.

– Niech sobie robi, co mu się podoba – mówił – dopóki nie pozwoli nam złapać galeonu. Później biorę na siebie doprowadzenie go do rozumu.

Ellis i Bundry nie znali zamiarów kapitana, toteż chciwie nadstawili uszu. Dziwny błysk ukazał się w oczach Ellisa. Powieki Bundry'ego opadły jak u ptaka. Jego poblądła twarz pozostała niewzruszona.

Grubas Halliwell pochylił się w stronę Leacha.

– Czy myślisz – zapytał – że Charley nie przeczuwa twoich zamysłów?

– To nieważne. Jest tu z nami, prawda? W jaki sposób mógłby się wymknąć?

Małe oczka szefa załogi zniknęły prawie pod przymkniętymi powiekami.

– Oddał się w twoje ręce – zauważył.

– Nie mógł postąpić inaczej.

– To prawda – potwierdził Halliwell. – Miał on zamiar udać się na Gwadelupę i wyekwipować tam okręt, aby wyruszyć na twoje poszukiwanie. Los zarządził inaczej. Gdyby przybył do nas z okrętem uzbrojonym na swój koszt i z własną załogą, jego obecne położenie byłoby dużo korzystniejsze. Czy myślisz, Tom, że de Bernis nie przeczuwa losu, jaki mu przeznaczyłeś?

– A co to może zmienić?

Niecierpliwy Wogan, uznając że kapitan zbyt wolno pojmuje o co właściwie chodzi, postanowił wyrażać się jaśniej.

– Czyż nie widzisz – zawołał – że on usiłuje wywieść nas w pole?

Leach wyprostował się nagle. Wogan mówił dalej.

– Znajduje się na pokładzie angielskiego okrętu z jakąś setką ludzi, podczas gdy „Czarny Łabędź” spoczywa na lądzie. Po cóż on zabiega o względy swojej załogi opowiadając jakieś bajdy? Zobaczysz Tom, że pewnej nocy poderzną nam gardła i umkną wraz z „Centaurem”, aby sami zdobyć galeon. A ty nic mu nie zrobisz! Nawet nie będziesz wiedział, gdzie go szukać!

– Niech to piekło pochłonie – wrzasnął Leach zrywając się na równe nogi.

Zdawało mu się, że stanął nagle na skraju przepaści. Jakże mógł nie dostrzec wcześniej tego niebezpieczeństwa?

Wyskoczył jak oparzony z baraku, ale osadził go w miejscu spokojny głos Bundry’ego.

– Dokąd idziesz. Tom?

– Idę zrobić to, co konieczne, żeby Charley nie zdołał wywieść nas w pole.

Bundry wstał.

– Pamiętaj jednak, że on jest nam potrzebny, abyśmy mogli odnaleźć galeon.

– Nie zapomnę – rzekł ponuro.

Uspokojony tym zapewnieniem Bundry, pozwolił mu iść. Tom zaś krzyczał, by spuszczone na morze szalupę, bo płynie natychmiast na „Centaura”. Nim odbił, wydał pośpiesznie jakieś rozkazy Woganowi.

Na „Centaurze” kończono właśnie posiłek, gdy w drzwiach ukazał się niespodziewanie Leach. Wydał się mniej straszny niż w dniu zdobycia, angielskiego żaglowca, kiedy to jego nagie ramiona, piersi i nogi zbryzgane były krwią. Teraz zaś odziany był przyzwoicie, miał czystą koszulę, pończochy i pantofle.

Stał nieruchomy na progu. Jego czarne oczy spoczęły na Priscilli i trwał w tym zapatrzeniu

na tyle długo, że dziewczyna poczuła się osaczona jego spojrzeniem i bezwiednie zadrżała. Po chwili przeniósł wzrok na obu mężczyzn.

De Bernis powstał. Jeżeli przeczuwał niebezpieczeństwo, a może właśnie dlatego, że je przeczuwał, nie dał tego po sobie poznać. Pozostał spokojny i uprzejmy.

– Kapitan Leach – rzekł z galanterią – zaszczyca nas nieoczekiwanymi odwiedzinami.

Wskazał mu krzesło.

Tom postąpił krok naprzód.

– Nie będę siadał – powiedział. – To, co mam do powiedzenia, nie zajmie wiele czasu.

Powitał majora krótkim skinieniem głowy i skłonił się przed Priscillą. Ta znów zadrżała i odkloniła się chłodno.

De Bernis uważnie patrzył na pirata.

Tom obrócił się ku niemu.

– Wydałem rozkazy – mówił – żeby przygotowano na łądzie obóz dla załogi „Centaura”.

Dopóki „Czarny Łabędź” nie będzie gotów do spuszczenia na wodę, zamieszkają na łądzie.

Jego małe oczka uważnie przyglądały się twarzy Francuza.

– Czyś zrozumiał? – dorzucił.

– Rozkaz zrozumiałem, ale nie pojmuję powodu. Ludziom jest lepiej na pokładzie.

– Możliwe, Charley, ale życzę sobie mieć ich zawsze pod ręką.

– Oczywiście – przyznał de Bernis.

Ta jego obojętność sprawiła piratowi niejaki zawód i jednocześnie spotęgowała jego nieufność. Słyszał, że ten zastępca Morgana nigdy nie bywa tak aktywny jak wtedy, gdy udaje znudzonego, a Tom mógłby przysiąc, że Francuz miał minę znużoną i rozczarowaną.

Zapadło milczenie. Spojrzenie korsarza znów spoczęło na Priscilli. Złożył jej z galanterią ukłon.

– Mam nadzieję pani – powiedział – że te rozkazy nie zmacą pani spokoju, ale byłem zmuszony zapewnić sobie ich wykonanie.

Odwrócił od niej swój wzrok jakby z żalem i zwrócił się znów do de Bernisa.

– Kazałem również wam przygotować mieszkanie na łądzie. Tym razem Francuz zaprotestował:

– Czy to konieczne? Czujemy się tu dobrze!

Z najwyższą pogardą, aby wyraźnie pokazać Tomowi, że przejrzał jego zamiary, dorzucił:

– Nie możemy przecież uciec wraz z „Centaurem”.

– Kto wie? Licząc twego służącego, jest was trzech mężczyzn i nie byłoby to dla was niemożliwe manewrować okrętem. Widziano już takie rzeczy.

– Raczysz drwić sobie! – wykrzyknął de Bernis.

– Może, ale nie zapominam, żeśmy spotkali się przypadkiem i że jeśli przyszłaby ci chętka drapnąć stąd, to byłbym niezdolny do pościgu. Z tych więc przyczyn pozostaniesz z nami na łodzi.

Zwrócił się znowu do Priscilli:

– Mam nadzieję, że mi pani wybaczysz. Zrobię wszystko, aby uczynić wasz pobyt na wyspie miłym i spodziewam się mieć często sposobność oglądać panią.

Kiedy pirat opuścił okręt, major i Priscilla mogli po raz pierwszy zobaczyć, jak de Bernis opuścił jego zwykły spokój. Ze spuszczoną głową, blady, z zaciśniętymi pięściami zachowywał ponure milczenie, którego nie śmieli przerwać. Później zaklął z cicha, odwrócił się i poszedł do otwartego iluminatora. Długo spoglądał na brzeg, gdzie korsarze pracowali zawzięcie. Następnie powrócił wolno, uniósł głowę, wzruszył ramionami i wybuchnął śmiechem niczym człowiek, który właśnie znalazł to, czego od dawna szukał.

– Nie rozumiem pana! – wykrzyknął major.

De Bernis rzucił nań pogardliwe spojrzenie.

– Co pana intryguje? – zapytał. – Ten pies boi się, że mu zbałamucę załogę. Zrozumiał to lepiej od pana, bo inaczej oszczędziłbyś mi pan swoich niemiłych uwag.

Oślupiały major zapomniał zaprotestować przeciwko napastliwemu tonowi głosu Francuza.

– Na honor! – wykrzyknął. – Czy pan o tym myślałeś?

– Podziwiam pańską przenikliwość! – odparł z ironią. – Moje myśli nie mają tu jednak żadnego znaczenia. Myśli Toma są niebezpieczne.

Kapitan Leach był bardzo zaskoczony, gdy stwierdził, że pan de Bernis niemal bezpośrednio po nim wyruszył na ląd. Francuz wyjaśnił mu swoje powody.

– Ponieważ twoje podejrzenia zmusiły panią de Bernis do opuszczenia pokładu, chciałbym upewnić się, że mieszkanie, które dla niej przygotowujesz, będzie wygodne. Żona moja jest cierpiąca.

– Dlaczego więc zabrałeś ją ze sobą?

– Wiesz przecie, że planowałem zostawić ją pod opieką brata na Gwadelupie, gdzie miała na mnie czekać. Nie mogłem jej zostawić na Jamajce, bo nie chciałem już tam wracać.

Leacha przekonały te słuszne powody i okazał się bardziej uległy. De Bernis mógł urządzić obóz wedle swego upodobania.

Francuz wydał rozkaz ludziom, którzy zostali do tego wyznaczeni, by zbudowali trzcinowy barak na południowym krańcu plaży, tuż przy ławicy skał podwodnych, ale pod osłoną drzew. W pobliżu kazał postawić dwa namioty – jeden dla brata pani de Bernis, drugi dla Piotra. Cała długość plaży oddzielała te pomieszczenia od obozu korsarzy, co pozwalało zachować Priscilli niejaką swobodę.

Piraci zabrali się do roboty i wykonali swoje zadanie z nadzwyczajną szybkością. Wszystko było gotowe przed zachodem słońca. Ścięcie drzew utworzyło polankę na skraju lasu, gdzie zbudowano barak. Z obu jego stron ustawiono namioty. Z „Centaura” przywieziono trochę mebli, które stanowiły teraz wyposażenie baraku. Pod dachem z plecionych liści palmowych powieszono olejową latarnię. W ten sposób barak stał się mieszkalny.

Priscillę zaskoczyła przytulność jej nowego locum i mimo dręczącego ją niepokoju, wyraziła swą wdzięczność de Bernisowi, który wziął na siebie obowiązek zapewnienia jej dobrego samopoczucia. Nie spodziewała się jednak znaleźć baraku tak miłym.

Wieczorem złożył im wizytę Leach. Swoje najście usprawiedliwiał chęcią sprawdzenia, czy aby pani de Bernis czego nie brakuje, czy ma wszelkie godne siebie wygody. Jego zachowanie zmieniło się zupełnie. Tłumaczył się, przeproszał, że był zmuszony domagać się tej nagłej przeprowadzki, wreszcie zapewniał, że udostępni jej również meble z „Czarnego Łabędzia” i wręcz błagał, by pani de Bernis zechciała szczerze zażądać wszelkich rzeczy, które mogłyby służyć jej wygodzie. „Chciałbym, pani, byś chwaliła sobie pobyt tutaj” – powiedział. Żartował też beztrąsko z Francuzem i majorem. Wychodząc zapewnił wszystkich gorąco o swej przyjaźni.

De Bernis pozostawał przez cały czas niewzruszony i spoglądał na majora, którego zachowanie w stosunku do pirata mogło nasuwać przypuszczenie, że Tom jest dotknięty ciężką zarazą.

– Timeo Danaos et dona ferentes [Timeo... (łac.) – Lękam się Danajów, nawet gdy składają dary.] – zamruczał.

– Wiesz pan przecie, że nie rozumiem pańskiego języka – odpowiedział Sands zirytowany, dziwiąc się, że Priscilla wybuchnęła śmiechem.

Zapytywał siebie, w jaki sposób ta dziewczyna mogła się śmiać w tych dramatycznych

warunkach. Stwierdził też z przerażeniem, że de Bernis, w którym spoczywała cała ich nadzieja, zdawał się mieć jakiś zatarg z przywódcą piratów, a to nie była okoliczność zdolna wpływać uspokajająco na majora.

Czekało go jednak jeszcze jedno przeżycie.

Gdy zapadła noc i nadszedł czas spoczynku, stojący pod rozgwieżdżonym niebem Sands zapytał nagle de Bernisa, gdzie ten ma zamiar spać. Francuz zawahał się przez ułamek sekundy, wreszcie odpowiedział:

– Jest chyba całkiem naturalne, że będę dzielił pomieszczenie przygotowane dla mojej żony.

Major wydał jakiś pomruk i spojrzał mu w oczy.

– Wiesz pan chyba – ciągnął – że jest to jedynym sposobem zapewnienia bezpieczeństwa miss Priscilli. Co by się stało, gdyby piraci powzięli podejrzenie, że nie jest ona moją żoną? Widziałeś pan, w jaki sposób Leach patrzył dziś na nią i jak przymilnie kręcił się koło niej?

Major rozszerzył kołnierzyk swojej koszuli. Dusił się.

– Na rany boskie! – wrzasnął w końcu ochrypłym głosem: – A jakaż jest różnica między Tomem Leachem a panem?

De Bernis zbladł i odetchnął głęboko.

– Obawiam się, że stan pańskiego umysłu zaczyna być niepokojący – rzekł – i coraz gorzej pan rozumiesz.

Zaśmiał się krótko.

– Kochany Bartłomieju – ciągnął dalej – gdybym był takim, jak przypuszczasz, już dawno twojego trupa pocięłyby kraby Morza Karaibskiego. Zastanów się nad tym! A teraz życzę ci dobrej nocy.

Odwrócił się. Major podskoczył do niego.

– Wybacz mi, de Bernis – powiedział. – Powinienem być zrozumieć to wcześniej.

Ulga, jaką odczuł, popchnęła go do przeprosin.

– Przyznaję – dodał – że nie miałem racji. Wybacz mi.

– Ba! – odrzekł de Bernis odwracając się doń plecami. Barak Priscilli nie miał drzwi, ale Piotr zawiesił w poprzek wejścia zasłonę, która je zastępowała. Gdy de Bernis się zbliżył, światło latarni było widoczne w trzcinowej ścianie. Zdjął swój kaftan i trzymał w ręku płaszcz oraz poduszkę, które przyniósł mu sługa.

Przyklęknął przed wejściem do baraku i wydrążył dołek w miękkim piachu.

– Kto tam? – odezwał się głos dziewczyny.

– To ja, de Bernis. Niech się pani nie niepokoi. Pilnuję pani.

Nie było odpowiedzi.

Francuz otulił się swoim płaszczem, położył w wydrążeniu, które uczynił i zasnął.

Na drugim końcu plaży ogniska piratów zamierały z wolna. Odgłos ich nawoływań ustawał. Obóz był spokojny. Wąski rogalik księżycy wznosił się ponad laguną, której powierzchnia przypominała olbrzymi zbiornik żywego srebra. Drganie przypływu wzrastało. Drobniutkie fale zaczynały się wznosić na miękkim piasku w jednostajnym, łagodnym i rytmicznym szumie i był to jedyny odgłos, jaki przerywał nocną ciszę.

Ale nie wszyscy w obozie spali. Jeden róg pledu, który zasłaniał wejście do pogrążonego w ciemności baraku uniósł się i blada twarz Priscilli ukazała się w blasku księżycy. Badała ona ostrożnie najbliższą okolicę i jej spojrzenie padło na cień leżącego u jej stóp i śpiącego de Bernisa. Przez kilka sekund stała nieruchomo patrząc na człowieka, który stworzył ze swojego ciała przegrodę zamykającą dostęp do niej. Później, opuszczając ostrożnie róg zasłony, dziewczyna po omacku dotarła do tapczana, gdzie spoczęła uspokojona i pewna, że może spać bezpiecznie.

Była zresztą strzeżona lepiej, niż to sobie wyobrażała, bo o dziesięć kroków od baraku major wzgardził w swoim namiocie hamakiem, jaki mu zawieszono i położył się brzuchem na piasku w ten sposób, by jego głowa wystawała na zewnątrz. Pilnował on śpiącego stróża tej, którą zamierzał poślubić. Jego wyrzuty sumienia i przekonanie, że de Bernis jest uczciwym człowiekiem, nie trwały długo.

Nazajutrz przyszło majorowi zapłacić słońcą cenę za owo nocne czuwanie. Posępny i milczący, z zaczerwienionymi oczyma, ziewał przez cały ranek, a po południu wycofał się do namiotu, by uciąć drzemkę. Chciał się w ten sposób przygotować do kolejnej bezsennej nocy.

Po drugiej próbie, której skutki następnego dnia okazały się fatalne, major, pokonany przez podzwrotnikowy upał i migrenę zrozumiał, że nie powinien w dalszym ciągu poświęcać nocy na strażowanie. Uczciwość Francuza zdawała się być ustalona. Poza tym namiot Sandsa był oddalony zaledwie o kilka kroków od baraku i każdy dobiegający stamtąd krzyk obudziłby go łatwo.

Tymczasem piraci poganiani przez Toma Leacha zabrali się do pracy nad oczyszczeniem kilu. Ale upały utrudniały to zadanie. Pomimo wielkiej liczby robotników, praca posuwała się

dość niemrawo. Od wschodu słońca do południa pracowali bez szemrania. Ale po obiedzie odmawiali wzięcia się natychmiast do roboty i drzemali pod namiotami. Leach miotał się i groził, ale bez rezultatu. Piraci nie byli tym poruszeni w najmniejszym stopniu. Nic też na świecie nie mogło ich zmusić, żeby choć palcem poruszyli, dopóki słońce nie zniżyło się do widnokręgu.

De Bernis skrzętnie podsyczał ich naturalną skłonność do nieróbstwa. Odwiedzał ich obóz w godzinach sjeisty, aby żartować i śmiać się wraz z nimi oraz opowiadać o wielkich czynach dawnych flibustierów. Mówił im również o złocie hiszpańskiego galeonu. Wywoływał on wobec tych gwałtownych ludzi obrazy podsycające ich żarłoczne apetyty. Odmalowywał im wszystko, co można nabyć za hiszpańskie dublony. Piraci słuchali go zachłannie, śmiejąc się hałaśliwie z ogniem w oczach. Morderczy upał zapewne nie ułatwiał pracy, była ona jednak konieczna, by ziszczyć się marzenia o złocie, które podzielała niczym balsam na ich rany. Mamił przebiegły Francuz piratów blaskiem oczekiwanych bogactw i dyskretnie sączył w ich umysły przekonanie, że tylko on może ich do nich doprowadzić.

Skoro tylko Tom Leach dowiedział się o poczynaniach de Bernisa, wściekłość jego nie miała granic. Zażądał odeń wyjaśnień. Francuz przyjął go uprzejmie, nie dając się wyprowadzić z równowagi, i zaznaczył, że byłoby lepiej posuwać się w pracach wolno ale pewnie. Rozjątrzony Tom wrzasnął:

– Czyż my mamy dość czasu przed sobą?

– Mamy. Galeon pożegluje do Hiszpanii...

– Do diabła z galeonem – przerwał Leach. – Czy to jest jedyny okręt na Karaibach? Pomyśl o tych, które spokojnie kołyszą się na falach i nikt ich nie niepokoi!

– Rozumiem – powiedział de Bernis. – Boisz się, żeby nie przyłapano cię na Maldicie. Uspokój się przyjacielu. Nigdy żaden okręt nie wpłynie do tej zatoki.

– Możliwe, ale nie jesteś tego pewien. A co by się stało w takim wypadku? Co ja mogę zrobić ze swoim okrętem wywleczonym na ląd? Chcę go czym prędzej spuścić na wodę. Toteż zrobisz najlepiej, jak nie będziesz wtrącał nosa do moich ludzi.

De Bernis obiecał to, ale złe ziarno zostało już posiane. Przekonani, że nie przyszła jeszcze pora na podniesienie żagli, piraci byli bardzo szczęśliwi, że mogą odmówić wszelkiej ciężkiej pracy podczas upalnych godzin pełnego dnia.

Z wyjątkiem tego gwałtownego wystąpienia Leacha, pierwsze dni pobytu na wyspie upłynęły względnie spokojnie. Oczyszczony kil został oddany cieślom, którzy mieli naprawiać spojenia,

podczas gdy reszta gromady pozostała bez specjalnych zajęć, oczekując pory smołowania i natłuszczenia kadłuba żaglowca.

Priscilli i majorowi czas upływał przygnębiająco wolno. Zwłaszcza on cierpiał okropnie wskutek upałów. Tusza, której sprzyjała bezczynność, przytłaczała go oraz czyniła ponurym i rozdrażnionym.

Priscilla starała się znaleźć jakiegokolwiek zajęcie. Pomagała Piotrowi w robotach kuchennych albo towarzyszyła mu w wycieczkach na skalną ławicę, gdzie łowił ryby. Innym razem zagłębili się w las w poszukiwaniu ignamów. Pewnego dnia przemierzyli całą wyspę od wschodu do zachodu jakąś ścieżką, którą Metys odkrył. Dziewczyna nie zaniebdywała też żadnej sposobności, aby oddalać się sama i często zwiedzała ławicę skalną podczas swoich porannych przechadzek.

Pewnego dnia idąc wzdłuż raf odkryła nawis skalny, wysoki na osiem do dziesięciu stóp, który zagroził jej drogę. Zdecydowała się wdrapać na wierzchołek zwieńczony kilkoma palmami i krzakami o szkarłatnych kwiatach. Ujrzała stamtąd maleńką zatoczkę, którą morze w czasie przyływu napełniało przezroczystą wodą.

Znajdowała się o jaką milę od obozu i była sama. Nikt nie mógł jej podejrzeć. Znęcona tą gładką powierzchnią świeżej wody zeszła pod nawis skalnej ściany, tworzący osłonę, rozebrała się i zanurzyła w krystalicznej toni.

Wyszła stamtąd odświeżona i zachwycona swoim odkryciem. Pozostała jeszcze kilka minut w wydrążeniu skalnych ścian nagranych słońcem, aby się osuszyć. Później nałożyła ubranie i powróciła do obozu. Odtąd codziennie znikwała rankiem, upewniwszy się, że nikt za nią nie podąża, aby dostać się do tej naturalnej pływalni.

Major ponurym okiem patrzył na te jej wycieczki. Słuchając szczebiotania Priscilli i paplaniny Piotra nie mógł zrozumieć, jakim sposobem ta dziewczyna z taką beztruską przyjmowała ich położenie. Chwilami pytał sam siebie, czy ta pogarda niebezpieczeństwa nie wypływa po prostu z braku wyobraźni. Dochodziło bowiem do tego, że wybuchała ona śmiechem albo odpowiadała kpinkami na nadskakowanie Toma Leacha, który często przemierzał wybrzeże, aby złożyć im wizytę.

Jeżeli de Bernis nie zawsze był obecny podczas tych odwiedzin, to miał on jednak zgoła osobliwy sposób zjawiania się nagle w parę minut po przybyciu Toma. Major był szczęśliwy z tego powodu. Oszczędzało mu to bowiem trudnych rozmów z piratem o obliczu drapieżnego

ptaka. Zasiadał wówczas w jakimś kącie baraku i odpowiadał tylko monosylabami, wściekły, że roztropność nakazywała mu rozmawiać z bandytą bez obelg, które same cisnęły mu się na usta.

Leach odpłacał mu sownie swoją wzgardą. Zdawał się nie dostrzegać majora, którego jedyną zasługą było bliskie pokrewieństwo z panią de Bernis. Jak to było możliwe, tego Tom nie potrafił sobie wyobrazić. Dostrzegał pomiędzy rodzeństwem jedynie nadzwyczaj dalekie podobieństwo i pewnego dnia wyjawiał to ku wielkiemu poruszeniu Sandsa i Priscilli. Dodał też natychmiast z gburowatym uśmiechem, że pani powinna codziennie dziękować niebiosom, iż nie przypomina swego brata.

Korsarz nie ukrywał swego uwielbienia dla Priscilli nawet w obecności Francuza. Nie zadawał się komplementami i schlebaniem. Przychodził zawsze obarczony podarunkami w postaci wina peruwiańskiego, smażonych owoców, cukrowanych migdałów i innych smakołyków, które zapępniały komory „Czarnego Łabędzia”.

Te jawnie okazywane względy zanurzały Sandsa w otchłań zimnej wściekłości, podczas gdy dziewczyna przyjmowała je spokojnie. De Bernis zaś snuł się z miną obojętną zjawiając się zawsze wtedy, gdy Leach próbował przekroczyć granice przyzwoitości. Pirat wybuchał wówczas śmiechem, stawiając mu czoło niczym pies, któremu próbują wyrwać z pyska kość. Ale pod stanowczym i poważnym wzrokiem de Bernisa, jego uśmiech przeobrażał się w szyderczy i jednocześnie pełen nienawiści grymas.

Skłonność, jaką Tom Leach odczuwał w stosunku do pani de Bernis (a określenie to tylko w jakimś przybliżeniu oddaje stan duszy pirata), stała się prędko znana wszystkim jego oficerom. Traktowali oni te zapędy obojętnie. Troszczyli się o nie tylko tyle, ile dawały one temat do wątpliwej wartości dowcipów. Jeden Bundry wskazywał, do jak żałosnych skutków namiętność Toma może doprowadzić gromadę. Widać musiał ich przekonać, bo jeszcze tego samego dnia doszło do rozmowy z Leachem.

Wszyscy mieli świadomość, że rozmowa z gwałtownikiem nie będzie łatwa. Piraci uznali, że w tak delikatnej materii może go molestować jedynie Bundry, który był prawdziwie odważny i umiał zawsze zachować zimną krew. On też przemówił pierwszy swoim suchym, spokojnym głosem i powiadomił Toma o niezadowoleniu, jakie wywołuje jego postępowanie wśród gromady.

Leach dostał ataku niesłychanej wściekłości. Rycząc udawanym śmiechem, groził

wypatroszeniem tego, który pierwszy ośmieli się stanąć pomiędzy nim o jego zamierzeniach.

Wogan, Halliwell i Ellis z opuszczonymi głowami starali się przeczekać burzę. Żałowali już, że w ogóle poruszyli tę sprawę.

Ale Bundry wytrzymał wzrok kapitana. W głębi jego małych zimnych oczek migotał ten błysk władzy, który gadom pozwala ujarzmić ptaki.

– Krzycz, krzycz, to ci dobrze zrobi – powiedział. – Gdybyś był człowiekiem zimnej krwi, to może usłyszałybyś głos rozsądku.

– Rozsądku? Do diabła z rozsądkiem!

– Ci, co nim gardzą. Tom, zawsze prędzej czy później mają do czynienia z szatanem. Uważaj więc.

Groźba ta, o ile nie uśmierzyła gniewu Leacha, to jednak narzuciła mu milczenie. Usiadł i badał wzrokiem blade i złowrogie oblicze Bundry'ego.

– Wiem dobrze, jak mam załatwiać swoje sprawy osobiste i nikt nie ma prawa wtrącać się do tego – powiedział ostro. – Zrozumiałe?

– Gdyby chodziło tylko o twoje sprawy osobiste – mówił flegmatycznie Bundry – to pozwalamy ci narażać się na straty czy nawet zgubę. Tu jednak idzie o sprawy nas wszystkich i nie zgadzamy się, byś robił coś, co może pokrzyżować nasze plany. Czy wyraziłem się jasno?

– Piekło i szatani! Wy chcecie mi rozkazywać!?! – wrzasnął Leach w nowym napadzie furii. – Nie wiem, co mnie powstrzymuje, żeby ci nie palnąć w łeb!

Odwrócił się do innych.

– Wy też tak uważacie?

Zapadło kłopotliwe milczenie, które przerwał niezbyt pewny głos Halliwella:

– Bądź rozsądny. Tom – rzekł. – Czy myślisz, że Charley nie widzi twoich umizgów? Jest to człowiek niebezpieczny, choć z pozoru taki gładki.

– On mi zawsze ustąpi – odrzekł Tom.

– Może – rzucił Wogan. – Halliwell ma rację, że on jest gładki. Ale to gładkość stali, a nie aksamitu.

– Czyżby jego gardło też było ze stali – zaśmiał się Leach.

– A więc? – zapytał oschle Bundry.

– A więc jeśli tak nie jest, to można je podeźnać tak samo, jak każde inne. I to zdarzy się Charleyowi, jeżeli stanie się bezczelny.

– To właśnie nie powinno mu się zdarzyć – odpowiedział Bundry. – Tylko Francuz zna tajemnicę, która ma nas wzbogacić, a twoje idiotyczne amory mogą wszystko zepsuć. Zostaw tę kobietę w spokoju, Tom.

– Tak – przytwierdził Ellis. – Dopóki skarby galeonu nie znajdą się pod naszym pokładem, powinieneś zachowywać się spokojnie.

– Później – obiecywał Wogan pojednawczo – zrobisz sobie z tą gołąbką, co zechcesz.

Tu wybuchnął śmiechem. Ellis i Halliwell zawtórowali mu, przerywając groźne zakłopotanie, które zaczęło im ciążyć. Nawet Leach wykrzywił swą twarz w złośliwym ni to grymasie, ni uśmiechu. Jedynie Bundry pozostał niewzruszony. Ale on nigdy się nie śmiał. Jego oczy miały wyraz zimny i groźnie spoglądały na kapitana. I pozostały takie dopóty, dopóki Leach nie zgodził się z żądaniem wyrażonym przez oficerów.

Tego popołudnia herszt piratów nie złożył już zwykłej wizyty w obozie de Bernisów. Nie uczynił tego również następnego dnia. W umyśle Priscilli zrodziła się myśl, że kapitan nagle porzucił zamiar zalecania się do niej.

Po wieczornym posiłku siedzieli we troje przed barakiem wdychając świeżą bryzę, która szła od morza. Nagle major obrócił się w stronę de Bernisa i zapytał go ostro:

– Czy zechcesz mi pan powiedzieć, co się stanie z nami, kiedy wyruszysz rabować te hiszpańskie skarby?

Priscilla zmarszczyła brwi dotknięta obraźliwym tonem tego pytania. De Bernis również poczuł się dotknięty, ale wnet odzyskał swą zimną krew i z uśmiechem odpowiedział:

– Pan uzurpujesz sobie prawo znieważania i prowokowania. Uważaj jednak, Bartłomiej, bo jest to przywilej niebezpieczny. Nie będę ci powtarzał w nieskończoność, że już sama twoja egzystencja jest najlepszym dowodem mojej dobrej woli. Nie przelicz się jednak.

– Przeliczyć się? Panie, ja nie przyjmę od nikogo takiej bezczelności!

Pomimo wysiłków przestraszonej Priscilli podniósł się i atakował dalej:

– Postawiłem panu pytanie i pan powinieneś nam na nie odpowiedzieć!

– Uczyniłeś pan to jednak w sposób obraźliwy.

– Nazywam rzeczy po imieniu.

De Bernis rzucił mu spojrzenie pełne pogardy.

– Dziękuj więc pan Bogu, że ja pana nie naśladuję. Skłonił się Priscilli i oddalił szybko do obozu korsarzy. Nim major odzyskał zimną krew, był już daleko. Dziewczynie udało się

przekonać Sandsa, by nie szedł za de Bernisem. Usłuchał wprawdzie, ale natychmiast dał upust swej złości:

– To nie do wytrzymania! Niech skonam! Nie zniosę dłużej takiej bezczelności.

– Dlaczego go prowokujesz? – zapytała surowo dziewczyna. – Nigdy ani jednego grzecznego słowa. Czy uważasz, że nie należy mu się przynajmniej to?

– Ty bronisz tego łotra? – wrzasnął. – Tego tylko brakowało! Bronisz go przeciwko mnie? Kim on jest dla ciebie?

– To nie ma nic do rzeczy. Uważaj jednak, byś nie przeciągnął struny.

Major chciał coś powiedzieć, ale głos uwiązł mu w gardle. Wybiegł z baraku i tylko jego wargi mełły bezgłośnie całą litanię najgorszych przekleństw.

Sytuacja ta rozdrażniła Priscillę. Pytanie majora było i dla niej ważne. Wszak dotyczyło życia lub śmierci. Czepiała się sposobu, w jaki major je postawił, jak gdyby wyjątkowe okoliczności nie usprawiedliwiały ostrego tonu. Ochłonawszy nieco zdała sobie sprawę, że de Bernis w ogóle na nie nieodpowiedział. Czy tylko napastliwość majora była tego przyczyną? Przytłumiony senną atmosferą ostatnich dni niepokój zakradł się na nowo do serca i umysłu dziewczyny.

Jeszcze tej samej nocy, gdy de Bernis spał już na swoim zwykłym miejscu, czyjaś ręka musnęła jego ramię. Na to lekkie dotknięcie obudził się natychmiast, odrzucił swój płaszcz i wyprostował się. Zobaczył Priscillę, która pochylała się nad nim z palcem na ustach. Rozejrzał się szybko dokoła, aby zobaczyć, co ją zatrzymało. Wszędzie panował spokój. Morze biło łagodnie o piasek wybrzeża w regularnych przerwach, z namiotu majora dochodziło głucho chrapanie.

– Co się stało – zapytał zaspany.

– Pst! – szepnęła. – Chciałabym pomówić z panem – powiedziała.

Usiadł na piasku.

– Bart postawił panu dzisiaj pytanie, na które pan nie odpowiedział. Czy dlatego, że pana obraził?

– Nie – odmruknął – słowa głupca nie zdołają mnie obrazić.

Próbowała wytłumaczyć majora, załagodzić skutki jego złości.

– To zbyteczne, Priscillo – odpowiedział Francuz. – Ja się na niego nie gniewam. Jestem bardzo cierpliwy. „Wszystko osiąga się cierpliwością” – tak brzmi dewiza de Bernisów.

– Zauważyłam to – odpowiedziała dziewczyna. Uświadomiła sobie dwuznaczność tej sytuacji. Oto żyjący poza marginesem prawa i gotujący się do pirackiego napadu człowiek, mówi o dewizie swoich przodków. Może to dziwne, ale nie poczuła się zaskoczona.

– Nie odpowiedział pan na pytanie Barta – nalegała. – Jeśli spowodowane to było jego grubiaństwem, to zadaję je raz jeszcze sama.

Dłuższą chwilę trwał w zadumie.

– Oczekuję wypadków – wyjął na koniec.

– Musi pan jednak mieć jakieś zamiary – nastawała w dalszym ciągu.

I dodała cicho:

– Zawsze miałam do pana pełne zaufanie. Z niego czerpałam siły do przetrwania...

– A teraz – przerwał – cofasz mi pani to zaufanie?

– O nie! Ale proszę zrozumieć mój niepokój, nawet jeśli staram się go nie okazywać.

– Byłaś pani bardzo dzielna – rzekł ze szczerym podziwem – i ta pani odwaga pomagała mi..Niech pani dalej tak postępuje. Błagam!

– A tymczasem widząc, jaką pociechą są mi pańskie słowa, nic nie chce pan powiedzieć o swoich zamiarach. Dlaczego?

– Powiedziałem, że oczekuję wydarzeń. Wierzę, że będę mógł panią uratować. Przysięgam, że to uczynię... o ile przeżyję...

– Jeżeli pan przeżyje?

W mroku dosłyszał, że wstrzymała oddech. Słyszał też, jak drży jej głos i pospieszył ją uspokoić.

– Nie powinienem był tego powiedzieć. Zbyteczne jest dorzucać jeszcze jeden powód do obaw ze względu na los, który może być pani przeznaczony.

– Ze względu na mój los? – powtórzyła. – Jaki pan jest dla mnie niesprawiedliwy!

– Niesprawiedliwy? – zaprotestował.

Nie rozumiał. A ona nie wyjaśniła mu, o czym myślała.

– Czy może pan liczyć na dobrą wolę piratów po zdobyciu galeonu? – pytała dalej.

Zaśmiał się cicho.

– Nie – mruknął. – Wprawdzie kiedyś pojęcie honoru nie było obce korsarzom, ale dzisiaj? A Leach, to diabeł. On tyle dba o honor, co o litość. O, nie, Tom nie dotrzyma swoich obietnic.

– W takim razie – powiedziała – zagraża nam zaskoczenie. Jakaż nadzieja panu pozostaje?

– Ta, że spodziewam się przewidywać wszelkie wypadki i czekam na korzystną sposobność. Jedynie nadzwyczaj zły los mógłby mnie pokonać, a Fortuna nie może być nieubłagana, jeśli w grę wchodzi ty, pani.

– I nie zechce mi pan powiedzieć nic więcej?

– Nie mam nic do dodania. Błagam tylko o zaufanie. Milczała pewną chwilę, a potem westchnęła:

– Dobranoc, panie de Bernis.

Po jej odejściu dłuższy czas pozostawał nieruchomy i zadumany. Usiłował wytłumaczyć sobie sens wypowiedzianego przez nią zdania „Jaki pan jest dla mnie niesprawiedliwy!” Czy chciała przez to powiedzieć, że troszczy się o los Francuza nie dlatego, iż jej życie od tego zależy? Jakie miała inne powody, by życzyć mu powodzenia? W jaki sposób mogła to pogodzić?

Nazajutrz rano, gdy major dąsał się jeszcze w swoim namiocie, zobaczył jakiś cień rysujący się pomiędzy nim a słońcem. Był to de Bernis niosący pod pachą rapier.

– Zauważyłem, majorze, że pańska tusza coraz bardziej się uwydatnia – powiedział bez żadnych wstępów. – Musi się pan pocić. To pozwoli również wyparować nadmiarowi pańskiego złego humoru. Bierz pan swoją szpadę i chodź ze mną.

Sands przypomniał sobie obraźliwe słowa, które wypowiedział wczoraj i zrozumiał, iż chodzi tu o wymuszenie zadośćuczynienia z bronią w rękę. Podniósł się ciężko dysząc.

– Na honor, panie! – wykrzyknął. – Czy pan szuka bitki? Czyś pan pomyślał, co by się stało, gdybym pana zabił?

– Drogi panie, to jest niemożliwe!

– Na Boga! Pańska chętność przekracza wszelkie granice! Chwycił swoją szpadę.

– Sam pan tego chciałeś – wyrzekł. De Bernis westchnął:

– Żeby pan chociaż raz coś zrozumiał. Ja mówię o szermierce, a pan myśli o mordowaniu.

– Cokolwiek pan zaproponuje, jestem do pańskiej dyspozycji.

Wyszli razem – major wściekły, de Bernis spokojny i rozbawiony. Żeby ich nie spostrzeżono, Francuz natychmiast skręcił do lasu. Po paru minutach Sands zatrzymał się, bo odniósł wrażenie, że ktoś za nimi podąża.

– To Piotr – powiedział de Bernis. – Towarzyszy nam, żeby nas nikt nie zaskoczył.

Ruszyli znowu w las. Wspinanie się na stromą pochyłość, wnet pozbawiło Sandsa oddechu.

Dotarli wreszcie do plaży po drugiej stronie cypla, który odgradzał ich od obozu piratów. Piotr już tam czekał. De Bernis w milczeniu obnażył swój rapier, major poszedł w jego ślady. Francuz wy dobył z kieszeni małą drewnianą kulkę z wydrążoną dziurką. Umieścił ją na szpicu swego rapiera, a drugą podał zdumionemu majorowi.

– Czyś pan przypuszczał, majorze, że będziemy się bili? Położenie nie pozwala nam na to, bez względu na nasze osobiste uczucia. Mówilem przecież, że pańskie mięśnie i płuca potrzebują ruchu.

– Co u diabła chcesz pan przez to powiedzieć? Czy masz pan zamiar znowu mnie znieważać?

– Uspokój się pan – prosił de Bernis. – Możliwe, że już wkrótce będziemy mieli sposobność dobycia szpady, a obu nam brak długiego oddechu.

– Rozumiem – powiedział. – Przyprowadziłeś mnie pan tutaj na ćwiczenia szermiercze. Pragnąłbyś pan usprawnić swoją rękę. Tylko dlaczego mi pan tego wcześniej nie wyjawiał?

– Czyż mogłem przypuszczać, że pan tak opacznie wytłumaczy sobie sens moich słów? – odrzekł de Bernis zdejmując kaftan.

Major poszedł za jego przykładem. Równocześnie napełniła go pewna pociecha. Miał niegdyś, jeszcze w Anglii, opinię świetnego szermierza, więc cieszył się teraz, że pokaże temu bezczelnemu Francuzowi, jak niebezpiecznie byłoby wyzywać takiego jak on człowieka.

Przeciwnicy przyjęli postawy.

Major zaatakował z furią, ale próżno wysiłał się, by przełamać obronę de Bernisa, który nie cofnął się nawet o jedną stopę. W głowie rozgrzanego walką Sandsa zrodziła się myśl, że to jego ataki zmuszają Francuza do ustawicznej obrony, bez możliwości ripostowania. Ten jednak nagle roześmiał się i zaczął czynić majorowi uwagi:

– Nieco szybciej. Pospiesz się pan. Nie dajesz mi pan sposobności do działania.

Major rzucił się do natarcia ze zdwojoną energią, ale w dalszym ciągu nie udawało mu się przebić zasłony przeciwnika, który bez najmniejszego wysiłku odbijał jego wściekłe razy. Wreszcie majorowi brakło oddechu i opuścił szpadę. Jego twarz i piersi ociekały potem. Przeciągnął wierzchem dłoni po wilgotnym czole i patrzył na zwinnego Francuza, którego oddech pozostawał prawie normalny.

De Bernis uśmiechnął się.

– Miałem słuszną rację – rzekł. – Jesteś pan jeszcze bardziej zardzewiały niż ja. Od dawna nie miał pan broni w ręku i stąd ta niemrawość.

Major musiał się z tym zgodzić. W głębi serca wiedział, że nawet po surowym treningu nie poradziłby nic przeciwko zimnej krwi i zwinności Francuza. I ta świadomość bynajmniej nie poprawiła mu humoru.

Skoro tylko złapał oddech, zajęli swoje stanowiska. Tym razem de Bernis zastosował inną taktykę. Ripostując przy ataku z dołu zrobił wypad i Sands, aby uniknąć sztychu, musiał uskoczyć w tył.

Francuz wybuchnął śmiechem.

– Zasłoń się pan lepiej, majorze – zawołał. – Łokieć bliżej ciała.

Zaatakował znowu, odparował lewy sztych, uczynił wypad i jego rapier trafił w sam środek piersi Anglika.

– Dość! – powiedział opuszczając ramię. Teraz oddychał nieco szybciej.

– Na dzisiaj wystarczy. Jestem mniej zaśnieżony, niż się tego obawiałem, ale jeszcze jestem zbyt powolny. Jutro poćwiczmy znowu. Drżałbym o pańskie życie, gdybyś pan w podobnych warunkach napotkał szermierza średniej nawet miary.

Sands dygotał z ledwie hamowanej złości. Czuł się ośmieszony. Usiadł na piasku, aby poranne powietrze mogło odświeżyć jego rozpalone czoło. Tymczasem de Bernis rozebrał się i wskoczył do wody.

Do obozu wracali w milczeniu. Sands ciągle nie mógł odzyskać równowagi. Myślał z oburzeniem, że de Bernis specjalnie wywołał to szermiercze spotkanie, aby go nastraszyć i pouczyć. O ile dotąd traktował Francuza jak pirata i złodziejaszka, to teraz uznał go za samochwałę i pyszałka.

Oburzenie majora zmniejszało się stopniowo podczas dalszych ćwiczeń. W końcu doszedł do przekonania, że Francuz rzeczywiście chciał tylko udoskonalić swą sztukę. Przyjmował nawet jego wskazówki i rady, ale ciągle nie mógł zapomnieć, w jaki sposób de Bernis doprowadził do ich pierwszego spotkania.

Jakkolwiek może się to wydawać dziwne, również poufałość, jaka zapanowała między Priscillą a jej rzekomym małżonkiem, nie dręczyła już tak bardzo oficjalnego opiekuna dziewczyny. Drażnił go wprawdzie jej bezwstyd, ale tylko dlatego, że Priscillą zgadzając się na takie traktowanie, przejawiała brak kobiecej godności, a on wszak miał zamiar ją poślubić. Do ciężkiej odrazy, jaką żywił do Francuza, nigdy nie wkraczała zazdrość. Sandsowi nie przyszło nawet na myśl, że dziewczyna mogłaby stracić z oczu przepaść, jaka dzieliła ją od człowieka

pokroju de Bernisa.

Nie wiedział o tym, bo spał od dawna głęboko, że każdej nocy, skoro tylko dokoła zapanował spokój, dziewczyna wychodziła ze swego baraku i rozmawiała ze stróżem swych drzwi. Ich nocne rozmowy, z pozoru niewinne, istotnie odnosiły się głównie do wypadków dnia, ale bywało, że niekiedy nabierały pewnego znaczenia.

Siedemnasty dzień pobytu na wyspie upłynął pod znakiem poważnego zatargu pomiędzy flibustierami, podzielonymi na dwa wrogie stronnictwa. Jeden pirat zabił drugiego na skutek sprzeczki wywołanej grą w kości. Jak to zwykle bywa w takich razach, koledzy ujęli się za uczestnikami tego zajścia i na wybrzeżu zaczęła się ogólna bijatyka. Leach i jego oficerowie rzucili się w kłębówisko walczących, aby przerwać bójkę. Jeżeli nie udawało im się przywrócić pokoju, to przynajmniej uzyskali rodzaj zawieszenia broni, które pozwoliło kapitanowi wysłuchać zażaleń obu stron. Tom odmówił wypowiedzenia się przeciwko zabójcy, jak również przeciw stronnikom jego ofiary, którą morderca oskarżał o szachrowanie.

– Nie pora teraz na kłótnie i bijatyki – ogłosił kapitan. – Zachowajcie swój zapał i kordelasy na Hiszpanów.

Piraci jednak uparli się. Kapitan powinien rozsądzić tę sprawę. Jeśli nie, to sami wymierzą sprawiedliwość. Leach jednak uparcie odmawiał wydania wyroku w obawie, że mógłby narazić się stronie przegrywającej.

– Jeden zabity człowiek wystarczy – twierdził.

Nagle, nie wiadomo skąd, pojawił się de Bernis i zabrał głos. Wszyscy zamilkli, żeby go wysłuchać.

– Tom, istnieje bardzo prosty sposób załatwienia tego zatargu – powiedział.

– A jakież to?

– Jedyne sędziami, którzy mogą wyrokować w tej sprawie, mogą być tylko świadkowie zajścia.

Odezwały się okrzyki uznania.

– Było ich ze dwudziestu – ciągnął Francuz. – Kłótnia nie interesuje innych. Niech oni zatem osądzą, czy Shore powinien być powieszony, czy też nie, a reszta tylko zatwierdzi wyrok.

Sposób ten uwalniał Leacha od odpowiedzialności. Flibustierzy przyjęli go i świadkowie głosowali przez podniesienie rąk. Postanowiono, że Shore zasłużył na śmierć.

Wieczorem de Bernis składał sprawozdanie z tych wydarzeń. Dziewczyna nie mogła

zrozumieć, że ludzie tak gwałtowni jak piraci, którzy popierali mordercę, mogli tak łatwo przyjąć wyrok świadków.

– Oni nie przywiązywali najmniejszej wagi do życia Shore’a – wyjaśniał jej Francuz. – Życie flibustiera w ogóle ma małą wartość. Uczynili jednak z tego kwestię zasadniczą, a głosowanie przyniosło wyrok prawomocny.

Dawał jej jeszcze przykłady dobrej wiary i poszanowania powziętych zobowiązań u dawnych flibustierów. Stopniowo doszedł do wspomnień ze swoich lat młodzieńczych. Zdawało się, że Priscilla znajduje jakąś przyjemność w naprowadzaniu go na te tematy.

Pewnego razu zapytała go wprost o plany na przyszłość. Czy ciągle jeszcze będzie wiódł życie tak niebezpieczne i burzliwe?

– Nie – odrzekł. – Obecna sprawa zakończy moją awanturniczą karierę. To prawda, że prosiłem Morgana o pozwolenie opuszczenia Antyli, aby wrócić do ojczyzny. Może nawet, jak Henryk IV, wyrzeknę się wiary ojców, aby mieć prawo powrotu do Francji? Wrócić do mojej Prowansji, znów ujrzeć pagórki porośnięte winoroślą i okryte gajami oliwnymi...

Jego cichy głos przeszedł na koniec w westchnienie.

– Rozumiem – mówiła łagodnie Priscilla. – Pan musi bardzo pragnąć zobaczyć znowu Francję, skoro zgadza się pan nawet wyrzec wiary.

Spojrzał na nią i zaśmiał się bezgłośnie, jakby w obawie, by nie zbudzić majora.

– To trochę tak, jakby człowiek nagi myślał o zmianie garnituru. – rzekł. – A jednak nawet z taką przeszłością jak moja, traktuję porzucenie wiary ojców jako wielkie poświęcenie.

Pierwszy raz słyszała, jak mówił z goryczą o swojej przeszłości. Dotychczas przywoływał wspomnienia flibustierskie tak, jakby chodziło o najzwyklejsze przeżycia.

– Jest pan jeszcze młody – powiedziała. – Może pan rozpocząć nowe życie.

– Człowiek buduje swą przyszłość na przeszłości.

– Niezupełnie – zauważyła Priscilla. – Na drodze życia pojawiają się ciągle nowe okoliczności. Załóż pan na przykład rodzinę.

– Rodzinę? Ja?

– Dlaczego nie?

– Myśli więc pani, że już wszystko, co było niegdyś we mnie uczciwego, zostało wygaszone przez moje awanturmicze życie?

– Nie, uważam, że jest wręcz odwrotnie.

– Jak to?

– Teraz poznałam pana lepiej. Ale co to wszystko może mieć wspólnego z pytaniem, jakie panu postawiłam?

– Otóż ma. Jaką matkę znajdę dla swoich dzieci?

– Nie rozumiem. To przecież całkowicie zależy od pana.

– Nie! To już jest zadecydowane! Rozstrzygnęła o tym moja przeszłość. Zabijałem, rabowałem, popełniałem różne zbrodnie. Zgromadziłem majątek, złoto, które znajduje się w miejscu pewnym, posiadam plantacje na Jamajce. Jediną towarzyszką życia, jaką mógłbym znaleźć, byłaby nieszczęśliwa istota, której obojętne byłyby źródła moich bogactw. Nie upadłem jednak tak nisko, żeby dać podobnego rodzaju matkę moim dzieciom. Nie upadłem także dość nisko, aby poślubić kobietę uczciwą. To jest właśnie owo ostatnie i jedyne ogniwo, które mnie jeszcze wiąże z honorem. Gdyby jednak i ono pękło, byłbym zgubiony całkowicie. Nie, Priscillo, cokolwiek bym przedsięwziął w Starym Świecie, to nie będzie nigdy, bądź pani tego pewna, założenie rodziny.

Mówił to wszystko z niezmierną goryczą. Zapadło między nimi długie milczenie. Trwało dopóki jakaś kropla nie rozprysnęła się na ręce, którą de Bernis trzymał na kolanach.

Skoczył na równe nogi i obrócił się do dziewczyny, która siedziała naprzeciw niego z opuszczoną głową.

– Priscilla! – szepnął drżącym głosem.

Był jednocześnie wzruszony i zasmucony tym, że tak głęboko dotknął dziewczynę.

Podniosła się też, bardzo zmieszana.

– Dobranoc! – wyszeptała.

Opadła zasłona i de Bernis pozostał sam. Zawołał cicho:

– Dzięki, dzięki za tę łzę wylaną na grobie zgubionej duszy.

Zasnął pod gwiazdami. Czuł, że jego przeszłość nie przygniata go już tak bardzo. Ulżyły mu łzy miłosiernej kobiety.

Kiedy de Bernis i major przyszli nazajutrz do baraku na śniadanie, Priscilla skarżyła się na nieobecność Piotra. To już trzeci dzień jak znika, kiedy trzeba przygotowywać posiłek.

– Gdzie on chodzi? Co on sobie myśli? – pytała Francuza.

– Niewątpliwie szuka ignamów – odpowiedział z roztargnieniem.

– Nie sądzę, by ich dużo znajdował. I wczoraj, i przedwczoraj wrócił z pustymi rękami.

– Może ignamy stały się rzadkie i musi chodzić po nie daleko w głąb lasu?

Ta jawna obojętność wydała jej się, dziwna.

– Czy jednak nie mógłby zaczynać owych poszukiwań po śniadaniu?

– Może lubi zbierać je wilgotne od rosy?

Ten nedorzeczny wniosek wprowadził Priscillę w osłupienie.

– Po cóż tu dowcipkować! – zawołała zniecierpliwiona.

– Nasze położenie dostarcza tak mało sposobności do żartów, że ten jeden zechce mi pani chyba wybaczyć. Ale oczywiście pomówię z Piotrem.

Dlaczego nie powiedział tego jednego prostego słowa, które by ją uspokoiło? Dlaczego nie zapowiedział, że odtąd Piotr nie będzie się oddalał przed śniadaniem? Nie należała więcej, ale pozostała niespokojna i rozdrażniona.

Nieco później major i de Bernis udali się na drugą stronę przylądka, by odbyć swą codzienną zaprawę szermierczą.

W tej samej chwili Leach szedł brzegiem morza wracając z lustracji prac na „Czarnym Łabędziu”. Smołowanie było już prawie ukończone. Trzeba było jeszcze dwóch czy trzech dni, aby natłuścić kil. Mimo to kapitan był zły i niecierpliwie wyglądał dnia, kiedy żaglowiec wróci wreszcie na morze.

Widział z daleka obu mężczyzn, jak opuszczali obóz i zniknęli w lesie. Już dawniej zauważył te poranne przechadzki. Teraz zatrzymał się i zastanawiał, dokąd oni mogą chodzić. Naraz jego uwagę zaprzętnęła Priscilla, która właśnie wychodziła z baraku. Miała na sobie zieloną suknię. Z oddali podziwiał jej smukłość i grację, z jaką się poruszała. Widział, że szła w przeciwną niż mężczyźni stronę. Leach poczuł nagle nieodpartą chęć docieczenia celu jej wędrówki. Zakaz widywania Priscilli wywołał w sercu pirata gniew, który był daleki od uśmierzenia, Z rosnącym zniecierpliwieniem wyglądał dnia ataku na galeon. Skarby tego okrętu zaczęły jednak schodzić na dalszy plan. Umysł pirata opanowała żądza posiadania tej kobiety. Pierwszy też raz został zmuszony do zapanowania nad swymi odruchami, bowiem ponad wszelkie obietnice, przekładał natychmiastowe spełnianie zachcianek. Toteż wiedziony nie tylko ciekawością, podążył za Priscillą.

Przebył na ukos pas wybrzeża, kierując się w stronę palm, za którymi zniknęła dziewczyna. Znalazłszy się pod ich osłoną, odnalazł jej ślad i podążył nim łatwo po wilgotnej ziemi. Bez

zbytniego pośpiechu kroczył tropem po zboczu góry. Ale im było wyżej, tym ślad stawał się mniej wyraźny. Wahał się przez kilka chwil, nim odnalazł właściwą drogę, którą jednak znowu stracił, gdy tylko wydostał się na grzebień skalny. Pod nim rozpościerało się morze. Zamknięta w pasie skalnym toń była przezroczysta i Tom z łatwością dostrzegł rysujące się w głębi dno. Ze swego miejsca obejmował wzrokiem wybrzeże ze wszystkich stron. Tylko jedno miejsce, tuż pod stopami, było zakryte dla jego oczu z powodu skalnego nawisu. Nigdzie jednak nie widział Priscilli.

Wywnioskował, że zabłądził i że musiała ona wejść głębiej w las, gdy wtem usłyszał charakterystyczne pluśnięcie ciała w wodzie. Drobne fale rozszerzały się kręgiem wokół jednego punktu, którego Leach nie mógł dostrzec. W chwilę później jego oczom ukazał się widok, który nieomal go sparaliżował. W przezroczystej wodzie płynęła nimfa niewiarygodnej białości, niby rzeźba marmurowa, która nagle ożyła. Pirat zbladł pod swoją opalenizną i przykuł płonące oczy do boskiego zjawiska. Z bezsilnej i zarazem wściekłej rozpacz przygryzł dolną wargę.

Kiedy wreszcie Priscilla zawróciła, padł plackiem na brzegu skalnego nawisu, że tylko jego czoło i pałające pożądaniem oczy zostały widzialne. Trwał w takim stanie, dopóki nimfa nie zniknęła pod skałami nawisu. Podniósł się wreszcie, stanął na nogach i zerwawszy kapelusz ocierał czoło wierzchem dłoni. Jego twarz była w tej chwili podobna do nawiedzonego przez żądze satyra, ale chytre oczka ujawniały przebiegłość i namysł. Kropla krwi wystąpiła na dolnej wardze pirata.

W tym momencie de Bernis, galeon, korsarze i wyjaśnienia, jakie niechybnie musiałby złożyć gromadzie, gdyby ich zdradził, przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie. W jego głowie tłukła się teraz tylko jedna myśl: w jaki sposób mógłby osiągnąć swój cel. Czy ma rzucić się naprzód, czy też zacząć pod osłoną drzew? Postanowił czekać. Zdyszany, z bijącym sercem skulił się jak kot, który czatuje na przyjście swojej ofiary.

Przyszła. Najpierw ujrzał jej głowę w aureoli złocistych włosów, później biust, nareszcie całą postać. Szła ku grzbietowi skalnemu, aby dostać się na ścieżkę wiodącą do obozu.

Serce korsarza łomotało gwałtownie. Priscilla zatrzymała się i patrzyła w dal na przeciwległą stronę stoku. Kiedy wreszcie weszła między palmy, skrzyła ukośnie w lewo i podniosła rękę, jakby chciała tym gestem ściągnąć na siebie czyjaś uwagę. Pirat usłyszał jej głos:

– Piotrze! Skąd ty przychodzisz o tej godzinie?

W chwilę później zobaczył Metysa, który pędził ogromnymi susami, zatrzymał się przed nią

i o czymś rozmawiali. Dusząc się z wściekłości widział, jak oboje zawrócili w stronę obozu. Metys postępował za kobietą. Tom zaklął ohydnie i ruszył za nimi. Nie był uzbrojony. Inaczej niewątpliwie próbowałby w swym szaleństwie zamordować sługę Charleya. Ale zaatakować tego silnego i zdecydowanego na wszystko chłopca... gołymi rękami...

Podążał za nimi ostrożnie, gdy nagle Piotr odwrócił się i zauważył go. Powiedział o tym Priscilli i oboje przyspieszyli kroku. Rozwścieczony do ostateczności postępował jednak za nimi krok w krok. Gdy zbliżał się do skraju lasu, dostrzegł znikającą w baraku dziewczynę i Piotra, który z dzbanem w ręku, kierował się w stronę strumienia. Leach poczuł, że odżywa w nim nadzieja, że jeszcze raz szczęście go nie opuściło.

Skoro tylko służący oddalił się, dopadł baraku. Zamykająca wejście zasłona była podniesiona. Wewnątrz pani de Bernis z grzebieniem w jednej dłoni i zwierciadłem w drugiej poprawiała fryzurę. Kiedy cień korsarza zarysował się w drzwiach, podniosła głowę i spojrzała nań z wyrazem uporczywej ciekawości i zdumienia jednocześnie.

Leach uśmiechnął się i zdejmując kapelusz złożył ukłon.

– Niech Bóg będzie zawsze z tobą, pani – powiedział grzecznie.

Nim zdążyła cokolwiek powiedzieć, za osłupiałym piratem rozległ się dźwięczny głos de Bernisa. Leach zmarszczył brwi, skrzywił się i cofnął o krok. Major i Francuz wkroczyli do baraku.

– Witaj, Tom! – zawołał wesoło de Bernis. – Szukałeś mnie?

Pirat już miał zaprzeczyć, ale wnet pomiarkował się i odrzekł:

– Tak jest, oczywiście, że szukałem ciebie.

– Dlaczego?

– Przechodziłem tędy. Rzadko przychodzisz do obozu.

I zaczął mówić o robotach. Naprawy się nie posuwały. Potrzeba jeszcze czterech czy pięciu dni zanim będzie można opuścić „Czarnego Łabędzia” na morze. Czy Charley jest pewny, że to nie będzie za późno?

Francuz uspokajał go. Galeon nie rozwinię żagli przed trzecim lipca, a nawet przypuszczalnie parę dni później. Czy kto kiedy widział Hiszpanów, żeby się pospieszyli? Ich zaś okręty w dwadzieścia cztery godziny osiągną okolicę sposobną do ataku. Głupotą zaś byłoby wypływać na morze przed oznaczoną datą. Leach zamruczał coś pod nosem i pożegnał się. De Bernis ścigał go długo wzrokiem. Wyczuł w zachowaniu pirata coś niepokojącego.

– Co on pani mówił, kiedyśmy tu przyszli? – zagadnął nagle Priscillę.

– Nie dajcie mu czasu na rozmowę – odrzekła.

Wybuchnęła śmiechem bez powodu. Po prostu czuła potrzebę odprężenia po nagłym strachu, jaki przeżyła.

– Rozmawiałam z Piotrem – podjęła – na temat jego porannych spacerów, ale nie otrzymałam zadowolającej odpowiedzi.

– Czy on już wrócił? – zapytał de Bernis zmienionym głosem. Wypadł z baraku pozostawiając dziewczynę i majora w osłupieniu.

Priscilla zauważyła pośpiech Francuza. Zaintrygowana i zaniepokojona tym faktem odpowiadała zdawkowo na pytania Sandsa.

De Bernis skierował się do namiotu Piotra. Poczekał tam na powrót sługi, który zjawił się z dzbanem wody.

Nadstawiając ucha Priscilla usłyszała, jak Francuz zapytał Piotra pospiesznie:

– No i co?

Piotr postawił dzban.

– Jeszcze nic, proszę pana.

– Pst! – syknął de Bernis.

Ściszyli głos i dziewczyna nie mogła już nic więcej uchwycić. Zadawała sobie pytanie, czy Metys mówił do swojego pana o rannej wycieczce. Znów nadstawiła ucha nie pomyślawszy, że przecież szpieguje tych dwóch mężczyzn, ale paplanina majora przeszkadzała jej dosłyszeć choćby jedno słowo. Mimo to między dwoma zdaniem wygłaszanymi przez Sandsa, zdołała uchwycić:

– Mamy jeszcze pięć dni i pogoda jest bardzo dobra – mówił de Bernis.

– Może zbyt piękna – odrzekł Piotr. – To by wyjaśniało wszystko.

Mimo wysiłków nic więcej nie mogła już słyszeć. W końcu de Bernis wrócił do baraku zadumany, skubiąc bezwiednie palcami dolną wargę.

Jeżeli nawet zwrócił słudze uwagę na temat jego porannych wycieczek, to Metys nie wziął sobie tego do serca. Kiedy nazajutrz rano Priscilla już ubrana podniosła zasłonę, aby go zawołać, zamiast niego wszedł spiesznie de Bernis, niosąc na półmisku śniadanie.

– To pan? – wykrzyknęła. – A gdzie Piotr?

– Wysłałem go w pewnej sprawie, ale będę pani służył zamiast niego – odrzekł grzecznie

Francuz.

– Gdzie pan go wysłał? – nalegała.

– Ależ pani ciekawa. Priscillo! – powiedział ze śmiechem. – Spieszmy się, zanim przyjdzie major i zacznie się kłótnia z powodu zawartości półmiska.

Nic nie mogła z niego wyciągnąć i jej rozdrażnienie wyraźnie wzrastało. Równocześnie ogarniało ją przygnębienie. W tak poważnych okolicznościach najmniejszy nawet sekret przyjmował od razu niepokojące rozmiary.

Tom Leach wielce ostrożnie i z rozwagą obserwował poranne wyjścia majora i Charleya. Wiedział, że obaj mężczyźni pozostawali nieobecni przez jakieś dwie godziny. Dokąd oni chodzili? Nie miało to znaczenia, bo i tak pozostawali przecież na wyspie.

Od poprzedniego dnia kapitan był jednak jakby w letargu, co czyniło go obojętnym na wszystko, co działo się wokół niego. Obraz powierzchni przezroczystej wody ciągle powracał i rysował się przed jego obłąkanymi oczami. Bez przerwy rozpamiętywał boskie zjawisko nimfy. Nigdy nie przypuszczał, że może istnieć piękno tak doskonałe. Rozpamiętywanie widzianego obrazu przerywały nagle napady wściekłości na myśl, że wczoraj tylko przypadek pozbawił go w ostatniej chwili najwyższej rozkoszy, jaką sobie obiecywał.

Congreve nie napisał wtedy jeszcze słów, których treść tak doskonale pasowała do duchowego stanu Leacha: „Kobieta w kąpeli stanowi obraz boski, ale ten, co się zanurza, aby ją schwycić, jest zgubiony”.

Leach zdawał sobie oczywiście sprawę z tego, że jego zakusy w prostej linii wiodą do otwartego konfliktu z de Bernisem, ale nigdy nie cofał się przed tego typu odpowiedzialnością. Jaki człowiek zdołał go dotychczas zawrócić z raz obranej drogi? Zuchwały Francuz, jeśli zechce mu przeszkadzać, podzieli los tych wszystkich, którzy ośmielili się stawać w poprzek jego zamierzeniom. Oczywiście znał on sekret hiszpańskiego galeonu i to stwarzało pewną trudność, bo dotyczyło reszty piratów. Tom wierzył jednak, że uda mu się sprowokować Charleya do ataku i po prostu zabije go w obronie własnej. O majorze zaś, jako o ewentualnej przeszkodzie, w ogóle nie pomyślał. Straciło też dlań swój kuszący blask złoto galeonu. Odkąd ujrzał w kąpeli nagą Priscillę, zubożniały mu wszelkie skarby Starego i Nowego Świata. Nawet przez chwilę nie pomyślał w swoim obłądnie, że nieco cierpliwości doprowadziłoby go zarazem do posiadania złota i kobiety. Tom Leach traktował jednak cierpliwość jako słabość, jako rodzaj choroby czy

wręcz tchórzostwa.

Zdecydowanym krokiem przebył zatokę, skoro tylko de Bernis i jego towarzysze zniknęli w lesie. Kiedy zatrzymał się na progu baraku, jego postawa, spojrzenie, przesadna grzeczność, którą przybrał pozdrawiając Priscillę, zatrwożyły dziewczynę. W mig zorientowała się bowiem, co sprowadza pirata. Uniosła głowę, ukrywając swoje drżenie. W jej wielkich, szeroko otwartych oczach zamigotał strach, ale mówiła spokojnie i bez pośpiechu, pewnym głosem:

– Przyszedł pan do mego męża? Nie ma go tutaj.

Korsarz roześmiał się.

– Wiem o tym. Widziałem, jak wychodził. Nie do niego jednak przyszedłem.

Małe oczka pirata były utkwione w nią w sposób zawstydzający, jakby chciał nimi obdrzeć ją z szat i ujrzeć znowu taką, jaką widział wczoraj w kąpielni.

A jednak pod jej szczerym i prostodusznym spojrzeniem, Tom Leach na moment zawahał się. Nie umiał mówić do kobiety. Znał tylko brutalny sposób narzucania swej woli, ale instynkt ostrzegał go, że obrałby fałszywą drogę i zbyt brutalny atak zaprowadziłby go donikąd. Pomyślał jednak z zadowoleniem, że nie zaniedbał niczego. Z wewnętrznej kieszeni swego krwawo-czerwonego kaftana wyjął mały skórzany woreczek, otworzył go i zbliżył się do stołu.

– Przyniosłem pani podarek – powiedział.

Wysypał zawartość woreczka na stół kładąc dłoń, aby zatrzymać tuzin niespotykanej urody pereł, które toczyły się po drewnianym blacie.

– One są piękne – mówił nachylony nad stołem. Priscilla wstała.

Leach wiedział, jakiego oczarowania doznają kobiety na widok klejnotów. Często obserwował te spojrzenia pełne pożądliwości u tych, których uległość zapewniał sobie ofiarowując im jedną z tych bezcennych pereł w Campeche, Tortudze czy Marie Galante. Nigdy jednak dotąd nie oddał całego skarbu jednej jedynej kobiecie. Ale nigdy też nie spotkał kobiety tak pięknej i tak pożądanej.

Każdy traktuje życie tak, jak sam żyje. Człowiek zły, który wszędzie widzi tylko zło, osądza cały świat jako nikczemny. Podobnie rozumował Leach i dlatego dawał teraz ów skarb z niezmierną pewnością siebie.

Tylko na jedną sekundę wzrok Priscilli spoczął na lśniących gałkach. W chwilę później spojrzała chłodno na intruza, który nie mógł zrozumieć jej obojętności w obliczu drogocennych klejnotów.

– Nie przypuszczam, żeby mój mąż pozwolił mi przyjąć ten podarunek – powiedziała oziębło.

– Do diabła z pani mężem! To są perły! One są piękne i będą jeszcze piękniejsze, kiedy się znajdą na pani szyi.

– Powiadomię męża o pańskiej opinii – odpowiedziała lodowatym głosem.

Uśmiech zniknął z jego twarzy i przez chwilę patrzył na nią z otwartymi ustami. Nie wiedział, jak wybrnąć z tej kłopotliwej sytuacji.

– Czy pani nie może zapomnieć na minutę o tym krępującym mężu? – zapytał wreszcie.

Powstrzymała się od odpowiedzi. Bała się, ale nie do tego stopnia, by zupełnie stracić zimną krew. Musiała jednak panować nad sobą, aby zyskać na czasie. Usiadła.

– Czy pan jest żonaty, kapitanie Leach? – zapytała.

Pytanie to pozwoliło dokonać korsarzowi nowego ataku.

– O nie – odrzekł. – Nie wszyscy mają szczęście Charleya Nadszczytnika, który zaślubił tak zachwycającą kobietę. Na jego miejscu i ja dałbym się zaprowadzić do ołtarza.

– Powiem o tym mężowi. To mu pochlebi.

Twarz pirata sposepniała. Rozjątrzyła go mówiąc z takim uporem o swoim mężu. Ale ten manewr jej się nie uda.

– Pani jest tak samo sprytna, jak on! – wybuchnął. Ukrywając złość, która wzbierała w nim pod maską żartobliwości, postanowił również odegrać komedię.

– Nie mam oczywiście pani tego za złe – rzekł. – Marzę, aby los zesłał mi kobietę tak rozumną i odważną.

Nagle rzucił się jej do stóp.

– Kobietę, która lubi, żeby mówić jej prawdę – dodał.

– To zależy od rodzaju prawdy.

– Pani musi zgadnąć! – zaśmiał się klęcząc przed nią. – Czy pani chcesz, żebym powiedział?

– Nie jestem ciekawa pańskiej prawdy, kapitanie Leach.

– Ja pani pragnę – rzekł, odpowiadając na swoje własne pytanie. – Od dnia, w którym wzięliśmy „Centaura”, ciągle myślę tylko o pani.

Jego płomienne oczy strwożyły dziewczynę. Oddychała coraz szybciej i Tom pomyślał, że wreszcie znalazł się na dobrej drodze. Ta wojna podjazdowa była czymś nowym dla niego, ale instynkt popychał go ostrożnie naprzód.

– Jestem gotów uczynić wszystko, czegokolwiek pani ode mnie zażąda! – zawołał. – Wszystko!

– Doprawdy?

– Wystaw mnie, pani, na próbę!

– Proszę zatem pana, abyś mnie zostawił i zabrał swoje perły.

– Cha! Cha! Cha! – zaśmiał się. – To właśnie jedyna rzecz, której nie mogę dla pani uczynić. Chcę być przy pani i widzieć perły na jej szyi. Ich blask uwydatni pani białą cerę. Wiem o tym dobrze.

Zmarszczyła brwi i popatrzyła mu prosto w oczy.

– A cóż pan możesz o tym wiedzieć?

Na moment zawahał się, później zaś wybuchnął bezczelnym śmiechem i rzekł:

– Do diabła! Muszę przecież wierzyć własnym oczom!

Postąpił krok naprzód. Dziewczyna zauważyła, że jest blady i ogniki gorączki płoną w jego źrenicach.

– Widziałem, jakieś pani wczoraj pływała w zatoczce. Nigdy w swoim życiu nie oglądałam nic tak pięknego. Daję pani te perły, bo jedynie pani jest godna je nosić.

Rumieniec wstydu pokrył twarz Priscilli. Próbowwała wstać, ale Leach chwycił ją za nogi. Trzymał swoją twarz naprzeciwko piersi dziewczyny.

Dopiero teraz w pełni pojęła grozę swego położenia. Była sama. De Bernis, major i Piotr byli nieobecni i mieli wrócić nie wcześniej, niż za godzinę. Pokonując jednak paraliżujący ją strach, odezwała się ostrym tonem:

– Proszę mnie puścić, kapitanie Leach!

Nie zareagował, więc ogarnięta paniką zaczęła krzyczeć:

– Puść mnie! Puść mnie! Brutal!

Na próżno usiłowała wyswobodzić się z uścisku Leacha, który widząc jej desperacki upór, postanowił zmierzać prosto do celu.

– Brutal? – zaśmiał się. – Zobaczymy, moja śliczna! Może masz rację. Oswajałem już ptaszyny bardziej od ciebie harde, aż nauczyły się gruchać jak gołąbki!

Kłęcząc wyczuwał klamrę swojego pasa, przyciśniętą do kolan Priscilli. Mocno trzymał uwięzioną w swej prawicy dziewczynę. Lewą ręką chwycił brutalnie stanik z zielonego jedwabiu i rozdarł go.

– Perły! Perły! – wrzeszczał. Wydała jęk pełen rozpacz.

– Oszczędź sobie głosu dziewczeczko! – zaśmiał się i coraz silniej ciągnął ją ku sobie.

Z ust przerażonej dziewczyny wydobył się błagalny głos:

– Boże! O mój Boże!

Nigdy modlitwa nie została wysłana z taką mocą i nigdy też odpowiedź na nią nie nastąpiła równie szybko. Oto ponad ramieniem Leacha przerażona dziewczyna ujrzała wchodzącego do namiotu de Bernisa.

Traf chciał, że tego właśnie ranka nim udał się z majorem na cypel, Francuz postanowił rzucić okiem na „Czarnego Łabędzia”, by samemu przekonać się o stopniu zaawansowania prac. Dzięki temu dostrzegł skradającego się do baraku Priscilli Leacha. Fakt ten zaniepokoił go na tyle, że postanowił wrócić do obozu. Początkowo przemierzał plażę wraz z niczego nie rozumiejącym majorem. Po chwili przyspieszył kroku, pozostawił zdyszanego Anglika w tyle i niczym jaki mąż opatrnościowy stanął w krytycznym momencie w drzwiach baraku.

– Widzę, że się modlisz, kapitanie Leach – powiedział spokojnie de Bernis. – Przykro mi, że ci przeszkodziłem. Ale moją żonę lepiej adorować z większej odległości.

Kompletnie zaskoczony Leach skoczył na równe nogi sięgając ręką do pasa. De Bernis postąpił o krok i odsłonił wejście. Był przeraźliwie blady, a na wargach błąkał mu się uśmiech, który czynił jego spojrzenie strasznym.

– No, dalej! – mówił. – Adoruj panią de Bemis!

Zwrócony teraz plecami do Priscilli Leach, zdawał się gotować do skoku.

– Piekło i szatani! – powiedział głosem stłumionym przez złość. – Czy ty wiesz, co czeka tego, który staje przeciw zamiarom Toma Leacha?

– A czy ty wiesz – odpowiedział spokojnie Francuz – co czeka nieostrożnego, który napastuje panią de Bemis?

Uczył gest wskazujący drzwi.

– Na wszystkie moce piekielne! – wrzasnął pirat. – Ty jesteś bardzo śmiały Charley. Strzeż się jednak!

Ruszył w stronę drzwi, w których właśnie ukazał się zdyszany major.

– Jesteś przystojny i zuchwały – zaśmiał się Tom. – Ale ja rozciągałem na słońcu ludzi piękniejszych od ciebie, Charley. Nie zapominaj o tym.

– Będę pamiętał – powiedział zimno de Bernis. – A teraz precz, póki nie wyczerpała się moja

cierpliwość, bo ma ona swoje granice.

– Pogróżki? Jesteś jedynym żyjącym człowiekiem, który może się poszczycić tym, że groził Tomowi Leachowi.

Brutalnie odepchnął majora, jakby zadowolony z tego, że choć w ten sposób mógł wyładować swoją złość. Nie zrobił jeszcze nawet sześciu kroków, gdy zatrzymał go głos Francuza:

– Zapomniałeś o czymś!

De Bernis stał przed barakiem trzymając w dłoni perły, które zebrał ze stołu. Rzucił je w stronę Leacha. Kilka z nich uderzyło go, a reszta potoczyła się po piasku. Wściekły korsarz pochylił się i zaczął zbierać klejnoty nie zdając sobie sprawy z własnej w tym momencie śmieszności.

Podczas gdy Leach szukał swoich pereł a czerwony z oburzenia Sands wracał do równowagi po brutalnym pchnięciu, de Bernis odwrócił się do Priscilli, która drżącymi dłońmi usiłowała uporządkować toaletę.

Nigdy dziewczyna nie widziała Francuza w takim stanie. Zawsze spokojny i niewzruszony, którego nic nie potrafiło pozbawić zimnej krwi, był teraz blady i wstrząśnięty. Widząc go takim, Priscilla zrozumiała, ile kosztowało go wysiłku utrzymanie się w ryzach.

Teraz podszedł do niej i poczuła jego drżącą dłoń na swoim ramieniu. Do jej uszu dobiegł cichy, z trwogą wymawiający jej imię głos. Westchnęła głęboko i bezwładna oraz wyczerpana po niedawnym napięciu obróciła się ku niemu. Podtrzymał ją swoim zgiętym ramieniem. Jego obecność uspokajała ją i pocieszała. Przez chwilę trwali w tym czułym przytuleniu. Wnet zapanował nad sobą, ale mówił jakimś dziwnym głosem.

– Mam nadzieję, że ten brutal nie przestraszył pani?

Zadrżała.

– Bogu dzięki, że przyszedł pan w porę.

– Ten wściekły pies może także dziękować Bogu. Gdybym przyszedł parę minut później, leżałby tu teraz martwy.

Ścisnęła jego ramię. Nowa trwoga zablęśla w jej źrenicach.

– Ale pan go nie wyzwie?

Uśmiechnął się z goryczą.

– Nie mogę – powiedział cicho. – Nigdy jeszcze nie byłem poddany tak okropnej próbie. Nigdy też nasze życie nie zawisło na tak cienkiej nitce. Jakaż to była męka widzieć cię, Priscillo, w łapach tego zbója.

Wymówił jej imię z wielką żarliwością. Wyczuła w jego głosie żal, wzruszenie i tkliwość połączone w jedno. Jeszcze mocniej przytuliła się do niego.

– Nie pozostawiaj mnie samej, już nigdy!

– Czy możesz nawet przypuścić, że cię wystawię na nowe napaści?

Mówiąc to, dotknął z szacunkiem wargami jej włosów, wyrażając w ten sposób wzruszenie, jakie go opanowało.

Major, który przechodził od jednej niespodzianki do drugiej, wystąpił teraz dotknięty głęboko, że jego przyszła żona, zaledwie uwolniona z rąk pirata, rzuca się natychmiast w ramiona innego mężczyzny.

– Co? Co... to wszystko... znaczy? – jękał się.

Pełen oburzenia ton jego głosu przywołał de Bernisa do rzeczywistości. Zaraz też odzyskał całkowicie swoją zimną krew. Nie puszczając z ramion Priscilli, ani nie zmieniając postawy, odrzekł:

– Pan kiedyś wszystko zepsujesz. Czyż to nie jest moja żona w oczach tego pirata, który zapewne jeszcze nas obserwuje? Muszę przecież odegrać swoją rolę. Zostaw pan nas.

Major najwidoczniej zrozumiał.

– Wybacz mi pan, de Bernis. Ale jestem jej bratem, nieprawdaż, i mam również prawo ją pocieszać. A więc nic nas nie kompromituje.

Priscilla, która najwidoczniej pomyślała, że komedia trwa już zbyt długo, uwolniła się z objęć Francuza i usiadła wyczerpana. Była jeszcze bardzo blada. Jej lewa dłoń przyciskała do piersi koronki rozdartego stanika.

– Czy panowie zechcecie pozostawić mnie na chwilę samą? – Powiedziała cicho.

Wyszli i przechadzali się razem po plaży. Major gwałtownie wygrażał Leachowi. De Bernis był roztargniony i zdawał się nie zwracać na niego uwagi. W końcu jednak obudził się z marzeń i zaczął słuchać Sandsa. A ten mówił:

– Obdarzyłem pana swoim zaufaniem, ale uprzedzam, że jeśli nie będzie nas pan strzegł przed swoimi... przyjaciółmi, to je cofnę.

– W takim wypadku – odpowiedział Francuz – zechciej pan przyjąć ode mnie wyrazy

ubolewania.

Odwrócił się doń plecami, pozostawiając majora w osłupieniu. Sam zaś udał się do namiotu Piotra, który właśnie ukazał się na skraju lasu. Sands ruszył za nim klnąc. Usłyszał, jak obaj mężczyźni wymienili cicho jakieś szybkie zdania po francusku. Ramiona de Bernisa jakby się opuściły. On sam pozostał nieruchomy i zamyślony, szczypiąc dolną wargę dwoma palcami.

Po chwili, gdy major stanął obok nich, de Bernis powiedział coś cicho. Chociaż major nie rozumiał po francusku, to jednak był pewien, że pojął sens wygłoszonych wyrazów.

– A jednak trzeba działać...

De Bernis wyprostował się i ruszył wolnym krokiem w kierunku baraku. Nagle zawrócił i skierował się wprost do obozu piratów. Przeszedł mimo gromadki flibustierów, którzy nad ogniskiem suszyli mięso zółwi, nie reagując na ich poufale pozdrowienia. Zmierzał wprost do baraku oficerów. Zastał ich wszystkich razem.

Leach był zaskoczony jego nagłym wejściem, ale gotów odeprzeć atak, który przewidywał. Francuz stanął koło stołu, na wprost Toma, po którego prawicy siedzieli Bundry i Halliwell, a na lewo Ellis i Wogan. Też byli zaskoczeni jego nagłym pojawieniem się, a jeszcze bardziej jego groźną postawą.

Przemówił głosem twardym i ostrym:

– Leach, ty wiesz, dlaczego tu jestem. Przyszedłem cię ostrzec. Jest zbyt cenne, żebym się rozwodził. Jeżeli masz zamiar zawładnąć galeonem, zachowuj się poprawnie, a przede wszystkim przestań odwiedzać mój obóz.

– Do pioruna!

– Chwileczkę! – przerwał de Bernis głosem i gestem zmuszając korsarza do milczenia. – Jeżeli dla was galeon ma jakiegokolwiek znaczenie – zwrócił się do oficerów – jeżeli chcecie go zdobyć, weźcie pod uwagę to, co wam powiem. Jeżeli napotkam Toma Leacha w pobliżu mojego obozu, odłączam od was. Jestem zdecydowany dotrzymać zobowiązań, jakie na siebie przyjąłem, ale żądam, by wasz kapitan również ich przestrzegał.

Oczy Leacha miały płomień. Jego oficerowie szemrali z powodu arogancji Francuza. Ale Bundry, zawsze niewzruszony, zwrócił się do Toma:

– Nie zechciałeś jednak wziąć pod uwagę naszej przestrogi – powiedział lodowatym tonem.

Płomyk radości zabłysnął w oczach de Bernisa, który nie wiedział dotąd o interwencji sztabu korsarzy.

Zaskoczony tym Leach pozostał przez chwilę osłupiały, podczas gdy Francuz, ośmielony postawą Bundry'ego nalegał:

– Powiem ci jeszcze coś, Tom. O ile ja jestem nieodzownie potrzebny dla powodzenia wyprawy, to bez ciebie możemy się obejść. Wie o tym również gromada. Jeżeli pozostało ci jeszcze trochę rozsądku, to będziesz wiedział, jak masz postępować. To wszystko. Nasz zatarg może się na tym zakończyć, ale zależy to od ciebie.

Nie pozostawiwszy korsarzowi czasu na odpowiedź, odwrócił się i opuścił barak równie nagle, jak przyszedł. Atmosfera po jego wyjściu stała się ciężka. Leach miotał się wykrzykując przekleństwa, w czym dzielnie sekundował mu Wogan.

Ich krasomówcze popisy przerwał Bundry.

– Dosyć Wogan! Nie trzeba dolewać oliwy do ognia. Co się zaś tyczy ciebie, Tom, to słyszałeś i przypuszczam, że zrozumiałeś głos rozsądku.

– Idź do stu diabłów, Bundry, razem ze swymi radami! Czy myślisz, że będę znosił bezczelność tej wystrojonej małpy? Czy myślisz...

– Myślę – przerwał mu szef załogi – że galeon ma dla nas większe znaczenie, niż osoba Toma Leacha.

Zrywając ze zwykłym chłodem, Bundry podniósł się i uderzył pięścią w stół. Zapadło milczenie, przerwane po chwili głosem Toma:

– To prawda Bundry, to prawda.

Ręka kapitana zmierzała wolno w kierunku pasa, a jego wzrok nie opuszczał nieruchomej twarzy szefa załogi.

Nagle Halliwell stanął pomiędzy kapitanem a Bundrym.

– Do stu piorunów! Bądź rozsądny, Tom! Przecież za parę dni możesz mieć złoto pod pokładem i tę kobietę w twojej kabinie.

Leach znalazł się w potrzasku. Znał opinię, jaką miał Bundry. Ellis patrzył nań z entuzjazmem, a Halliwell przyłączyłby się do nich przy pierwszej sposobności. Jedynym, który mógłby stanąć po stronie kapitana, był Wogan. Ale jak długo Irlandczyk będzie popierał przegraną sprawę? Z wściekłością w sercu Tom poczuł, że został pokonany. Ten demoniczny Charley Nadszczytnik okazał się bardziej przebiegły od niego i udało mu się rzucić kość niezgody pomiędzy kapitana i oficerów.

– Tak, tak – mruczał – być może działałem bez zastanowienia nad skutkami, Ned. Ale

Bundry nie miał prawa mówić, że galeon jest ważniejszy niż ja, wasz kapitan.

– Bundry nie miał racji – rzekł Wogan.

– I ja mam prawo żądać od niego zadośćuczynienia – dorzucił Leach spoglądając groźnie na szefa załogi.

Jeżeli nawet Bundry drżał w tym momencie ze strachu, bo dobrze znał morderczą zręczność kapitana we władaniu rapierem, to jednak pozostał spokojny.

– Przecież sam przyznałeś mi rację – powiedział. – Działasz bez zastanowienia i oto właśnie nam idzie.

Leach pojął, że Bundry nie będzie już więcej nastawa! I że inni też nie zechcą narażać się na zatarg. Nabrał odwagi.

– Łatwo powiedzieć, Bundry – zaśmiał się. – Ale czy uważasz, że ta sprawa tak już pozostanie? Czy mam nadstawić Charleyowi drugi policzek, albo rzucić mu się do nóg z tego powodu, że zachowuje on sekret galeonu? Niech mnie raczej piekło pochłonie! Nie takie chyba powinno być zachowanie kapitana! O ile Charley będzie grzeczny, to zachowa pokój. Jeśli nie – to wojna! Jeżeli oczekujecie ode mnie czegoś więcej, to powiedzcie od razu, żeby było wiadomo, czego się trzymać.

– Masz rację – stwierdził Wogan.

Ellis i Halliwell nie odzywali się wcale. Ich milczenie najlepiej pokazywało, jak dalece nieufni wobec siebie byli oficerowie Leacha. Żaden z nich nie dowierzał drugiemu i nie liczył na poparcie w razie jawnego konfliktu.

Bundry w lot pojął podstęp Toma i wiedział dobrze, że w tych warunkach sprzeciwić się jego humorom równałoby się samobójstwu. Stał się więc bardziej ugodowy.

– Nie można od ciebie więcej wymagać – powiedział. – Ale pamiętaj, że oczekujemy, byś dotrzymał swojej obietnicy.

– Dotrzymam – zapewnił Tom. Spokój został przywrócony.

Tej nocy, de Bernis próżno czekał pod gwieździstym niebem na przyjście Priscilli. Dziewczyna nie opuszczała baraku. A przecież obfity w dramatyczne wydarzenia dzień dostarczyłby tematu do długiej nawet rozmowy. Niewątpliwie jednak nie życzyła jej sobie, skoro noc upływała, a zasłona nie podnosiła się.

Domyślał się, że wynika to z jakiegoś postanowienia. Może obraził ją nazbyt spontaniczną,

nawet zważywszy okoliczności, czułością? Wszelako wyjaśnił przecież motywy swego postępowania. Czyżby jednak nie przekonał jej? Nie, stanowczo należało rozwiać te wątpliwości. Przynal się bliżej wejścia i zawołał ją stłumionym głosem. Zasłona niemal natychmiast odchyliła się. Był pewien, że nie spała.

– Pan mnie wołał? Co się stało?

– Chciałbym panią o coś zapytać. Zerwała pani ze zwyczajem, nie wychodząc do mnie dzisiejszego wieczoru. Nie zechce pani usiąść?

– Czy ma mi pan coś do powiedzenia?

Usłyszała jego stłumiony śmiech.

– Tak, chciałbym powiedzieć pani coś ważnego.

Usiadła na poduszce, którą położył u jej stóp. Sam przycupnął obok niej.

– Niech pani będzie szczerą – mówił. – Nie wyszłaby pani do mnie, gdybym nie zawołał, bo panią obraziłem?

– Pan mnie obraził? A to w jaki sposób?! Dziwiła się, ale głos jej był zimny i oschły.

– Sądzę, że źle odczytała pani moje intencje – powiedział. – A może uznała pani moje zachowanie za zbyt poufale?

– Dlaczego? Wyjaśnił pan przecież, że tę komedię odgrywał pan ze względu na Leacha. Cóż zatem mogło być niezrozumiałego?

Nie zmieniła tonu głosu i tym razem to de Bernis jej nie rozumiał.

– A więc pani mi wybacza? – zapytał niepewnie.

– Oczywiście! I winszuję panu. Jest pan doskonałym aktorem.

– Ach!

– Tak doskonałym, że nieomal uwierzyłam, iż uczucia, które pan wyrażał, nie były bynajmniej udane.

– Nie były...

– Nie były szczerze w tym stopniu, jak z początku myślałam.

– Czy mam przez to rozumieć...

Urwał, jakby przerażony własną śmiałością. Miał dodać, „że ma pani do mnie żal, iż wymówiłem te słowa nieszczercze?”

– Proszę dokończyć swoje pytanie – nalegała.

– To niemożliwe.

– Jeżeli pan to powie, poznamy całą prawdę – powiedziała łagodniejszym już głosem.

– Bywają prawdy, których lepiej nie starać się poznać. Zechciej pani wspomnieć na owoc z biblijnego drzewa.

– Nie jesteśmy w raju, panie de Bernis.

– To prawda, ale nigdy nie byłem tak blisko niego. Zapadło długie milczenie, tak długie, że Francuz myślał, iż znowu ją obraził. Priscilla patrzyła przed siebie na majaczącą w głębi zatoki sylwetkę „Centaura”. Wreszcie odpowiedziała cicho pytaniem:

– Panie de Bernis, czy w pańskim raju grywa się komedie?

Nie mógł już wątpić, że chciała szczerego wyjaśnienia. Wyzwanie było zbyt wyraźne. Przeciągnął ręką po czole, na którym mimo nocnego chłodu, wystąpiły krople potu.

Odpowiedział powoli, z westchnieniem:

– Priscillo, ja wiem, że nie wolno mi przekraczać pewnej granicy i posuwać się zbyt daleko...

Przerwała mu:

– A więc pan myśli tylko o sobie?

– Zarzuca mi pani egoizm – rzekł gorzko.

Znów zapadło milczenie. W końcu ona, nieodrodna córka pra-matki Ewy, powróciła do pytania postawionego na początku rozmowy:

– Pan nie grał dziś rano komedii?

Głos Priscilli wydał mu się słodką pieszczotą. Mówił cicho:

– Jedyne rozwiązanie, jakie przeznaczenie mogłoby rzucić pomiędzy nas, jest to właśnie most komedii. Zbyt wszelako wątły, by mnie utrzymać.

– Niech pan zrzuci swój ciężar.

– Nie uwolnię się w ten sposób od przeszłości. Moja zaś, zbyt ciężkim brzemieniem leży mi na barkach.

Potrząsnęła wolno głową i oparła się o niego.

– Jest jeszcze pańska natura – rzekła. – Poznałam ją dość dobrze. Powiada pan – przeszłość.

Cóż to jest przeszłość?

– Dziedzictwo teraźniejszości.

– Można zrzec się spadku.

– To niemożliwe, jeśli dziedziczy się po sobie.

– Ależ pan jest uparty! – szepnęła. – Gotowam pomyśleć, że pańska pokora jest w gruncie

rzeczy rodzajem dumy!

– Dumy? – zapytał zdziwiony. – Być może. Oby jednak dała mi ona nareszcie postępować wedle zasad honoru i obym mógł pewnego dnia powiedzieć sobie, że pani afekt... przejściowy...

– A jeśli on nie jest przejściowy? – przerwała mu szeptem.

– Nie mógłby być inny – rzekł stanowczo odsuwając się delikatnie od dziewczyny, jakby jej dotknięcie odbierało mu siłę oporu. – Później... wkrótce, gdy pani wróci do rodziny, do swojego świata, będzie pani traktowała tę przygodę jak zły sen, z którego się w końcu pani obudziła po to, żeby już nic nie zmąciło pani pogody ducha.

– Karolu – szepnęła kładąc dłoń na jego rękę. Uścisnął jej cienkie palce i powstał.

– Nigdy nic zapomnę tej nocy. Priscillo. Nigdy – mówił z uniesieniem. – Obiecuję ci, że to wspomnienie będzie dla mnie najdroższe. Zachowam je w sercu jak skarb, do którego... błagam cię, żebyś już nic nie dodawała.

– A jeżeli ja zechcę inaczej?

– Moja duma nie pozwoli mi przyjmować takich poświęceń. Pomyśl o dzielącej nas przepaści. Dobranoc droga, najdroższa Priscillo.

Podniósł zasłonę i usunął się z ukłonem na bok, aby ją przepuścić.

– Jutro – powiedział – obudzę się z myślą, że miałem cudny sen pod gwiazdami. Nie powinienem cię wywoływać z baraku. Skoro jednak stało się inaczej, to błagam cię, byś i ty pomyślała sobie, że prześniłaś tę noc w swoim łóżku.

Długą chwilę stała przed nim nieruchoma. Twarz jej tworzyła w mroku bladą plamę, w której zaznaczały się jej ciemne oczy wpatrzone w niego. Później opuściła zasłonę, nie dodając już ani słowa.

Zachowanie de Bernisa następnego ranka, gdy znów zastępował Piotra, zdawało się potwierdzać, że poprzedniej nocy śnił tylko. Priscilla, aczkolwiek blada i smutna, starała się być wesołą. Mówiła znowu o nieobecności Metysa. Francuz unikał odpowiedzi na jej pytanie a nie śmiać już utrzymywać, że powierzył swemu słudze jakieś zlecenie, opowiadał o drażliwym charakterze Metysów, poza tym zresztą bardzo oddanych.

Priscillę dziwiła łagodność i pobłażliwość Francuza.

– Cóż pani chce? – mówił wzruszając ramionami. – To są wielkie dzieci. Strofowanie ich lub nakłanianie do słuchania głosu rozsądku jest zwykłą stratą czasu.

Nie upierała się.

Pewnej zmianie uległ też rozkład dnia. Przed wszystkim, choć nie umawiali się co do tego, panowie zrezygnowali z codziennej lekcji szermierki. Bali się pozostawić znów Priscillę samą. Jedynie de Bernis poszedł na wybrzeże, aby asystować przy ostatnich pracach nad oczyszczaniem okrętu. Uszczelniacze zakończyli już smołowanie spojeń. Można było zaczynać natłuszczanie kilu. Flibustierzy zaczęli się niecierpliwić. Blask hiszpańskiego złota kusił coraz bardziej. Francuz żartował z nimi i mamił ich umysły rojeniem o wielkiej fortunie, gdy nagle zjawił się Leach.

Agresywna postawa kapitana mówiła wyraźnie o jego zamiarach. Napadł zaraz na pracujących zarzucając im, że roboty posuwają się zbyt wolno, aby mieli jeszcze tracić czas na paplaninę. Czy myślą, że on chciałby przeżyć resztę swego żywota na Maldicie? Następnie odwrócił się do de Bernisa i wezwał go w grubiański sposób do pozostawienia robotników w spokoju. Ten skłonił się nie reagując na prowokację kapitana, wzruszył ramionami i oddalił się. Ale Leach nie dał za wygraną.

– Czy to pod moim adresem wzruszyłeś ramionami?

De Bernis nie zatrzymał się i odwracając jedynie głowę, rzekł niedbale:

– Czegóż to ode mnie oczekujesz?

– Pytam cię, a ty powinienes mi odpowiedzieć. Ja tu dowodzę! – Toteż usłuchałem twego rozkazu i odszedłem. Czy to nie wystarczy?

Zatrzymał się i stawiał czoło korsarzowi. Oddalili się od robotników poza zasięgiem głosu, ale nadal byli widziani. Ci zaś czując, że zanoszą się na grubszą awanturę, przerwali pracę. Leach rzucił na Francuza spojrzenie pełne nienawiści.

– Nie pozwalam, żeby wstrząsano ramionami, kiedy wydaję rozkazy. Nie zniosę tego zwłaszcza u francuskiego fircyka.

De Bernis był uzbrojony. Stwierdził, że Tom Leach także miał swój rapier.

– Rozumiem – powiedział. – Postanowiłeś mnie sprowokować, ale nie śmiesz zrobić tego otwarcie. Boisz się, że twoi oficerowie zażądają wyjaśnień. Jedynie Wogan przygląda nam się z daleka. Ma cię bronić przed nadmierną dociekliwością innych. Czyż nie zgadłem?

Wściekłość, jaka odmalowała się na twarzy Leacha, była dostateczną odpowiedzią.

– Ja też cię znam, Charley – krzyczał rozjuszony. – Jesteś tchórz, rogacz i bezczelny tylko wtedy, kiedy wiesz, że jesteś pod ochroną.

De Bernis wybuchnął śmiechem.

– Na wszystko przyjdzie czas, Tom – powiedział. – To jeszcze nie ta chwila, żebyś mógł pić moją krew. Zadławiłbyś się. Twoi oficerowie uprzedzili cię przecież o tym.

W Leachu wszystko gotowało się z wściekłości. Zaczął miotać na Charleya najstraszliwsze obelgi. W końcu splunął na ziemię na znak najwyższej pogardy i ruszył w stronę Wogana, który wyszedł mu naprzeciw w obawie, że rozjątrzony Francuz rzuci się w pogoń za wodzem.

De Bemis w zamyśleniu śledził oddalającą się sylwetkę przeciwnika. Na jego wargach błakał się uśmiezek. Trwało to tak długo, dopóki pirat nie połączył się z Woganem. Wówczas odwrócił się i wolnym krokiem ruszył w kierunku obozu.

Tymczasem Wogan zwierzał się kapitanowi ze swych obaw:

– Miałem stracha – mówił. – Myślałem, że dasz się unieść złości.

Leach wybuchnął śmiechem, z ponurą wszakże miną.

– Pozwól mi samemu załatwiać swoje sprawy – zagrzmał.

– Strzeż się Tom! Jeżeli byś go zabił...

– Zabić go? – odrzekł z pogardą. – Nie miałem wcale tego zamiaru!

Zniżył głos.

– Przy pierwszej sposobności pokażę mu, jak człowiek zręczny potrafi posługiwać się bronią. Dam mu taką lekcję, że już nigdy nie ośmieli się spojrzeć mi w oczy.

Mówił to z pewnością szermierza, który nigdy nie doznał porażki, a Wogan słuchał nie wątpiąc w jego niezwykłość.

– Kiedy go tak potrzynam u swych nóg – ciągnął z mściwą satysfakcją Leach – to myślisz, że nie potrafię go zmusić, by wypluł swój sekret? Ta strojna małpa wytrzyma wiele, ale nie wytrzyma jednego. Gdy groźba gwałtu zawiśnie nad jego damulką, Wyśpiewa wszystko.

Zdumiony Wogan zrobił wielkie oczy.

– Jesteś demonem. Tom – zamruczał pełen podziwu.

Ruszyli w stronę obozu.

Priscilla rozmawiała w swoim baraku z majorem. Ów spostrzegłszy nadchodzącego Francuza, wyszedł mu na spotkanie.

– Czy zechce mi pan towarzyszyć przez chwilę? – zapytał – Pozostaniemy jednak w pobliżu, by nie tracić baraku z oczu. Mam panu coś do powiedzenia.

Sands był uprzedzająco grzeczny. Wyczuwało się w jego postawie pewna jowialną swobodę, której dotąd nigdy Francuzowi nie okazywał. Mogłoby się zdawać, że na chwilę zapomniał

o przepaści, jaka oddziela pirata od oficera królewskiego.

– Jestem do pańskich usług – odrzekł grzecznie de Bernis. Oddalili się w stronę skał podwodnych.

– Mówiąc szczerze – zaczął major – jestem bardzo zmartwiony, że nie przestrzegasz już pan porozumienia z hersztem korsarzy. Zadaję sobie pytanie, co stanie się z nami, z Priscillą chciałem powiedzieć, jeśli panu przydarzy się jakie nieszczęście?

– Czy pan przypuszczasz, że ja o tym nie myślałem?

– Tym lepiej. To mnie pociesza. Niezupełnie wszelako. Chciałbym panu na nowo postawić pytanie, na które pan już raz odmówił odpowiedzi. Czas upływa i zbliża się dzień, kiedy „Czarny Łabędź” będzie gotów do spuszczenia na wodę. Nie myśli pan chyba o zabranii nas na pokład „Centaura”? Miss Priscillą nie może się narażać na walkę morską.

– Możecie pozostać na wyspie, dopóki po was nie przyplynę – podsunął de Bernis.

– A! – zawołał major. – Już o tym myślałem, ale... A jeżeli pan nie wróci?

– Co pan chcesz przez to powiedzieć?

– Że pan wystawia nas na poważne niebezpieczeństwo... i to podwójne: ze strony Hiszpanów i ze strony pańskich sojuszników. Po tym, co wczoraj zaszło między panem a tym łajdakiem Leachem...

– Co by pan zrobił na moim miejscu?

– Na honor! Nie zachowałbym się inaczej! A jednak obawiam się, że Leach przyczai się do czasu zdobycia galeonu. Dopiero wówczas poszuka okazji do zemsty. Pomyślałeś pan o tym?

Francuz uśmiechnął się.

– Czy pan sobie wyobrażasz, że ja tak długo wiodłem awanturnicze życie flibustierów, aby nie znać teraz prawd tak oczywistych?

Zgnębiony major rzekł:

– A więc pan o tym myślałeś?

– Już na długo przed naszym wczorajszym nieporozumieniem. Wiem, że Leach nie ma zamiaru dotrzymać obietnic. On chce mnie zabić i zabrać Priscillę natychmiast, jak tylko złoto hiszpańskiego galeonu znajdzie się pod pokładem „Czarnego Łabędzia”.

– O Boże! – wykrzyknął przygnębiony major. – A więc... A więc...

Pobladł straszliwie.

– Ale skoro jest aż tak... – bąkał.

– Jak pan widzi, znam jego zamiary – mówił z uśmiechem de Bernis – a wypadki nie rozwiną się być może tak, jak on się tego spodziewa. Ja również mam swój plan.

Major zadumał się mozolnie.

– Niewątpliwie – rzekł wreszcie – myślisz pan o pozyskaniu sobie jego oficerów i części załogi?

– To co ja myślę, nie ma znaczenia. To co wiem – ma. A ja wiem, że należy ufać tylko sobie. Jest to stare przyzwyczajenie, majorze.

Anglik obserwował go uważnie i nie mógł nie podziwiać jego spokoju i stanowczości. Mimo wszystko ten człowiek był godzien zaufania.

– Czy nie obawia się pan żadnej niespodzianki? – zapytał.

– Owszem. Inaczej zresztą mógłbym coś zaniedbać. Nie lekceważę niczego, majorze. Dotychczas wydzielał mi pan skąpo swoje zaufanie. Wiem o tym. Niech pan wreszcie uwierzy, że głębokie przywiązanie, jakie odczuwam do Priscilli, jest gwarancją jej bezpieczeństwa. No i pańskiego również.

Przerwał ujrawszy Piotra, który właśnie wychodził z lasu.

– O, Piotr! – powiedział.

Oddalił się szybkim krokiem pozostawiając majora w osłupieniu. Patrzył on za odchodzącym Francuzem i mrucał półgłosem: „głębokie przywiązanie, jakie odczuwam do Priscilli”.

– A niech cię diabli porwą za ten bezwstyd! – rzucił w duchu za odchodzącym.

De Bernis nie wiedząc, że na nowo wzbudził gniew majora, przychwycił swego sługę, gdy ten wchodził do namiotu. Zanim postawił mu pytanie, które drgało mu na wargach, Metys spojrzał nań smutno i z kwaśną miną.

– Nic – powiedział żalobnym tonem. Francuz zmarszczył brwi.

– Do diabła! – mruknął. – To zaczyna być poważne.

Nazajutrz rano de Bernis siedział blady i zamyślony na niewielkim pagórku w pewnej odległości od baraku. Zwrócony był w stronę „Centaura”, który ze zwiniętymi żaglami kołysał się miękko w zatoce.

Od samego rana wiała dość silna północna bryza poruszająca liśćmi palm, które szumiały łagodnie. Z wybrzeża dochodziły głosy flibustierów, którzy natłuszczali kil „Czarnego Łabędzia”. Za trzy dni żaglowiec miał znaleźć się znów na wodzie. Myśl ta nurtowała de Bernisa

tak dalece, że zaczął tracić swoją zwykłą ufność i pewność siebie.

Piotra nie było. Od dwóch dni opuszczał obóz nie tylko rana, ale także po południu. Priscilla zadawała sobie pytanie, co kryje się za jego znikaniem. Że musi mieć to jakieś znaczenie, przekonały ją wymijające odpowiedzi de Bernisa.

Metys wracał zwykle koło południa, teraz zaś była zaledwie dziesiąta, a już zdyszany stał przed Francuzem. Ten zerwał się na równe nogi i nim Piotr zdołał przemówić, chwycił go za rękę i pytał niemo wzrokiem. Piotr uśmiechnął się i skinął potakująco.

– Nareszcie – przemówił – są!

– Czy to pewne? – pytał de Bernis tonem człowieka, który nie wierzy własnym uszom.

– Niech pan idzie – mówił Metys wyciągając z zanadru lunetę, którą podał swemu panu.

Obaj mężczyźni pospieszyli na skraj lasu. De Bernis kątem oka dostrzegł, że major pozostał przy Priscilli. To go uspokoiło. Posuwali się szybko jeden za drugim ścieżką, która przecinała wyspę ze wschodu na zachód. W niecałe pół godziny osiągnęli zachodnie wybrzeże i zatrzymawszy się na paśmie piaszczystych pagórków, spoglądali na morze.

O jakie cztery do pięciu mil od brzegu żeglowały niemal z wiatrem trzy wielkie okręty. De Bernis obserwował je uważnie przez lunetę. Nie miały żadnych bander, ale ich sylwetki nie pozostawiały Francuzowi żadnej wątpliwości co do ich pochodzenia. Opuścił rękę. Uśmiech rozszerzył jego wargi, rozjaśniając poważne dotychczas oblicze. Stał jeszcze przez chwilę nieruchomo śledząc ruch żaglowców. Wreszcie poruszył się i jak człowiek, który powziął postanowienie powiedział:

– Za godzinę miną północny cypel wyspy. Chodź, nie mamy czasu do stracenia.

Powrócili równie szybko, jak przyszli. Zaledwie godzina minęła od ich wyjścia, kiedy wyłonili się z lasu. De Bernis oddał lunetę Piotrowi i wszedł do baraku, gdzie siedziała zajęta szyciem Priscilla. Obok niej zajmował miejsce major. Oboje podnieśli głowy. Francuz poszedł po swój rapier zawieszony na gwoździu.

– Na cóż ta ostrożność? – zapytała dziewczyna.

– Trzeba być zawsze gotowym – powiedział przewieszając pendent przez ramię. – To wywołuje szacunek i skłania ludzi do grzeczności..

Uspokojeni tym wyjaśnieniem i swobodą Francuza, nie pytali więcej.

Po wyjściu z baraku de Bernis zatrzymał się. Wiedząc dokąd i po co idzie, zapragnął pożegnać się z Priscilla i dać majorowi ostatnie rady na wypadek nieszczęścia. Rozmyślił się

jednak i skierował do namiotu swojego sługi.

– Piotrze – powiedział – jeżeli zdarzy mi się jaki wypadek, czuwaj nad miss Priscilla. Potrafisz ją ocalić.

W czarnych oczach Metysa pojawił się lęk.

– Pan idzie walczyć? Czy nic może poczekać pan jeszcze? Czy nic ma innego sposobu?

– Ten jest najpewniejszy. Piotrze. Muszę zresztą postąpić w ten sposób.

Metys podniósł do ust dłoń swego pana.

– Niech pana Bóg zachowa – szepnął.

De Bernis położył rękę na pochylonej głowie Piotra.

– Bądź spokojny, mój synu. Poszedł szukać Toma Leacha.

Kapitan w towarzystwie Wogana przechadzał się po wybrzeżu o jakie pięćdziesiąt kroków od obozu. Francuz pozdrowił ich ze stanowczym wyrazem twarzy. Pirat rzucił mu pogardliwe spojrzenie.

– Czego tu chcesz? – zaśmiał się szyderczo.

– Tego, co mi się podoba.

Francuz udanym zaskoczeniem pokrywał swoje zadowolenie. Kapitan połknął haczyk i teraz, będzie parł do zwady.

– Tego, co mi się podoba – powtórzył podnosząc brwi z miną w pełni zuchwałą. Leach wpadł w pułapkę. Przyszło mu do głowy, że przy odrobinie sprytu będzie mógł zrealizować to, co nie udało mu się wczoraj.

– Tak, jest, czego tu chcesz? – powtórzył. – Bo jeśli przyszedłeś mnie obrażać, to zrobiłbyś lepiej, gdybyś pozostał po drugiej stronie potoku.

Z dłońmi na biodrach, nie zmieniając ani na jotę swego zachowania, Francuz rzekł spokojnie:

– Oj, nie jesteś grzeczny. Tom!

Mając w pamięci uległość, jaką Charley okazał wczoraj, Leach nic nie rozumiał. Grał jednak dalej swoją rolę.

– Grzeczny? Dlaczegoż miałbym być grzeczny? Splunął na piasek z miną pełną pogardy.

– Stajesz się nawet prowokujący – nacierał Francuz.

– Prowokujący? Powiedz, Wogan, czy ja jestem wyzywający? Czyż w ogóle wyzywa się człowieka, którego odwaga polega na uciekaniu i ukrywaniu się?

– Tak o mnie sądzisz?

– Takim właśnie ostatnio cię widywałem.

– Nie zapominajcie o galeonie – wtrącił Wogan. – Zawrzyjcie pokój.

– Ależ ja niczego więcej nie pragnę – powiedział de Bernis. – Wczoraj Tom mnie obraził.

Niech mnie przeprosi, a ja zapomnę o wszystkim.

Znając dobrze kapitana, spodziewał się sprowokować go taką wypowiedzią do nowego wybuchu.

– Co? – ryknął Tom. – Wogan, ty słyszysz? On chce przeprosin!

Irlandczyk pozostawał poważny i zaniepokojony. Równie poważny de Bernis zapytał Leacha:

– Masz dziś wyjątkowo dobry nastrój, Tom. Co jest tego przyczyną?

– Ty, twoje usprawiedliwienia, twój honor... i honor twojej żony...

Jeszcze nie dokończył swych słów, gdy pięść Francuza wylądowała na jego twarzy. Stało się to tak nagle, że Wogan nie zdołał nawet zareagować.

Oszołomiony ciosem pirat zaczął rozpinąć bluzę. Jego oczy pałały chęcią zemsty.

– Dość tego! Będę pił twoją krew, Francuziku! – wrzeszczał.

– Spokojnie, Tom, tylko spokojnie – błagał Wogan.

Leach obrócił się w jego stronę.

– Nie pozwolę znieważać się bezkarnie! Za tę podniesioną na mnie, Toma Leacha, rękę zapłaci życiem!

Wogan załamywał ręce z rozpacz. Zwrócił się do de Bernisa:

– Coś ty narobił, Charley – jęczał.

Francuz również zdejmował swój ałtasowy kaftan.

– Zrobiłem to, czego nie mogłem uniknąć – rzekł. – Biorę cię Wogan za świadka. Czy mogłem pozwolić temu bandycie, temu psiemu synowi obrażać się?

Leach zmartwiał. Nigdy żaden człowiek nie ośmielił się mówić do niego, czy też przy nim, w ten sposób. Nigdy też nie przypuszczał, że Charley jest do tego zdolny. Przecież jeszcze wczoraj znosił cierpliwie wszelkie obelgi. Otrząsnął się z tego oszłomienia i wybuchnął stekiem obelg i pogróżek.

– Zedrę z ciebie pasami skórę, mój ty piękny koguciku – zakończył.

Obnażył rapier odrzucając pendent i pochwę daleko od siebie.

– Broń się! – wrzasnął ruszając do natarcia.

Działal z taką szybkością, że de Bernis musiał odparować jego sztych w ostatnim ułamku sekundy rapierem zaledwie do połowy wyciągniętym z pochwy. Odskoczył w tył, aby zrobić sobie miejsce do walki, odrzucił od siebie pendent oraz pochwę i przyjął postawę obronną.

Korsarze pracujący przy czyszczeniu „Czarnego Łabędzia” zauważyli oznaki pojedynku. Kiedy obaj przeciwnicy skrzyżowali broń, robotnicy porzucili swoje narzędzia i ruszyli w ich stronę, aby być świadkami spotkania. Od strony obozu, wrzeszcząc niby prowadzone na festyn dzieci, biegli pozostali korsarze. Nareszcie jakaś atrakcja na martwej dotąd wyspie! Złoto galeonu straciło w tym momencie znaczenie. Zapomnieli, że śmierć Charleya – a co do tego nie mieli wątpliwości – pozbawi ich fortuny. Liczył się tylko ten pojedynek.

Halliwell i Ellis podążali za gromadą zabierając z sobą Bundry’ego, który krzyczał, żeby powstrzymać walkę. Jego głos zginął jednak w ogólnym rozgwarze. Kiedy przybył na miejsce spotkania, piraci utworzyli już ciasny krąg, którego, szefowi załogi mimo wysiłków nie udało się przełamać. Ludzie obawiali się, żeby nie pozbawiono ich widowiska, które wprawiało ich w zachwyt i uniesienie. Nie dawali nikomu przejścia. Reagowali spontanicznie, jakby chcieli dodać animuszu walczącym.

Leach był szermierzem pierwszej klasy. Swą reputację zawdzięczał licznym zwycięskim pojedynkom. Był uważany (i sam się tak oceniał) za niezwyciężonego. Zabawiał się ze szpadą w dłoni patrząc na strach swoich przeciwników w obliczu nieuniknionej śmierci. Lubił przeto igrać ze swą ofiarą. Nadstawiał ostrze z większą pewnością siebie. Nareszcie udało mu się narzucić swoją wolę Charleyowi, temu beczelnemu elegantowi, który pozwolił sobie kpić z niego, który go tak znieważył... i którego żony tak pożądał. Nie miał zamiaru zabić Francuza. Chciał go tylko ośmieszyć i rozbroić. Później odmówiłby dotrzymania podpisanej umowy i wydobyłby od tego zdrajcy sekret za pomocą środków, które odkrył przed Woganem. Złoto galeonu zostałoby zdobyte bez Charleya, a Tom zabrałby mu ponadto żonę! Żaden korsarz nie ośmieliłby się zaprotestować, bo gdyby któryś zdobył się na taką odwagę, podzieliłby los de Bernisa. Od dwóch dni taki właśnie, zamysł wykluwał się w mózgu pirata i oto teraz nierozważny Francuz znajdował się przed nim, zdany na jego łaskę.

Świadomy stawki w tej grze. Leach przystąpił do walki roztropnie. Słyszał niegdyś o Charleyu, że była to świetna klinga. Ale Tom święcił już triumfy nad głośnymi szermierzami, których sława nie ostała się jednak przed jego rapierem. Zwinny jak kot, zwinięty w kłęb, walczył według włoskiej mody ciągle zmieniając pozycję.

Pełen wdzięku i o szerokiej piersi de Bemis stosował szermierkę klasyczną, przyjętą przez szkołę francuską, parując nieustannie sztychy i zawsze gotów do błyskawicznej riposty. Szydził przy tym z Toma wywołując tym śmiech piratów.

– Czy my właściwie walczymy, czy też raczej tańczymy jakieś fandango!

Żarty te oraz spokój i precyzja, z jaką Francuz parował wszystkie sztychy prostym obrotem nadgarstka, podsyciły gniew Leacha, który z nową furią ruszył do natarcia. Ale nieoczekiwana riposta rzuciła go w tył. Wnet zrozumiał, że ma przed sobą zręcznego i wytrawnego szermierza, przy którym najmniejsza nieostrożność może zakończyć się fatalnie.

Ostrza zderzyły się na nowo. Tom nacierał z góry. De Bemis parował lekko nasadą rapiera i kontrował spontanicznie. Leach odrzucił lewą ręką rapier przeciwnika i uczynił wypad, spodziewając się dosięgnąć ramienia przeciwnika. Ten jednak przytrzymał dłonią klingę korsarza. Ten ruch zbliżył przeciwników do siebie. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Leach uskoczył do tyłu, aby oderwać się od przeciwnika. Francuz, szybki jak błyskawica, runął za nim. Pirat próbował odparować pchnięcia, ale było za późno. Koniec rapiera, skierowany w jego pierś, uniósł się tylko nieco i zaznaczył na prawym policzku Leacha krwawą szramę.

Rozjątrzony tym pierwszym niepowodzeniem Tom, przyjął postawę jeszcze bardziej skupioną. Oddychał ciężko. Jego twarz była sina, przekreślona czerwoną linią.

Słyszał śmiech swoich ludzi i myśl o tym upokorzeniu przywróciła mu zimną krew. Jakże ciężko pomści to skaleczenie! Dotychczas lekceważył przeciwnika. Teraz postanowił go najpierw zmęczyć, wyrwać z tej skupionej obrony, którą porzucał on tylko dla błyskawicznych ripost. De Bemis, jakby ulegając temu pragnieniu, nacierał teraz nieustannie. Leach parował z trudem jego ciosy, nawet nie mogąc marzyć o kontrowaniu, wskutek szybkości ataków przeciwnika. Po kilku minutach zorientował się, że sama obrona nic nie da. Trzeba atakować. Zrozumiał też, że trafił na mistrza. Zdał sobie sprawę, że zaniedbał praktykowania swego ulubionego sportu. Zbyt dotąd pewny siebie stwierdzał, że nie ma już tej groźnej szybkości ruchów, która mu pozwalała odnosić zwycięstwa.

Wówczas w jego sercu pojawiło się widmo klęski. Zrozumiał nagle trwogę, którą wywoływał u swoich przeciwników. De Bemis dostrzegł ów lęk w jego oczach i sam zląkł się jakiejś zdrady. Może Leach rzuci swój rapier i zmusi ludzi do interwencji? Żeby nie dać mu na to czasu, Francuz natarł na nowo i posuwając się naprzód drażnił Toma, który cofał się ustawicznie.

– Uciekasz psie! – wołał by go podjudzić. – Czy mam cię ścigać wokół całej wyspy przy

takim upale? Broń się!

Wściekłość zadusiła trwogę, która owładnęła Tomem. Rzucił się naprzód skokiem pantery... i trafił w próżnię. Przeciwnik uskoczył w bok i natychmiast znalazł się nad nim zmuszając go do nagłego obrotu i rozpaczliwej obrony.

Szybkość, z jaką i tym razem Leach oderwał się od przeciwnika, przywróciła mu nieco odwagi. Zwątpił w siebie zbyt wcześnie. Mógł jeszcze wygrać. Zapewne nie była to już kwestia rozbrojenia Charleya, tylko sprawa uśmiercenia go. Tom znał pchnięcia tak niezawodne, że były nie do odparcia. Uciekał się jednak do nich rzadko. Teraz postanowił użyć ich przeciw temu przekłętemu Francuzowi.

Na nowo związał z nim swoją klingę działając w skupieniu i czekając na odpowiedni moment do wykonania natarcia. Udawał, że chce zadać pchnięcie w gardło. Zmuszał tym de Bernisa do uniesienia ramienia. Wówczas zrobił wypad, ale nie w sposób klasyczny, tylko rzucił się dotykając prawie brzuchem ziemi i opierając się ręką o piasek a jednocześnie skierował ostrze do góry. Odparowanie tego typu pchnięcia graniczyło z cudem. Jeżeli oczywiście było ono odpowiednio wykonane.

De Bernisa nie było już jednak tam, dokąd zmierzał rapier kapitana. Francuz lekko uskoczył w lewo i sam zrobił wypad. Gdy Leach próbował się podnieść, rapier de Bernisa ugodził go w pierś. Śledzący walkę piraci wydali ochryply okrzyk, potem zapadło ciężkie milczenie.

De Bernis, opierając koniec stopy o pierś Toma Leacha, wyciągnął swój rapier z ciała i powstał zdyszany. Otarł zroszone potem czoło batystowym mankietem.

Tom Leach nie żył. Głos Francuza zabrzmiał dobitnie wśród tej głuchej ciszy:

– Zbyt piękny koniec dla ciebie, kapitanie.

Tom Leach leżał rozciągnięty na wznak. Jego twarz wykrzywiona w jakimś ostatnim uśmiechu zdawała się podziwiać głęboki błękit nieba.

Piraci, nadal zachowywali milczenie. Aczkolwiek byli przecież przyzwyczajeni do podobnie gwałtownych scen, ta nagła śmierć wodza napełniła ich jakąś zabobonną trwogą. Leach dawał tyle dowodów swej żywotności, wydostawał się cało z tyłu opresji, że powszechnie uważano go za niezwycięzonego. I oto ich kapitan znalazł śmierć. Leżał teraz bez życia u ich stóp.

Bundry skorzystał z chwili osłupienia, by utorować sobie drogę do środka kręgu. Ellis i Halliwell podążyli za nim. De Bernis podniósł głowę, usiłując zachować spokój w obliczu

bliskiego niebezpieczeństwa. Ponad kręgiem korsarzy ujrzał stojących na wydmie Priscillę i majora, którzy z daleka byli świadkami pojedynku.

Gromada pozostawała bez ruchu. Uważali widocznie, że następstwa śmierci kapitana zostaną ustalone przez starszyznę, która otaczała teraz de Bernisa. Wogan był tam również. Nie opuszczał on wnętrza kręgu przez cały czas pojedynku.

– Jak się to stało? – zapytał Bundry chrapliwym głosem z oczami przenikającymi jak świderki.

– Musiałem się bronić – odrzekł de Bernis. – Biorę Wogana za świadka.

Szef załogi obrócił się w stronę Wogana, który przez chwilę mrugał oczami, ale później powiedział to, czego oczekiwał de Bernis. Kapitan nie żył, więc jego zastępca zdecydował, że trzeba stanąć po stronie tego, od którego zależało zdobycie galeonu.

– Tak, to prawda – powiedział. – Wszyscy wiecie, co kapitan myślał o Charleyu. Dziś rano szukał z nim zaczepki. Istotnie, jak to mogło widzieć wielu naszych towarzyszy, zaatakował Charleya, zanim ten zdołał dobyć broni.

Ośmielony tym Francuz mówił:

– Gdyby zatarg pomiędzy nami znalazł inne zakończenie, to pomyślcie, jakie byłoby teraz wasze położenie. Mógł mnie przecież zabić, chciał to zrobić. A co wówczas z galeonem i jego skarbami? Czy ten pies pomyślał choć przez chwilę o was? Nie, bo on pragnął tylko mojej krwi. Zapłacił więc za swoją podwójną zdradę – wobec was i wobec mnie.

Bundry pojął, że nie było powodu niepokoić de Bernisa. Przyjął wyjaśnienia Francuza ze stoickim spokojem. Żaden mięsień jego twarzy nie drgnął nawet.

– Ostrzegalem go – rzekł. – Ale on był uparty. Lepiej więc się stało, że nas zostawił w spokoju.

Jak na mowę w końcu pogrzebową, wypowiedź szefa załogi nie była zbyt długa ani wyszukana. Korsarze wysłuchali jej i przyjęli punkt widzenia Bundry'ego.

De Bernisa zaskoczyło to łatwe zwycięstwo. Oczekiwał wybuchu gniewu. Był na to przygotowany. Ale wrażenie, wywołane śmiercią Leacha, nie mogło długo wzruszać piratów. Niewielkie miało dla nich znaczenie pochodzenie czy imię człowieka, który ich dowiedzie do bogactwa. Bądź co bądź było to dla nich pomyślne, że zwyciężył Charley. Toteż nie niepokojono więcej de Bernisa. Krąg się rozproszył i ludzie podzielili się na małe grupki. Tu i ówdzie dało się nawet słyszeć śmiechy, podczas gdy tuż obok leżał ten, który tak długo im przewodził. Tom

Leach, i patrzył szklanymi oczami w niebo.

Wogan podszedł do de Bernisa, aby pomóc mu wciągnąć kaftan.

– Przyjdź zaraz do baraku na naradę – powiedział. – Nie zapomnij – dodał cicho – że ja natychmiast odpowiedziałem na twoje wezwanie, Charley, i że dzięki mnie nie leżysz teraz obok Toma. Twoje życie zależało od mojej odpowiedzi.

– Ach! – podjął Francuz – myślę, że zależało przede wszystkim od galeonu. Ale przyjdę na naradę i jeżeli pragniesz zająć miejsce po zabitym, to nie będę ci przeszkadzał.

Odwrócił się i poszedł na pagórek, gdzie stała Priscilla z majorem i Piotrem. Dziewczyna patrzyła na zbliżającego się z niejaką trwogą. Zdawał się być tak spokojny, tak opanowany. Czy ten człowiek jest z żelaza, że mógł tak łatwo patrzeć w oczy śmierci i bez najmniejszego wzruszenia zabić istotę ludzką?

Kiedy znalazł się zaledwie o parę kroków, spostrzegła, że pod opalenizną był śmiertelnie blady i doznała, sama nie wiedząc czemu, niewysłowionej ulgi: A więc jego obojętność i flegma były tylko pozome!

– Mam nadzieję – powiedział – że nie jest pani zbyt zaniepokojona. Pragnąłem, żeby to widowisko było pani oszczędzone.

Zwrócił się do zdumionego majora:

– Ćwiczenia wstępne, któreśmy wspólnie i po przyjacielsku przeprowadzili, nie były zbędne, prawda?

– Czyżbyś pan?... – bełkotał major. – Czy on nie żyje?

– Niczego nie robię połowicznie, majorze.

– Jak to? – wykrzyknęła Priscilla. – Więc pan miał zamiar go zabić?

Uczuł, że napełnia ją to trwogą. Opuścił głowę i zwiesił ramiona w wymownym geście bezradności.

– To stało się nieuniknione... od pewnego czasu... Musiałem tylko czekać na sprzyjającą porę. Nie było to łatwe. Czy wiesz, pani, do jakiego stopnia ten osobnik był dla pani niebezpieczny?

– Czy tylko z tego powodu pan go zabił? – powiedziała zduszonym głosem.

Milczał chwilę, nim odrzekł z powagą:

– Z tego... i z innych. Sam fakt, że ośmielił się panią napastować i że spodziewał się dopięć swego celu, kazał mi go uśmiercić bez wyrzutów sumienia.

Położyła rękę na jego ramieniu. Major skrzywił się, ale nie robił tym razem żadnych uwag.

– Bałam się... tak się bałam... – mówiła cicho – że to był jedyny powód. Gdyby pan padł...

Urwała. Słowa ugrzęzły jej w gardle.

– Poza tym – podjęła – myślałam, że ci ludzie rzucą się na pana. Nie rozumiem. Pan narażał się na wielkie niebezpieczeństwo.

– Nadal grozi mi wielkie niebezpieczeństwo – powiedział z wielkim spokojem. – Ale jego godzina jeszcze nie wybiła.

W tej chwili Piotr, który stał z Priscillą, rzucił się nagle do przodu.

– Panie! – krzyczał.

De Bernis obrócił się, żeby spojrzeć na morze. Opośadał wejścia do przystani trzy wielkie fregaty omijały cypel płynąc w konwoju. Majtkowie zwijali żagle. Słysząc było wyraźnie odgłosy pracujących wielokrażków i kabestanów.

– Oto niebezpieczeństwo, o którym mówiłem przed chwilą – powiedział cicho.

Korsarze również obrócili się w stronę morza i zamarli jakby w odrętwieniu. Trwało to z dziesięć sekund. Później, kiedy angielska bandera wzniosła się w górę i zaczęła powiewać na maszcie, wszystkie trzy fregaty skrzyły do wiatru, utworzyły szereg i skierowały się w stronę wejścia do zatoki. Na piratów podziałało to niczym grom z jasnego nieba. Wrzeszcząc i przeklinając rozpierzchli się i uciekali na łeb na szyję. De Bernis widział już raz taki obraz, gdy do mrocznej ładowni spuszczone nagle latarnię. Ale tam były szczury.

Tylko niektórzy uciekający, bardziej przytomni, skierowali się pod osłonę kila „Czarnego Łabędzia”, ponieważ wszyscy korsarze od razu pomyśleli, że te trzy fregaty należą do eskadry Morgana, który od miesięcy przeorywał morza w poszukiwaniu Toma Leacha. Nie ulegało dla nich wątpliwości, że za chwilę usłyszą salwę wystrzeloną z królewskich okrętów.

Wogan stanął przezornie na czele grupki, która biegła w stronę przewróconego żaglowca, podczas gdy Bundry pozostał na miejscu przeklinając tchórzy, którzy ucieczką zdradzali przybywającym okrętom swoją tożsamość. Dzięki jego zimnej krwi udało mu się zebrać wokół siebie większość korsarzy.

– Czego się boicie? – krzyczał swym ostrym głosem. – Co oni wiedzą o nas?

Wystraszeni piraci instynktownie zawracali do tego, który usiłował ich uspokoić.

– Nie traćcie głowy! – wołał. – Te okręty przybywają z pewnością po to tylko, żeby odnowić zapasy słodkiej wody. W jaki sposób rozpoznają one „Czarnego Łabędzia” obalonego do

oczyszczenia? Jeśli was zobaczą szukających schronienia, jak ten tchórz Wogan, to prędko się zmiarkują, kim jesteście. Pozwólm im wysiąść i wtedy zobaczymy.

Stopniowo korsarze odzyskiwali odwagę. Ellis i Halliwell kazali ludziom zbierać się w grupki, które rozsiadły się na piasku, albo chodziły wzdłuż wybrzeża, jak to czynią dzielni marynarze, którzy nie mają sobie nic do wyrzucenia. Trwało do dopóty, dopóki największa z trzech fregat nie ustawiła się burtą równolegle do lądu i nie pokazała swych dwudziestu gotowych do strzału armat. Na ten widok korsarze znów rzucili się do ucieczki.

– Pozwólcie im pokazać zęby! – wołał Bundry. – Oni przecież nie wiedzą, kim jesteście!

Ufność szefa załogi prędko jednak została rozwiana. Oto burtę okrętu przesłonił kłęb dymu a do uszu piratów doleciał huk wystrzału. Pocisk uderzył w „Centaura”. Po pierwszym nastąpił zaraz drugi wystrzał, ale ponieważ furty strzelnicze „Centaura” pozostały nadal zamknięte a pokład pusty, fregata zaprzestała ognia. Na zakotwiczonych okrętach angielskich zapanował spokój.

Korsarze nie wątpili już, że mają do czynienia z nieprzyjacielem, który ich rozpoznał. Co uczynią teraz załogi fregat? Niewątpliwie przedsięwzją wszelkie środki, które pozwolą im schwytać lub unicestwić Toma Leacha i jego ludzi. Ci zaś, czując się otoczonymi, i bezradnymi, zaczęli na gwałt szukać sprawcy swego położenia. Rzucili się w stronę de Bernisa, który oczekiwał spokojnie takiego zwrotu wypadków.

– Oto niebezpieczeństwo, o którym pani mówiłem – powiedział do dziewczyny. – Proszę się nie ruszać. I niech się pani nie boi.

Wyszedł na spotkanie ludzkiej fali, która toczyła się ku niemu. Zatrzymał się wyprostowany, z podniesioną głową, z kapeluszem nieco przekrzywionym na czarnej peruce. Lewą dłoń trzymał na rękojeści rapiera. Fala korsarzy rozprysła się i zatrzymała u jego stóp. Dwieście skurczonych z gniewu twarzy patrzyło na niego. Ich usta miały przekleństwa i groźby. Niewzruszony górował nad nimi wzrostem i odwagą. Jego głos rozległ się ponad czynionym przez nich zgiełkiem:

– Co? – zagrzmiął. – Napadacie w tak głupi sposób na jedyne człowieka, który może was uratować?

Wrzaski zmieniły się w pomruk. Wyglądało to tak, jakby fala się cofała. Ktoś krzyknął, że można wysłuchać Charleya, zanim się go potępi. Bundry, który uparcie przebijal się przez ciżbę, przybył do Francuza i obrócił się, aby powstrzymać natarcie opętańców. Był spokojny i rozumiał

konieczność dania Bernisowi możliwości wyjaśnień.

– Znasz te fregaty? – zapytał.

– Oczywiście – odrzekł de Bernis. – Największa to „Royal Mary” nosząca banderę Morgana. Dwie mniejsze należą do eskadry Jamajki. Mamy więc do czynienia z Morganem, ale przybył on za późno, gdyż szukał Toma Leacha.

Rozległy się krzyki, że Morgan poprzysiągł również zniszczyć bandę Leacha. Czy Charley wierzy we wspańiałomyślność tego dawnego korsarza?

– Jeśli chodzi o mnie, to znam swój los – odpowiedział śmiejąc się z goryczą. – Nie potrzebuję pod tym względem radzić się wyroczni. Jeśli chcecie poderżnąć mi gardło, żeby pozbawić Morgana przyjemności schwytania mnie, to macie wolną drogę. Nie będę się sprzeciwiał.

To wyznanie byłego zastępcy Morgana, który zdezerterował, aby przyłączyć się do flibustierów, zmusiło ich do zastanowienia. Nie myśleli dotychczas o tym. I naraz de Bernis odzyskał ich sympatię.

Tymczasem do tłumu przekradł się Wogan w towarzystwie kilku wiemych sobie ludzi zdecydowanych jak i on zażądać głowy de Bernisa.

– Wszystko co zaszło – powiedział – stało się z winy Nadszczytnika Charleya. To on nas przywiódł na Malditę! To jemu zawdzięczamy, że nas zaskoczono na lądzie, schwytano w pułapkę jak szczury, wydając na łaskę tego psa Morgana!

W czasie swej oracji cały czas wskazywał ręką de Bernisa nie domyślając się nawet, że miał go gubić, dostarcza mu broni przeciw sobie. Korsarze jeszcze nie zdążyli okazać swego gniewu, gdy Francuz odpowiedział głosem, który zagórował nad pomrukiem załogi.

– Jeżeli zostaliśmy zaskoczeni, to zawdzięczamy to tylko tobie Wogan, tobie i twojemu kamratowi Leachowi, którego byłeś wiernym zastępcą. Gdybyście byli godni dowodzenia, to na przylądku stałaby bateria, z której teraz moglibyśmy godnie witać Morgana.

Przerwał. Oszołomiony Wogan patrzył na niego z głupkowatą miną. Ludzie czekali, aż Charley zacznie mówić dalej. Wszyscy go rozumieli. Teraz i im wydało się to oczywiste. Oskarżyciel stał się oskarżonym!

– Dalibóg! – podjął de Bernis. – Łatwo jest oskarżać mnie z płaczem o wszelkie zło. Czy myślisz, że prawisz do durniów? Niech nasi towarzysze rozsądzą. Ani ty, ani Tom nigdy nie byliście zdolni do dowodzenia na ziemi czy na morzu. Obecna klęska przynosi tego dowód.

Przywiodłem tu Leacha, ponieważ było to najlepsze na Karaibach miejsce do oczyszczenia okrętu. Nie mówiłem mu, żeby nie przedsięwziął żadnych środków ostrożności przeciw ewentualnemu zaskoczeniu. Nie mówiłem mu, żeby zgromadził swoje armaty w charakterze złomu na wybrzeżu. A wiesz ty, że go przestrzegałem? Że mówiłem mu, żeby ustawił na przylądku baterię panującą nad wejściem do zatoki? Nasze sześćdziesiąt armat wystarczyłoby, aby utrzymać w szachu całą flotę Morgana i zatopilibyśmy każdy okręt, który próbowałby sforsować przejście. Czy wiesz, w jaki sposób przyjął moją radę.

– Kłamiesz! – wrzasnął Wogan trzęsąc się z wściekłości. – Nie słuchajcie go! On kłamie!

– Niech będzie! – odrzekł de Bernis uśmiechając się z pogardą. – Przypuśćmy, że kłamię, że nie ostrzegałem Leacha.

Nagle podniósł głos.

– A coś ty robił przez cały ten czas? Dlaczego sam o tym nie pomyślałeś? Bezmyślny kapitan i bezmyślny zastępca! Pytam: dlaczego nie ufortyfikowaliście бухty? Leach nie żyje. Może nie odpowiadać. Ale ty możesz! Oto twoi ludzie, ci, którzy wskutek twego lekceważenia i twojej nieudolności zostali schwytani w pułapkę bez nadziei ocalenia! Mnie nie musisz odpowiadać, ale im tak.

Nagła furia ogarnęła korsarzy i dwieście ochrypłych głosów krzychało:

– Odpowiedz! Odpowiedz! Odpowiedz!

– Do stu tysięcy szatanów! – zaklął Wogan. – Czy będziecie słuchali tego kłamcy? Wiecie, że Nadszczytnik Charley jest chytrzejszy od lisa. Mówię wam...

– Powiedz nam, dlaczego nie ufortyfikowaliście бухty? – przerwał mu jakiś głos.

– Odpowiedz! – wrzasnęli chórem inni.

Drżący i wynędzniały zastępca Toma Leacha czuł się już zgubiony, ale de Bernis wyszedł krok naprzód i podniósł ramię, aby ściągnąć na siebie uwagę załogi.

– Zostawcie tego niedojdę w spokoju – powiedział. – Nie w taki sposób się wyratujemy.

Zapadła cisza. Wszystkie oczy skierowały się na de Bernisa.

– Tak jest. Musimy się ratować sami – rzekł Bundry.

– Odwagi, Bundry. Nie czas jeszcze na rozpacz – powiedział Francuz.

– Mam odwagę i zdrowy rozsądek – odrzekł oschle szef załogi.

– Nie znaczą one nic, gdy zabraknie wyobraźni – rzekł de Bernis.

– Jeżeli masz jakiś pomysł na wyciągnięcie nas z tej matni, Charley – zawołał Halliwell – to

pójdziemy za tobą choćby do piekła.

Załoga wyciem wyraziła swoją zgodę. Francuz namyślał się. Odwrócił się plecami do Wogana, który zniknął w tłumie piratów bladej i drżący ze strachu przed zmasakrowaniem. Wierzył on, że wypuścił celną strzałę, a tymczasem ta strzała zwróciła się przeciw niemu.

– Nadszczytnik Charley nie dowodzi już flibustierami – powiedział ze smutnym uśmiechem – ale was, towarzysze, będę mógł uratować. Wierzę w to.

Niewyraźny pomruk jako oznaka zgody, niedowierzania, nadziei i wdzięczności wznosił się teraz ku niemu. Wtem okręt Morgana zagrzemiał znowu wystrzałem i wszyscy odwrócili się do morza.

Wystrzał poszedł górą, aby ściągnąć ich uwagę. Pocisk upadł w lesie. Na fregacie dolna reja grotmasztu podnosiła się i opuszczała regularnie.

De Bernis liczył spokojnie jej ruchy.

– To jest sygnał, żeby wysłać łódź – powiedział. Obrócili się do niego, uważając go odtąd za swego wodza.

– Należy usłuchać, bo inaczej wymiotą nas kilkoma kartaczami. Halliwell, każ przygotować szalupę.

– Czy chcesz, żebym sam udał się na pokład? – zapytał Halliwell zatrwożony.

– Nie. Należy spuścić szalupę, żeby im pokazać, że jesteśmy posłuszni. Przerwą wtedy ogień. Nie spiesz się.

Pirat wziął z sobą pięciu marynarzy, którzy z żalem opuszczali gromadę, bo byli ciekawi cudownego środka de Bernisa, który miał ich ocalić.

Francuz znowu podjął przemowę, zwracając się niby do Bundry'ego, ale mówiąc pod adresem wszystkich.

– Morgan ponad wszystko pragnie jednej rzeczy, za którą wyznaczył nagrodę pięciuset funtów. Jeśli go dobrze znam, to gotów jest zapłacić za nią o wiele więcej. Być może zgodzi się nawet wymienić za nią nasze życie i naszą wolność. Możemy mu to dostarczyć, bo jest to głowa Toma Leacha.

Zaskoczony tą wiadomością Bundry aż zagwizdał, ale natychmiast przybrał minę wyrażającą niedowierzanie. Ludzie z załogi uznali pomysł Francuza za wcale niezły figiel spleatany Morganowi, który nigdy nie dowiedziałby się, że Leach był martwy, nim obcięto mu głowę.

Ellis wystąpił krok naprzód.

– Bardzo dobrze – powiedział – ale kto się zgodzi popłynąć na ich pokład, aby uczynić tę propozycję? Który z nas byłby dość głupi, żeby się czuć bezpieczny w łapach Morgana? Kto tam popłynie, nie wróci już nigdy. Morgan każe go powiesić na rei, a dopiero potem zażąda głowy Toma.

– On się nigdy nie zgodzi na pertraktacje – powiedział Bundry. – W jakim celu? Trzyma nas przecież w szachu i zażąda bezwarunkowego poddania się. Ty go znasz, Charley. Tylko wielki dureń uwierzyłby w twoje słowa.

Francuz aż podskoczył.

– Dureń? Być może. Czy myślisz, że on jest pewny, że nas już trzyma? Gdybyśmy uciekli w las, to czy ośmieliliby się nas ścigać, wysadzając ludzi na brzeg? Czy nie obawiałby się jakiejś zasadzki? Trzeba by długiego czasu, żeby nas wziąć głodem. To co proponuję, zostanie być może odrzucone przez Morgana, ale należy zagrać tą kartą. Pamiętaj, że on chce głowy Leacha, bo boi się królewskiej niełaski, którą mu zagroźono, jeśli nie schwyta ostatniego wodza flibustierów.

Gromada gorąco popierała plan de Bernisa, Bundry wzruszył ramionami.

– Bardzo dobrze – rzekł – ale, jak powiedział Ellis, kto się uda na pokład? Dlaczego nie mielibyśmy wysłać Wogana, który po Tomie jest najbardziej odpowiedzialny za tę katastrofę?

– Ja? – wrzasnął Irlandczyk, – Ty, Bundry, jesteś tak samo winny jak ja.

– Moim obowiązkiem było tylko czuwanie nad biegiem statku – odrzekł szef załogi.

Wtrącił się de Bernis.

– Poczekajcie! – powiedział.

Obrócił się i spojrzał na Priscillę, którą major trzymał w pól, jakby dla ochrony.

– Oto moja żona – mówił Francuz. – Morgan nie prowadzi wojny z kobietami. Nie może jej traktować jak korsarza. Ona nie naraża się zatem na zbyt duże niebezpieczeństwo. Jej brat i mój sługa mogą poprowadzić szalupę aż do „Royal Mary”. Ona zawiezie Morganowi nasze propozycje: wolność za głowę Toma Leacha.

– Jak nawet możesz przypuścić, że on się na to zgodzi? – powiedział Bundry z nieufną miną.

– Dlaczego nie miałby się zgodzić? – zapytał de Bernis. – On uważa, że Leach jest duszą i mózgiem gromady. Jest przekonany, że po jego śmierci korsarze rozproszą się. Co więcej! Morgan jest w przededniu niełaski. Jego kariera zależy od ujęcia Toma.

Piraci spierali się między sobą. Ellis wystąpił nawet gwałtownie przeciw Bundry’emu. Pośród tych sporów los pani de Bernis, wydanej Morganowi, nie przejmował ich zbytnio. Chcieli

znaleźć kogoś, kto mógłby zawieźć ich propozycje na pokład Morgana, to tylko było dla nich istotne. A że naraża się za nich kobieta? Przecież to Charley zaproponował wysłać ja jako parlamentariusza.

Wdzięczność zmieszała się z podziwem w ich prośbie kierowanej do de Bernisa, by zechciał wykonać swój plan.

Szli w stronę brzegu. Priscillę prowadzili major i de Bernis, obok nich postępowali Bundry i Ellis. Nieco w tyle podążał Piotr otoczony grupką korsarzy.

Skoro tylko sprawa została postanowiona, Francuz zwrócił się do Priscilli:

– Wiesz, czego oczekujemy od ciebie, Priscillo? – powiedział z uśmiechem, by dodać jej odwagi.

Przytaknęła skinieniem głowy i spojrzała nań blada zatrwożonymi oczami.

– Nie masz się czego obawiać – uspokajał ją.

– Wiem. Wysyłasz mnie na pokład w przekonaniu, że nie narażasz mnie na niebezpieczeństwo, ale... ty sam...

– Ja? – odrzekł śmiejąc się i wzruszając ramionami. – Ja znajduję się w rękach przeznaczenia. Wszystko odtąd zależy od ciebie.

– Ode mnie?

– Od sposobu, w jaki ty Priscillo, wywiązesz się ze swojego poselstwa.

– Jeśli chodzi o twoje życie, to uczynię wszystko, aby cię ocalić.

Podziękował jej skinieniem głowy.

– Chodźcie – powiedział. – Po drodze przekażę wam treść poselstwa.

Milczący i jak zwykle chmurny major starał się usilnie ukryć swoje zadowolenie na myśl, że wyzwolenie jest zaledwie o krok. De Bernis przedkładał propozycję gromady: głowa Toma Leacha w zamian za ich życie i prawo opuszczenia Maldity na rozbrojonych okrętach, których armaty zostaną zatopione na pełnym morzu. Jeżeli Morgan odmówi przyjęcia tych warunków, to powinni go powiadomić, że flibustierzy mają zapasy żywności i amunicji, że wycofają się do lasu i że będą bronili się tam do ostatniego tchu.

Major powtórzył punkt po punkcie treść posłannictwa, to samo zrobiła Priscilla. Ellis i Bundry, którzy teraz reprezentowali gromadę, nie wnieśli żadnych poprawek.

Na brzegu Halliwell czekał już z gotową szalupą. Natychmiast też zaofiarował się przenieść

kobietę. Błada i drżąca Priscilla chwyciła de Bernisa za ramiona.

– Karolu! – mówiła załamującym się głosem. – Karolu! Zdjął kapelusz i pochylił się wzruszony i uśmiechnięty.

– Dziecko! – szepnął. – Nie masz się czego obawiać. Płomień gniewu zabłysnął w oczach dziewczyny.

– Czy nie rozumiesz, że to nie o siebie się boję?

Przestał się uśmiechać i popatrzył na nią smutno.

– Dzielne moje serduszko...

Przerwał i zwrócił się do Ellisa i Bundry'ego.

– Czy zechcecie pozostawić nas na chwilę samych? – zapytał.

Ellis chciał się już usunąć, ale Bundry zaprotestował.

– Po co, Charley? Znamy treść poselstwa, które ona wiezie do Morgana, ale nie wiemy, co mogłaby zawieźć, gdybyśmy pozostawili was samych.

De Bernis westchnął i znów się uśmiechnął.

– No cóż, Priscilio – powiedział – tak będzie może najlepiej.

Nachylił się, aby ją pocałować w policzek. Dziewczyna jednak poruszyła głową i ich usta spotkały się.

De Bernis, straszliwie blady, zrobił krok w tył i podniósł rękę. Halliwell wziął dziewczynę w ramiona i posadził w szalupie. Major i Piotr też zajęli swoje miejsca. Flibustierzy popchnęli łódź, nad którą powiewała biała flaga.

Priscilla nie obejrzała się już. De Bernis z opuszczoną głową powrócił na wysoki brzeg. Za nim poszli w milczeniu Ellis i Bundry.

W szalupie Priscilla zaczęła cicho płakać.

– Panienko, niech się panienka nie boi – pocieszał ją Piotr. – Pan de Bernis wie, co robi.

– To nie ma żadnego znaczenia – powiedział major, który zrozumiał te słowa.

Nie mógł ukryć swego rozdrażnienia na widok łez dziewczyny. Najwyższy już czas – pomyślał – powrócić do normalnego życia, gdzie zapomni ona o tej nieprawdopodobnej awanturze. Pocałunek tych dwojga dręczył Sandsa, który nie zawahał się głośno wyrazić swojej myśli.

Jego słowa osuszyły łzy Priscilli. Żal ustąpił miejsca oburzeniu. Błada, z wilgotnymi jeszcze oczami, spojrziała majorowi prosto w twarz.

– Jak śmiesz mówić w ten sposób? – zawołała gniewnie. – Jak można w ten sposób traktować człowieka, który naraził swoje życie, aby pozwolić nam uciec.

Rozjątrzony major udał, że nie rozumie.

– Nie widzę nic szczególnego w jego postępowaniu – mruknął.

– Nie? W takim razie jesteś głupszy, niż myślałam.

– Priscilla!

Niespodziewany wybuch dziewczyny wprowadził go w osłupienie. Na moment przestał wiosłować i szalupa chybotliwie zatańczyła na wodzie. Dopiero interwencja Piotra przywróciła mu względną równowagę umysłu. Z pasją pociągnął wiosłem. Oszołomiony jeszcze tym co usłyszał, rzucił okiem na dziewczynę, która tak go zelżyła. „Toż to koniec świata! Niewątpliwie straciła na skutek nerwowego wyczerpania rozum!” – powtarzał sobie w duchu. Zdobył się jednak na pobłażliwy uśmiech i z miną człowieka, który wszystko potrafi wybaczyć, zwrócił się do dziewczyny:

– Brak ci wyrozumiałości, moje dziecko. Młodość nie ma jednak doświadczenia.

– Wolę to, niż wyrachowanie wieku, jakim pan zdajesz się być przygnieciony.

Zrezygnowany major zlekceważył tę okrutną odpowiedź.

– Ten pirat po prostu posługuje się nami – powiedział po chwili. – Trzeba być ślepym, żeby nie zobaczyć w treści naszego posłannictwa...

– Niewidzę w nim nic, poza szlachetnością i oddaniem.

Sands wybuchnął sardonycznym śmiechem. Priscilla spojrzała

nań i od tej chwili żywiła w stosunku do majora jedno tylko uczucie – nienawiść.

– Szlachetny! – ciągnął major. – Jego szlachetność bierze się ze strachu o własne życie. Jest osaczony i chciałby pertraktować. Był szczęśliwy, że miał nas pod ręką, żeby przesłać swoje propozycje.

Z tyłu odezwał się spokojny głos Piotra. Metys mówił wolno po angielsku:

– Jeżeli pan de Bernis wyjdzie żywy z tej opresji, to będzie wiedział, jaką dobrą opinię ma u pana.

– Nie krępowałbym się powiedzieć mu to prosto w oczy – zaśmiał się Sands.

Schylił się nad wiosłem i nie powiedział nic więcej. Dziewczyna była wdzięczna Metysowi za poskromienie majora.

Wkrótce przybyli do „Royal Mary”. Stojący na dziobie Piotr chwycił koniec sznurowej

drabinki spuszczonej z okrętu. Priscilla odmówiła przyjęcia pomocy majora i pierwsza wdrapała się na pokład fregaty. Została tam przyjęta przez mężczyznę w poważnym wieku, otyłego, o żółtawej cerze i ubranego z przesadną elegancją. Miał długie obwisłe wąsy oraz minę poważną i surową. Przypatrywał się jej milcząco i zdumiony. Za jego plecami stało dwudziestu muszkietierów oczekujących rozkazów młodego oficera. Na ich twarzach również malowało się zdumienie.

– Na miłość boską! – wykrzyknął gruby mężczyzna. – Kim pani jest?

– Jestem Priscilla Harradine, córka sir Johna Harradine – odpowiedziała. – A pan jest zapewne sir Henry Morgan?

W odpowiedzi zdjął zdobny w pióra kapelusz i wykonał ceremonialny ukłon. Jego zachowanie zdradzało mieszaninę ironii i przesadnej grzeczności.

– Do pani usług. Zdumiewa mnie jednak, że znajduję miss Priscillę Harradine w towarzystwie Toma Leacha i jego zgrai.

– Przybywam tu jako parlamentariusz, sir Henry.

– Ze strony tych bandytów? Co panią z nimi łączy?

Major, który właśnie z mozołem wkroczył na pokład, postąpił dumnie naprzód. Nareszcie znalazł się wśród tych, którzy potrafili ocenić jego rangę i znaczenie.

– Jestem major Bartłomiej Sands – ogłosił – zastępca sir Johna Harradine na Antigui.

Czarne oczy Morgana spoczęły na nim i major nie odczuł z tego powodu żadnego zadowolenia, ponieważ to spojrzenie pełne było nieżyczliwej ironii. Sir Henry zdawał się nie okazywać najmniejszego zainteresowania oficerem.

– Co u diabła robisz pan tu, tak daleko od swego dowództwa?

Major poczuł się dotknięty, wyjaśnił jednak wyniośle:

– Płynęliśmy do Anglii na „Centaurze”. Wraz z nami płynął pewien hultaj, nazwiskiem de Bernis, który twierdził, że jeszcze niedawno był pańskim zastępcą.

– Ach!

Twarz admirała na moment rozjaśniła się. Zaraz jednak wyraz nieżyczliwej ironii powrócił na nią z jeszcze większym wyrazem.

– Ten hultaj de Bernis! – ryknął śmiechem. – Mów pan dalej.

Priscilla na próżno starała się przerwać majorowi, który uparł się, aby opowiedzieć o wzięciu „Centaura” i o sposobie, w jaki Francuz sprzymierzał się z piratami. W swej opowieści nie

oszczędzał de Bernisa, ozdabiając go przy każdej o nim wzmiance nową obelgą, aż sir Henry przerwał mu szorstko:

– Jeśli pan mówisz prawdę, to ten de Bernis uratował wam życie, a może nawet coś więcej!?

– Jeśli mówię prawdę? – zaprotestował major. – Ależ sir Henry! Myślę, że pan nie podejrzewa mnie o kłamstwo!

– Idź pan do diabła! – odparł Morgan. – Albo pan kłamiesz, albo jesteś pan najgorszym łajdakiem, jakiego kiedykolwiek widziałem.

Major zapłonął się, potem zbladł i wyprostował się dumnie.

– Jestem oficerem królewskim, sir Henry...

– Ja także, ja także! – zagrział admirał. – Niejedna szelma może się tym chełpić.

Major chciał coś powiedzieć, ale Morgan uciszył go gestem i mówił dalej.

– To jest strata czasu. Ważne jest tylko to, po cóście tu przyjechali.

Odwrócił się plecami do Sandsa i zwrócił się do Priscilli.

– Może pani będzie tak dobra i zechce mnie o tym powiadomić.

– Przywozimy panu posłannictwo od pana de Bernis.

– Ach! – wykrzyknął i na jego twarzy pojawił się wyraz skupionej uwagi.

– Propozycje pokojowe. – Propozycje?

Nadał sflaczałe policzki, wybuchnął śmiechem i obrócił się do oficera, który mu towarzyszył.

– Propozycje! Powariowali! Trzymam ich przecie pod wylotami swoich armat. I jakież to są te propozycje?

Wyjaśniła, że flibustierzy nie znajdują się całkowicie na łasce Morgana, bo mogą wycofać się do lasu.

– Warunki? – przerwał krótko.

Wyliczyła je broniąc sprawy piratów i de Bernisa z głębokim przekonaniem.

Czarne oczy Morgana badały ją ciekawie. Spojrzał później na majora, który siny ze złości stał opodal oparty o reling i pod jego obwisłymi wąsami zarysował się uśmiech.

– I oni żądają honorowych warunków wojennych? – powtórzył rozbawiony, kiedy Priscilla umilkła. – Pani, winszuję ci wydostania się z tak poważnego niebezpieczeństwa. Panu również, majorze. Nie dziwi mnie, że pani broni tej sprawy tak wymownie. Rozumiem całą wdzięczność, jaką pani odczuwasz względem niego.

– A więc pan przyjmuje te propozycje? – zapytała zbliżając się do niego.

Uśmiechnął się i spojrzął na majora.

– Co do pana, majorze, to nie zdajesz się pan być równie głęboko zainteresowany losem de Bernisa?

– Narażając się na to, że znów będę źle zrozumiany, muszę jednak przyznać, że jego los jest mi całkowicie obojętny. Nie czuję w stosunku do niego żadnej wdzięczności. Posługiwał się nami i to wszystko. Żaden ich człowiek nie odważył się przybyć na ten pokład, żeby przywieźć jego zlecenie.

Admirał wykrzyknął wstrząsany śmiechem:

– To pierwsze pańskie słowa, w jakie wierzę bez zastrzeżeń. Oni czują odpowiedni szacunek dla moich rei.

Zwrócił się do młodego oficera, który dowodził muszkietierami:

– Weź pan dwunastu ludzi, Sharples, i wylądujcie z białą flagą. Powiesz pan tym zdychającym psom, że zanim zacznę o czymkolwiek z nimi dyskutować, chcę, żeby wydali mi Toma Leacha i tego szelmę de Bernisa. Jak tych dwóch łotrów znajdzie się na moim pokładzie, wtedy dopiero zobaczę. Powiedz im pan też, że moje armaty są wycelowane na wybrzeże i lonty mam zapalone. Przy pierwszej oznace jakiegoś ruchu w stronę lasu, wyślę ich kartaczami do piekła. Zrozumiano?

Młody człowiek wyprężył się, zasalutował i wraz ze swoimi muszkietierami skierował się do szalupy.

Major uśmiechnął się. Zapewne sir Henry był grubianinem i gwałtownikiem, byłym piratem, który zmienił front, ale miał on wszelkie właściwości wodza.

Nagle pobladła Priscilla postąpiła krok ku Morganowi i położyła dłoń na jego olbrzymim barku.

– Sir Henry – bąkała błagalnym głosem.

– Jestem pani sługą.

– To, co mówił major, jest przesadzone. Pan de Bernis powierzył nam swoją misję, aby nas ocalić. Winna mu jestem wszystko. On był taki dzielny, taki...

Admirał przerwał jej wybuchem grubiańskiego śmiechu, który przyprawił ją o dreszcze. Później zmarszczył brwi.

– Istotnie – powiedział. – Istotnie. Ci Francuzi są tacy dzielni i wytworni, a już szczególnie de Bernis.

Zmrużył oczy spoglądając na Sandsa, który dziwił się, że tak wulgarny człowiek mógł zostać szlachcicem i gubernatorem.

– Pan się myli! – wykrzyknęła dziewczyna.

– Nie, pani. Wiem, że de Bernis nie zasypia gruszek w popiele. Sam byłem niegdyś młody, więc go rozumiem. Teraz jestem gruby i ociężały z powodu wieku, ale pod moim kaftanem bije ciągle młode serce.

– Wysłuchaj mnie pan, sir Henry! – nalegała. – Zawdzięczam mu życie, a nawet więcej niż życie.

– Toteż powiedziałem, że to rozumiem – powtórzył mrugając jednym okiem.

– Mój ojciec był wiernym sługą króla – ciągnęła. – Przysługi, jakie pan de Bernis oddał jego córce, powinny zaważyć na szali sprawiedliwości na jego korzyść...

Przez chwilę patrzył na nią z powagą, ale nagle wybuchnął śmiechem.

– Co za myśl! – wykrzyknął. – W swojej młodości oddałem usługi córkom licznych ojców, a nigdy nie potrafiono mi się odwdziaczyć. Ale nigdy nie miałem adwokata tak wymownego, jak pani.

Odwrócił się.

– Ależ sir Henry...

– Nie!

Oddalił się bez dalszych ceremonii i tocząc się na swych masywnych nogach oraz wzywając wielkim głosem szefa załogi i oficera artylerii, aby im wydać stosowne rozkazy.

Zrozpaczona Priscilla patrzyła na muszkieterów wsiadających do szalupy, która miała ich zawieźć na ląd. Piotr był tam również. Jakiś oficer zbliżył się do dziewczyny i zapytał, czy nie zechciałaby zrobić admirałowi zaszczytu i udać się w towarzystwie majora do jego kabiny. Sands przyjął już zaproszenie. Teraz prosił dziewczynę, aby mu towarzyszyła.

– Poczujesz się tam lepiej – mówił.

– Dziękuję ci – odrzekła zimno. – Czuję się dobrze tutaj. Stała na pokładzie ścigając wzrokiem szalupę, która ślizgała się po zielonkawych wodach zatoki zmierzając ku plaży, na której czekał de Bernis. Obok niego stali Ellis i Bundry, i Halliwell. Major ponowił swoje zabiegi.

– Moja droga Priscillo – mówił. – Zrozum, że to już koniec tej przykrej awantury. Dziękujemy

za to Bogu.

– Dziękujemy również Karolowi de Bernis. Popatrz, tam stoi.

Nie takiej odpowiedzi oczekiwał od niej. Pojął więc, że w obliczu jej uporu, wszelkie dyskusje są beznadziejne.

Szalupa bez przeszkód dobiła do brzegu. Porucznik Sharples wysiadł i podszedł do grupki mężczyzn stojących opodal. Jego załoga, z gotowymi do strzału muszkietami, pozostała w łodzi. Podszedł do de Bernisa i oficerów. Rozmowa, która toczyła się pomiędzy przedstawicielami Morgana i flibustierskiej starszyny, była pilnie śledzona przez oddalonych nieco i zbitych w cizbę korsarzy. Z pokładu „Royal Mary” śledziła ją też w napięciu Priscilla.

De Bernis gwałtownie zaprotestował, gdy tylko Sharples powtórzył im słowa Morgana. Halliwell, jak zwykle ugodowy, łagodził:

– Spokojnie, Charley. Morgan może zatopić „Centaura” i zniszczyć to, co pozostało z „Czarnego Łabędzia”. Mamy zdychać z głodu na tej wyspie?

– Wolnego Halliwell – rzekł Bundry. – Za twoimi plecami rośnie las i potrafimy przecież sklecić jakiś żaglowiec, który pozwoli nam opuścić Malditę.

– Nie zapominajcie, że sir Henry jest człowiekiem stanowczym – przypominał im porucznik Sharples. – Jeżeli go sprowokujecie, pozostawi tu jedną fregatę, żeby wam dokuczała i nie pozwalała opuścić wyspy. Poddajcie się. Wydajcie Leacha i Bernisa, a być może zlituje się nad wami.

Rozpętała się gwałtowna dyskusja. Wogan zaklinał, żeby ustąpić. De Bernis odszedł na stronę i spokojnie oczekiwał na decyzję starszyny. Nie chciał brać udziału w rozmowie, która dotyczyła go bezpośrednio.

– Co my możemy zrobić? – tłumaczył Wogan. – Pewnie, że ciężko jest wydać Charleya, ale jeśli odmówimy?

Halliwell i Ellis zgadzali się z nim, ale Bundry przeciwstawiał się. Ciągle jeszcze miał nadzieję nie tylko na wyniesienie głowy z tych oparów, ale i na skuteczne zaatakowanie galeonu. Gdyby Morgan zostawił im rozbrojone okręty, to rzecz byłaby możliwa. Korsarzom udawały się niegdyś wyprawy o wiele bardziej ryzykowne, lżył więc swych towarzyszy, oskarżał o tchórzostwo i uzyskał tyle, że Ellis w końcu poparł go. Sharples pozostał jednak nieubłagany. Nie zgadzał się na zmianę warunków. Nie miał do tego prawa. Daremnie Ellis i Bundry nastawali, żeby zgodził się zawieźć Morganowi ich kontrproponycje. Odmawiał i nakazywał im

surowo zdecydować się grożąc, że wróci na „Royal Mary”.

Bundry, któremu w końcu zabrakło argumentów, obrócił się do Francuza. Ten tylko wzruszył ramionami.

– Zrobiłem wszystko, com mógł, Charley. Słyszałeś.

– Słyszałem. I rozumiem. Takie są zmienne koleje wojny.

Wyciągnął swój rapier i podał oficerowi.

– A teraz Tom Leach.

– A tak, Tom Leach – rzekł Bundry. Zawahał się przez chwilę.

– Żywy lub martwy, takie są warunki umowy?

– Co? – wykrzyknął Sharples. – On nie żyje? Wydacie mi trupa? W końcu wszystko jedno.

Żywy lub martwy.

Bundry odwrócił się i podążył ku korsarzom. De Bernis udał się za nim. Zatrzymał go i rozmawiał z nim z ręką na ramieniu. Szef załogi przytaknął. Francuz przybył na brzeg. Na dany przez Sharplesa znak zajął miejsce w łodzi.

Ciągle stojąca na pokładzie Priscilla widziała to wszystko i zrozumiała. Wydała stłumiony jęk.

– Tchórze! – wykrzyknęła. – Wydali go, aby ratować swe nędzne życie!

– Oczywiście – rzekł major. – A czego oczekiwałaś od tych nędznych piratów?

Podtrzymał pobladałą nagle dziewczynę i posadził na krawędzi luku. Z łokciami na kolanach i z głową w dłoniach oddała się boleści. Sands otoczył ręką jej ramiona, zapominając o zazdrości, ale nie potrafił znaleźć żadnych słów pociechy.

Po kilku minutach zjawił się na pokładzie Morgan w towarzystwie oficerów. Priscilla jak przez sen słyszała wiadomość o powracającym Sharplesie. Ledwie widziała zbliżającego się do trapu Morgana i słyszała jego głos:

– Gdzie jest Leach? – krzyczał. – Sharples go nie przywiózł? Ten chłopak jest do niczego. Niech kanonierzy utrzymują działa w gotowości. Pokażę tym zdechłym psom, kim jestem i że nie można kpić sobie bezkarnie z Morgana!

– Chwileczkę, sir Henry – dobiegł głos porucznika.

Łódź przybiła do burty „Royal Mary”. Nastąpiła chwila ciszy.

Potem Priscilla ujrzała wysoką sylwetkę de Bernisa, który wchodził na pokład. Stał wyprostowany, spokojny i uśmiechnięty, taki, jakim go widziała stawiającego czoło najcięższym

niebezpieczeństwom. Sir Henry podniósł głowę, aby spojrzeć na uśmiechającego się Francuza z surową miną. Za Bernisem ukazał się Piotr.

– Gdzie u diabła jest Leach? – dźwięczał głos Morgana. – Co to wszystko znaczy?

De Bernis odwrócił się do Piotra i wyciągnął rękę. Metys wręczył mu jakiś przedmiot owinięty w splamione krwią płótno żaglowe. Francuz wziął go i rzucił do nóg Morgana. Admirał spojrzał na pakunek a później skierował groźne oblicze na Bernisa.

– Jest wszystko, co potrzeba – rzekł. – Oto głowa warta pięćset funtów.

– Piekło i szatani! – zaklął stary marynarz a jego twarz pokryła się nagle purpurą. – Zabierzcie to. Bierzesz wszystko bardzo dosłownie, Karolu.

– W ten sposób mówię, że dotrzymałem słowa! – wykrzyknął. – Trzeba bandyty, żeby chwycić drugiego bandytę, jak to słusznie powiedział major Sands mówiąc o tym, który cię uczynił szlachcicem i gubernatorem Jamajki.

Sir Henry rzucił ukośne spojrzenie na majora, który osłupiały stanął obok Priscilli. Dziewczyna zaczynała coś pojmować, ale nie dowierzała własnym oczom i uszom.

– On? – zawołał admirał z pogardą. – On to powiedział?

Wzruszył ramionami.

– Nie z takimi dawaliśmy sobie radę! – zagrział.

– Wyjaśnię, admirale, wszystko szczegółowo, jak mi pan zapłacisz pięćset funtów za głowę i drugie tyle, które przegrałeś w naszym zakładzie.

Morgan skrzywił się.

– Nigdy nie zwątpiłeś pan w siebie, Karolu.

– Nigdy nie miałem sposobności, ale zwątpiłem w pana. Spóźniłeś się pan o trzy dni. Trzy długie dni, podczas których musiałem znosić obelgi tego psa. Ale on za to zapłacił.

– A czy my nie jesteśmy skwitowani? – odrzekł Morgan. – Gdybym nie zażądał de Bernisa razem z Leachem, to byłbyś pan teraz w wielkim kłopotcie. Czyż nie tak?

– O nie, wszak pokładałem zaufanie w wodzu i jego zdolności oceny sytuacji. A tylko głupiec mógłby nie zażądać mnie razem z Leachem.

Morgan sapnął nadymając policzki niczym tryton.

– Co za zuchwalstwo! Nigdy nie widziałem podobnej pewności siebie.

– Czy nie dotrzymałem obietnicy, którą panu dałem?

– Istotnie. Przyznaję. Musiało panu sprzyjać szczęście.

– Trochę. Oszczędziło mi ono długiego poszukiwania piratów. Leach sam stanął mi na drodze. Oszczędził mi przez to podróży do Gwatemali, a królowi sumy potrzebnej na wynajęcie i uzbrojenie okrętu.

– Chodźmy na dół – powiedział Morgan. – Opowiesz mi pan całą tę historię.

Zasiedli w kabinie Morgana. Na prośbę Francuza, znaleźli się tam również Priscilla i major. Mieli wszak prawo poznać szczegóły historii, której byli nie w pełni świadomymi uczestnikami i świadkami. Obecny był także kapitan Aldrige, dowódca „Royal Mary”.

De Bernis opowiadał spokojnie o szczegółach całej tej przygody i „o sposobie jakiego użył, aby doprowadzić do pomyślnego zakończenia misji, jakiej się podjął.

Priscilla, tak niespodziewanie uwolniona od swych straszliwych obaw, pozostawała nadal oszołomiona, nie śmiać jeszcze dawać wiary temu, co widziała i słyszała. Równie oszołomiony major zadawał sobie pytanie o koniec tej niewiarygodnej sprawy.

Jedynie Morgan był beztroski i choć przegrał zakład, cieszył się z pomyślnego dla siebie finału. Śmierć Leacha raz na zawsze uwalniała go od królewskiej podejrzliwości. Często też przerywał opowieść Francuza uwagami i wybuchami śmiechu. Nie mógł się zwłaszcza powstrzymać, kiedy de Bernis opowiadał o wzięciu „Centaura” i o sposobie, w jaki przedstawiał się piratom.

– Kroćset tysięcy! Jeżeli kiedykolwiek jakiś spryciarz potrafił przerobić klęskę na zwycięstwo, to tylko pan. Karolu. Nikt ci też nie dorówna w kłamstwie.

– Jeżeli chcesz pan mówić o tej bajce o hiszpańskim galeonie – powiedział de Bernis – to niech pan nie przypuszcza, że wymyśliłem ją na poczekaniu. Pomysł przyszedł mi do głowy już dawno i liczyłem tu na pożądlivość Leacha. Co się zaś tyczy zwabienia go na Malditę, to i w tym nie ma nic niezwykłego. Od dawna wiedziałem, że Tom zawsze był marnym żeglarzem i mało dbał o swój okręt.

Kiedy Francuz umilkł, a sir Henry nalewał poncz do pucharów, kapitan Aldrige zwrócił się do bohatera dnia:

– Wszystko co pan mówi, jest całkiem jasne, ale nie rozumiem jednego – dlaczego pan prowokował Leacha wtedy, gdyśmy byli o parę mil od brzegu. Po jakiego diabła narażałeś pan tak dalece swe życie?

– Narażałem? – odparł Bernis z lekceważeniem. – Leach z pewnością był mistrzem szpady

wśród piratów, ale pośród szermierzy był tylko piratem.

– To nie jest odpowiedź, Karolu – mruknął Morgan.

Francuz wzruszył ramionami.

– Miałem powody. Zasłużył na taką lekcję.

Oczy de Bernisa bezwiednie skierowały się w stronę Priscilli, która wpatrywała się weń uporczywie.

– Mówił do mnie – ciągnął – tonem, który nie dopuszczał innej odpowiedzi. Popełnił też sporo... nietaktów, które mnie osobiście dotykały. Gdyby zresztą Leach żył wtedy, gdyście przybyli na wyspę, piraci nie skapitulowaliby tak łatwo. Ten człowiek opierałby się do śmierci.

– Co mógłby zrobić otoczony i schwytyany w pułapkę?

– Mógł ująć w lasy, gdzie byś pan nie mógł go ścigać. Może nawet udałoby mu się wymknąć? W każdym razie uczyniłby wiele złego.

– A to niby w jaki sposób? – upierał się Morgan.

De Bernis na moment zawahał się, potem nagle wskazał gestem Priscillę Harradine i majora.

– Ci państwo pozostawaliby w jego mocy, gdyby postanowił się opierać. A jestem pewien, że wybrałby tę możliwość.

Morgan podniósł brwi na znak zaskoczenia i patrzył uparcie na Bernisa, jakby zdziwiony, że Francuz narażał się na niebezpieczeństwo ze względu na takiego chłystka, za jakiego uważał majora. Spojrzał jednak na dziewczynę i jego twarz zmieniła wyraz. Wybuchnął śmiechem i uderzył w stół swoją tłustą ręką.

– Cha! cha! cha! Teraz rozumiem! Do diabła. Karolu! Tyś rywalizował z tym tłuściochem! Pani nam mówiła niedawno o twojej odwadze i galanterii.

Śmiech wstrząsnął całą jego postacią. Major nerwowym kaszlem protestował przeciw grubiaństwu Morgana. Priscilla splonęła rumieńcem ze wstydu i oburzenia. Nawet na zawsze posępnym obliczu Aldrige'a wykwitło coś na kształt uśmiechu. Jedynie de Bernis pozostał niewzruszony. Czekał cierpliwie, aż minie wybuch admirala.

– Król uczynił pana szlachcicem i gubernatorem – powiedział lodowatym tonem – ale pan pozostajesz takim, jakim stworzył cię Bóg. Niech pani nie zważa na to, co on mówi. Chociaż jest dowódcą eskadry, zachował maniery zucha z górnego pokładu.

– Niech Bóg skarże twoje zuchwalstwo, Karolu! – odrzekł Morgan wyraźnie tracąc humor, chociaż wciąż jeszcze wstrząsany wybuchami śmiechu.

Podniósł swoją szklanę.

– Nie miałem zamiaru pani obrazić i pozostaję pani sługą. Piję za pani zdrowie i szczęśliwe ocalenie. I za pańskie również, majorze Shore.

– Majorze Sands – poprawił oburzony oficer.

– To wszystko tak do siebie podobne – odrzekł śmiejąc się.

– Sir Henry – odezwał się kapitan Aldrige – należy pomyśleć o losie piratów.

– Tak, zapewne – powiedział Morgan. – Co pan o tym myślisz, Karolu?

– Najpierw wysłałbym załogę na „Centaura”, aby wziąć go w posiadanie i naprawić szkody spowodowane pańską salwą. Następnie nakazałbym zatopić wszystkie armaty „Czarnego Łabędzia” na pełnym morzu, a jego samego roztrzaskałbym paroma wystrzałami armatnimi. Po tym wszystkim moglibyśmy wrócić spokojnie na Jamajkę.

– Pozostawiając tę zgraję na wolności? – zaprotestował zgorszony Aldrige.

Major, który podzielał to oburzenie, uznał za stosowne wtrącić się:

– To jest akurat zdanie pirata! – wykrzyknął. – Pan de Bernis nie zapomniał, że sam był kiedyś flibustierem.

– A pan zapomniał, że ja też nim byłem – powiedział Morgan. – A w ogóle pytał pana kto o zdanie?

– Pan zdaje się zapominać – brnął dalej major – że to od króla otrzymałem moją szarżę...

– Trzymaj pan ją sobie, jeśli ci się podoba – zapiał Morgan. – Pytam jednak, co to wszystko pana obchodzi?

– Powtarzam panu, że to od króla otrzymałem...

– Pozostaję z całym szacunkiem dla Jego Wysokości, więc nie mówmy już o tym. Siadaj pan i zostaw nas w spokoju.

Ale major, zwłaszcza w obecności Priscilli, nie był skłonny poddać się tak łatwo. Zdawał sobie sprawę, że postawa zademonstrowana przezeń na „Centaurze” i na wyspie chwały mu nie przyniosła. Teraz był jednak na okręcie królewskim, gdzie jego znaczenie powinno być uznane. Nastawał więc:

– Pan mnie wysłucha – zwrócił się do Morgana, którego twarz coraz bardziej poseępniała. – Mam prawo być wysłuchany. Jako oficer królewski protestuję energicznie przeciw postępowaniu niemal urągającemu majestatowi.

Morgan pozostawał na pozór nieporuszony, ale pod jego krzaczastymi brwiami wzrok stawał

się coraz bardziej ostry.

– Czyś pan już skończył? – zapytał.

– Jeszcze nie zacząłem.

– To był wstęp – mruknął de Bernis.

Morgan uderzył pięścią w stół.

– Czy mam pana pouczać, że jesteś pan obowiązany do posłuszeństwa wobec mnie? Po raz pierwszy zdarza mi się, że jestem zmuszony przypominać swemu podwładnemu o obowiązku przyzwoitego zachowania się. Będziesz pan mówił wtedy, kiedy pana zapytam!

– Zapomina pan...

– Niczego nie zapomina! – krzyczał Morgan. – Siadaj pan i jeśli przyjdzie ci jeszcze raz do głowy jakieś tam protestowanie, to pójdiesz pan w dyby!

Major zawahał się przez sekundę. Nie wytrzymał jednak spojrzenia dowódcy eskadry. Wzruszył ramionami i usiadł na krześle oddalonym od stołu.

– A więc, Karolu? – podjął major.

– Aldrige uważa, że nie należy puszczać wolno załogi „Czarnego Łabędzia”, ale myślę, że oni już nie są niebezpieczni. Bez okrętu, bez armat, po śmierci swego przywódcy skazani są na bezbronność. Cóż oni mogliby zbudować? Barki? Nie, Morgan, oni się rozproszą.

– Też tak myślę, Karolu! – powiedział rzucając drwiące spojrzenie na majora, który niewątpliwie swoją przekorą wpłynął na decyzję admirała. Chociaż pan major Beach jest innego zdania.

– Nazywam się Sands, jeśli łaska – major silił się na złośliwość.

– Ba! – mruknął Morgan. – Sands czy Beach to wszystko jedno [Gra słów angielskich: sands znaczy piaski, shore – brzeg, beach – plaża]. Chodź pan, Aldrige. Postąpimy według zdania Karola. Jest to najprostszy sposób załatwienia tej sprawy.

Nim jednak wyszli, admirał rzekł do Priscilli:

– Każę, by przygotowano pani kabinę. Oczywiście wam również – wskazał Karola i majora.

Obaj mężczyźni wstali. Sands skłonił się bez słowa, ale de Bernis zwrócił się do Morgana:

– Jeżeli się pan zgodzisz – poprosił – to ja powrócę na Jamajkę na jakim innym okręcie. Może mógłbym objąć „Centaura”?

Morgan patrzył nań przez chwilę, jakby nie rozumiał. Major nie mógł powstrzymać westchnienia ulgi. Sir Henry skrzywił się i pogładził wąsa.

– Po jakiego diabła? – mruknął. – A zresztą rób, jak chcesz. Chodźmy wreszcie, Aldrige.

Wyszli i de Bernis został z majorem i Priscillą. Nim Francuz zdążył powiedzieć choćby słowo, dziewczyna zwróciła się do Sandsa:

– Bart – rzekła – byłabym ci wdzięczna, gdybyś poszedł na pokład.

Major podszedł do niej i chciał podać jej ramię. Potrząsnęła głową.

– Nie, Bart. Chciałabym, żebyś poszedł tam sam. Mam coś do powiedzenia panu de Bernis.

Major stanął na chwilę osłupiały.

– Coś do powiedzenia? Ale co? W jakim celu?

– To sprawa ściśle osobista, Bart. Czy cię to zaskoczyło, że chcę z nim mówić? Czy ty nie czujesz takiej potrzeby? Zaciągnęliśmy względem niego pewien dług. Czy nie jest to również twoje zdanie?

– Oczywiście, jestem bardzo zobowiązany panu de Bernis. Przyznaję, że źle o nim sądziłem. Przynajmniej częściowo... i...

– Nie wysilaj się pan – przerwał Francuz. – To zbyteczne.

– Tak – poparła go Priscilla. – Podziękujesz mu później. Czy zechcesz nas teraz opuścić?

– Ależ pomyśl... Nie masz nic do powiedzenia panu de Bernis, czego bym nie mógł słyszeć. Jest naturalne, że przyłączę się do ciebie Priscillo, aby wyjaśnić...

– Nie możesz się przyłączyć do mnie i do tego, co mam zamiar mu powiedzieć, Bart. Zostaw nas samych.

– Bardzo dobrze, jeśli takie jest twoje życzenie. Jestem pewien, że pan de Bernis nie nadużyje tej sytuacji. Przypomni sobie...

– To pan nadużywał! – przerwał mu Francuz. – Nadużywał pan cierpliwości miss Priscilli. Sands ruszył do drzwi kabiny.

– Będę się trzymał w zasięgu głosu, Priscillo.

– Nie miej nadziei, że będę odwoływała się do twojej pomocy – odpowiedziała dziewczyna.

Gdy major opuściłabinę, Priscilla siadła na rzeźbionym kufrze. Była blada i wzruszona. Nie patrzyła na Bernisa.

– Karolu – powiedziała bardzo spokojnie – czy zechcesz mi powiedzieć szczerze, dlaczego pragniesz powrócić na Jamajkę na innym okręcie?

– Abyś została, pani, wreszcie uwolniona od obecności człowieka, którego przykre okoliczności narzuciły ci na cały długi miesiąc.

– Czy to ma być twoja szczerłość? Masz zamiar znowu grać komedię, czy też raczej są ci całkowicie obojętne moja opinia... i moje uczucia.

– Major wyjaśnił dobitnie, na czym polegać powinny nasze stosunki.

– Major? Cóż jemu do tego?

– On jest tu jedynym przedstawicielem świata, do jakiego pani należysz.

– Rozumiem – powiedziała.

Zapadło milczenie, którego de Bernis nie próbował przerywać.

– i czy to ma jakie znaczenie w twoich oczach? – zapytała.

– Oczywiście, ponieważ powinno je mieć dla pani.

– Ale w tym wypadku nie ma.

– Powiedziałem „powinno” – odrzekł ze smutnym uśmiechem. – Nie zapominaj pani, że major ma słuszność, kiedy traktuje mnie jak pirata.

– Ty? Piratem?

– Byłem nim, a to wystarczy. To wyciska piętno.

– Nie zauważyłam go. Zresztą nie dbam o to. Jesteś najdzielniejszym i najszlachetniejszym mężczyzną, jakiego znałam.

– Znałaś ich pani bardzo niewiele.

Umilkła i patrzyła nań długo. Później odwróciła się i spoglądała na morze, aby ukryć przed nim łzy.

– Być może pomyliłam się – wyjąkała. – Być może nie mam racji prosząc cię, byś został ze mną na pokładzie tego statku.

Jej zdławiony głos, przerywany łkaniem, którego nie mogła powstrzymać, przeszył Francuza niczym ostrze szpady. Nie mógł już dłużej panować nad sobą.

– Nie pomyliłaś się – mówił zbliżając się do niej. – Odchodzę, ponieważ jak to już kiedyś pani powiedziałem pewnej gwieździstej nocy, między nami jest przepaść. Uciekam, bo nie chcę wykorzystać słabości, która cię popycha do wybaczenia mi zuchwalstwa mojej do ciebie miłości. Mówię to z takim uczuciem, jakbym składał wieniec na grobie.

– Nie jestem jeszcze umarła i dopóki żyję, możesz mieć do mnie prawo. Naraziłeś swoje życie, żeby mnie ocalić. Jeszcze dzisiaj. Sir Henry miał rację. Zabiłeś Leacha, aby mnie ocalić.

– To był mój obowiązek.

– Wobec kogo? Wobec mnie?

– Wobec siebie samego. Wobec honoru.

– Honoru? Czy ja dobrze słyszę? Od kiedy to pirat mówi kobiecie o honorze?

Wybuchnęła śmiechem.

– Swoją miłość do mnie nazwałeś zuchwalstwem. A jeśli ja chcę, byś był zuchwały?

– W takim razie musiałbym uznać, że jesteś szaloną.

– Chcę być szaloną, Karolu! Czy zabronisz mi tego?

Twarz Francuza wyrażała niewymowny smutek. Potrząsnął głową.

– Po co mnie dręczysz i kusisz w ten sposób? – rzekł poważnie.

Podeszła do niego.

– Możesz przerwać w jednej chwili swoje udręki, ulegając pokusie – szepnęła.

– Tak, ale potem? Jeżeli byś mnie poślubiła, to twój świat... Położyła dłoń na wargach de Bernisa.

– Jeżeli mnie poślubisz – powiedziała z mocą – to twój świat stanie się moim. Będziemy wspólnie szukać szczęścia w naszym świecie.

Pokonany, chwycił ją w ramiona.